

Robert

# FORYŚ

*La garść  
Czerwonych*

*cykl  
W służbie  
Joh. Królewskich  
Mocni*

supernOWA

Robert  
**FORYŚ**

— 182 —  
Wydanie  
Izraela  
Kolejnych  
Masa  
— 183 —

*La gars'c'  
Czerwonców*

superNOWA  
WARSZAWA 2009



*Księga pierwsza*

# *Prawo Kwi*



# I

Warszawa ucichła, pogrążona we śnie. Jedynie od strony góry Gnojnej dochodziło ujadanie psa.

Porucznik Joachim Hirsz przetarł zaspane oczy i otulił się szczelniej płaszczem. Przez chwilę obserwował opustoszałą ulicę.

Rozjeżdżona droga prowadziła wzdłuż Skarpy Wiślanej, łącząc plac mostowy z przystanią rzeczną. Zbocze po prawej zajmowały spichrze i ogrody. Niżej, na tarasach nad brzegiem rzeki, tłoczyły się liche domy gospólstwa.

Chmury zakryły księżyc.

Oficer uniósł pochodnię i zdecydowanym krokiem ruszył przed siebie. Przeszedł trzysta kroków, nim wypatrzył Hańczę i Birkuta. Kozacy czekali przy wylocie nadrzecznego zaułka. Na tle ciemnego muru ich sylwetki były ledwie niewyraźnymi cieniami.

Hirsz podszedł bliżej, trzymając pochodnię tak, by oświetlała jego twarz. Na widok byłego dowódcy Kozacy rozluźnili się i opuścili broń.

- Mam nadzieję, że to coś ważnego? - burknął Hirsz na powitanie.

Iwan Hańcza wzruszył ramionami.

- Nie wiemy, panie poruczniku, wachmistrz przykazał pilnować przejścia i czekać na pana.

- Gdzie on jest?

- Nad brzegiem.

Hirsz sapnął przez zęby i wślizgnął się w ciemności spowijające zaułek.

Zadławił go duszący smród.

Rozejrzał się bacznie. Chwiejne światło sięgnęło wyżej, po nadzartych próchnicą ścianach, odsłaniając otwór kloaczny.

Porucznik zmełł w ustach przekleństwo, przyspieszył kroku.

Wyszedł na łękę zalaną poświatą jesiennego księżyca, który ponownie wyjrzał zza chmur. Trop odcisnięty w wilgotnej ziemi prowadził w kierunku nadrzecznych chaszczy.

Nim porucznik wkroczył między zarośla, dobył pistolet i odbezpieczył sprężynę skałki.

Zdrowaśkę później natknął się na szerokie plecy wachmistrza. Tomasz Mroczek stał nieruchomo na brzegu, wpatrując się w nurt Wisły. Pod jego nogami leżała martwa, naga kobieta. Hirsz obrzucił trupa przelotnym spojrzeniem.

Podoficer odwrócił się. W dłoniach trzymał odbezpieczoną rusznicę.

Hirsz uniósł głowę, skupił wzrok na haczykowatym nosie i ciemnych oczach wachmistrza. Dostrzegł w nich niepokój.

- Co się stało?

Mroczek wskazał na szuwary.

- Coś tam się czaiło - stwierdził chrapliwym głosem. - Ni człek, ni zwierzę.

Joachim popatrzył na falującą ścianę sitowia.

- Może wodnik? - podsunął. Wachmistrz wzruszył ramionami.

- Może - mruknął bez przekonania. Porucznik przeniósł spojrzenie na kobietę. W mdłym świetle krew plamiąca skórę miała kolor rdzy.

- Znalazłeś jakieś ślady? - zapytał głucho. Podoficer potarł dłonią kanciastą szczękę.

- Żadnych, Joachimie. Morderstwa nie dokonano w tym miejscu.

- Jak się dowiedziałeś?

- Od stręczycielki z pobliskiego burdelu. Jest moją informatorką. Wyniosła po zmroku martwego noworodka i natknęła się na ciało. Oczywiście twierdzi, że dziecko urodziło się już martwe.

Porucznik skrzywił się niechętnie. A co miała mówić... za dzieciobójstwo karą było pogrzebanie żywcem. Wskazał palcem na trupa.

- Rozpoznała tę tutaj? Gdzie pracowała? Jak się nazywa?

Wachmistrz odchrząknął i splunął tuż przy ciele.

- Nie rozpoznała. Zresztą to nie dziwka, przynajmniej nie taka jak do tej pory.

- To znaczy?

- Sam zobacz.

Hirsz pochylił się nad zmasakrowanym ciałem. Końcami palców odgamał zlepione krwią włosy, odsłaniając pokiereszowane oblicze.

Zmarszczył brwi. Pomimo ran i stłuczeń twarz wydała mu się znajoma. Gdyby nie to miejsce...

Spojrział z niedowierzaniem na wachmistrza. Ten kiwnął głową.

Hirsz poczuł, jak oblewa go zimny pot.

- O kuuurwa... - jęknął przeciągle. - Czy ktoś o tym wie?

- Tylko my dwaj i morderca - odparł Mroczek. Porucznik wyprostował się i wciągnął do płuc orzeźwiający powietrze.

- Dobrze zrobiłeś. Powiadomię sekretarza koronnego. Tymczasem zabezpiecz teren. Potem z Birkutem i Iwanem obejdźcie burdele i austerie. Znajdźcie świadków!

Mroczek skinął głową.

Porucznik spojrział na majaczący w ciemności zamek. Dwór królewski, nieświadom wydarzeń, spał.

.

Kilka godzin później przybył goniec z pałacu. Joachim odesłał posłańca, po czym wyciągnął ze skrzyni najlepszy kaftan w olenderskim kroju, czarny płaszcz oraz kapelus z szerokim rondem.

Nim porucznik skończył się odziewać, dzwon na wieży kościoła Najświętszej Marii Panny wybił południe.

Hirsz zerknął w lustro. Jego szczupłą, inteligentną twarz wykrzywił niesmak. Wyglądał jak skończony pludrak. Niestety nie było na to rady. Ostatnimi czasy kontusz i żupan nie były mile widziane na dworze.

Porucznik rzucił w lustro ostatnie smętne spojrzenie i westchnął. Zamknął drzwi, zbiegł po skrzypiących drewnianych schodach do bramy i wypadł na rynek.

W Nowym Mieście był dzień targowy. Pomędzy straganami i jatkami tłoczyli się ludzie ze wszystkich stanów. Porucznik, używając łokci, przebił się przez ciżbę i skręcił w ulicę Freta.

Brukowana droga wiodąca do Starej Warszawy również była zatłoczona. Ludzie i zwierzęta przeciskali się w obu kierunkach na wąskiej przestrzeni. Szczęśliwie kilkadziesiąt kroków dalej ulica przechodziła w podłużny plac targowy o tej samej nazwie. Plac otaczały piętrowe domy, przeważnie drewniane, z rozmaitymi warsztatami i kramami.

Hirsz, lawirując między przechodniami, ruszył w stronę barbakanu.

Przy kościele Świętego Ducha jak zwykle pełno było jałmużników. Wrzucił miedziaka do kubka trzymanego przez ślepcę i przeszedł na drugą stronę ulicy, gdzie było mniej żebrzących. Za jego plecami rozległ się rwetes i przekleństwa. Porucznik obrócił głowę i akurat zdążył zobaczyć, jak żebrak bije kosturem chudego wyrostka, prawdopodobnie złodziejaszka. Jak na ślepcę, czynił to z podejrzaną celnością.

Porucznik uśmiechnął się pod nosem, zrobił krok i wpadł między trzech szlachciców. Podgolone łby zwróciły się w jego stronę.

- Proszę o wybaczenie waćpanów - rzekł pojednawczo.

Odpowiedziały mu tylko wrogie spojrzenia.

Hirsz, wyczuwając kłopoty, przyjrzał się baczniej mężczyznom. Byli to typowi mazowieccy szaraczkowie: brudni, śmierdzący, o horyzontach równie płaskich jak ich poletka. Sądząc po niezadknie dolnych partii ubioru, właśnie skończyli załatwiać poranną potrzebę. Utwierdził go w tym widok ich kompana, kucającego obok w zaułku. Na pucułowatym obliczu mężczyzny malowała się błoga ulga.

Oczywiście taki bezwstyd podlegał karze. Jednak w Rzeczypospolitej nikt nie traktował prawa literalnie. Zwłaszcza gdy miał herb, szablę i kompanów obok siebie.

Joachim odwrócił pospiesznie wzrok, ale było już za późno.

- Coś ci, waćpan, siedzi solą w oku - warknął ten, z którym się zderzył. Prawdziwy wielkolud, o policzkach i nochału koloru czerwieni biskupiej.

- Dajcie pokój, waszmość. Zwady nie szukam.

Szlachetka mruknął coś niezrozumiale i spojrzał wilkiem. Najwyraźniej zabrakło mu konceptu. W sukurs pospieszył mu jego kompan, konus o obwisłych wąsach, odziany w kontusz z lisim kołnierzem. Jego kaprawe oczka zatrzymały się na stroju Hirsza.

- Jędrus, ty go waćpanujesz, a może to jeno łyk pospolity, patrzaj, nawet szabli nie nosi.

Wielkolud i ten trzeci, który się do tej pory nie odzywał, spojrzeli na kurdupla z podziwem. Stało się jasne, kto jest mózgiem tej grupy.

Hirsz zmrużył powieki i popatrzył niskiemu szlachetce w oczy.

- Szlachciz jestem jako i wy - rzekł twardszym tonem. - Źle wam nie życzę.

Konus uśmiechnął się przebiegle, kładąc dłoń na szabli.

- To i po chrześcijańsku, że nam nie życzysz. Tylko czyś ty prawdziwy Polak katolik, a nie odszczepieniec od Lutra lubo, co gorsza, arianin?

Jak widać, szaraczkowie za nic mieli swobodę wyznania i najwyraźniej szukali okazji do rozróby.

Porucznik zauważył, że trzeci z warcholów zaczął przesuwac się za jego plecy. Przeklął w duchu swój pech. Ostatnio jego stosunki z sekretarzem koronnym nie układały się najlepiej. Szlacheckie trupy w dniu rozpoczęcia sejmiku wojewódzkiego na pewno ich nie polepszą. Zerknął w lewo, na grubasa kucającego w zaułku. Ten, widząc, co się święci, w pośpiechu naciągał spodnie. Nie było na co czekać. Hirsz zrobił krok w bok, zyskując przestrzeń i sięgając jednocześnie po króciwą tkwiącą pod płaszczem.

Niespodziewanie od ulicy Mostowej wmaszerował ront gwardii królewskiej i wybawił porucznika z kłopotu. Wykorzystując wahanie pieniaczy, Joachim zgrabnie wymiął Jędrusia i zrównał się z gwardzistami. Ściągał go szyderczy śmiech i niewybredne wyzwiska.

Joachim mimo nadszarpiętej ambicji poczuł ulgę. W królewskiej służbie trzeba czasem przedłożyć obowiązek nad dumę.

Przy barbakanie odłączył się od gwardzistów, żeby skręcić w Podwałę. Dotarł do placu kaźni zwanego Piekiełkiem i idąc wzdłuż płotu jurydyki biskupiej, wyszedł na Miodownicą. Przywitał go przyjemny zapach miodowych wypieków i żywicy.

Po obu stronach uliczki wznosiły się domy i zakłady cukiernicze. Tutejsi mistrzowie cechowi przybyli do stolicy aż z Torunia. Przy budach i straganach z ciastami i piernikami tłoczyli się kupujący oraz gapie. Głód ścisnął w trzewiach Joachima. Kupił w najbliższym straganie wypiek i gryząc ciasto, skierował kroki do pałacu.

Nowo wzniesiona siedziba służby królewskiej była silnie umocniona. Pałac otaczały fortyfikacje z bastionami oraz sucha fossa. Nad rowem przerucono most łańcuchowy, prowadzący do bramy. Przy otwartych wierzchołkach pełnili rolę gwardziści królewscy.

Porucznik pokazał im zawieszoną na szyi pieczęć instygatora. Żołnierze rozstąpili się i znalazł się na placu przed dwupiętrowym budynkiem. Skierował kroki ku głównemu wejściu. Zdał broń na wartowni i poszedł zameldować się w kancelarii.

Ostatnimi czasy Joachim nie cieszył się łaską sekretarza koronnego. Natychmiast przełożyło się to na jego relacje z kancelistami. Dawniej przyjaźni i uczynni, stali się z dnia na dzień lekceważący i opryskliwi. Tym razem natrafił na najgorszego z nich, nazwiskiem Johann Gutter.

Na widok oficera kancelista podskoczył jak oparzony. Wypadł pionunem z za biurka, żeby usłużnie otworzyć przed porucznikiem podwójne drzwi.

- Jego wielmożność oczekuje waćpana - oznajmił z napięciem, którego nie przykrył niemiecki akcent.

Hirsz uśmiechnął się pod nosem. Służalczość tego padalca była dobrą wróżbą.

Znalazł się w obszernej sali z oknami wychodzącymi na pałac Biskupów Krakowskich. Jan Gembicki siedział za masywnym biurkiem, z łokciami opartymi o pulpit i dłońmi złożonymi jak do modlitwy. Zza jego pleców patrzył z portretu miłościwie panujący Władysław IV Waza. Porucznik wyprzył się jak struna.

- Joachim Hirsz melduje się na rozkaz. Sekretarz wskazał stojące przy biurku krzesło.

- Niech pan siada.

Jan Gembicki był pięćdziesięcioletnim mężczyzną o ciemnych, wyrazistych oczach i szpiczastej brodzie. Choć duchowny, na dworze królewskim nosił się z francuska, zgodnie z najnowszą modą.

Obrzucił Hirsza taksującym spojrzeniem, jakby oceniał, na De może być z nim szczerzy.

- Dziś rano znaleziono zwłoki kobiety - chrząknął. - Zjawiłeś się tam waszmość pierwszy, choć to nie jest twój rewir.

- Rok temu badałem, na polecenie waszej wielmożności, sprawę brutalnych morderstw. Mój informator uznał, że wciąż jestem zainteresowany.

Sekretarz groźnie zmarszczył brwi.

- Sprawcę tamtych zbrodni pochwycono i stracono. Czyż nie?

Porucznik odchrząknął, oczyszczając gardło.

- Wasza wielmożność, mam inne zdanie w tej kwestii. Wedle mnie prawdziwy winowajca jest wciąż na wolności.

Zamilkł, czekając na wybuch gniewu. Ku jego zdumieniu z ust sekretarza nie padły żadne groźby czy połajanki. Zamiast tego Jan Gembicki westchnął głęboko i pokręcił głową jak ktoś, kto nie dowierza własnym uszom.

- Czy ten rok niczego cię nie nauczył, poruczniku? - Jego Wielmożność był wyraźnie poirytowany. - Tamta sprawa jest zamknięta raz na zawsze. Wczorajsze morderstwo stanowi zupełnie odrębny przypadek. Radzę waćpanu, abyś przyjął w końcu ten fakt do wiadomości. Jesteś pan zdolnym oficerem i wiąże z twą osobą duże plany, lecz nie zniosę dalszej niesubordynacji. Czy to jasne?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Stanie się wedle woli waszej wielmożności. Jan Gembicki odchylił się na oparcie krzesła.

- Doskonale, poruczniku. Zatem zagramy w otwarte karty. Wiesz oczywiście, waćpan, kim była zamordowana kobieta.

- Małgorzata Brylska. Kochanka króla. Sekretarz koronny przytaknął ruchem głowy.

- Jego Wysokość niezwykle boleje nad tą stratą. Musimy pochwytać sprawcę tej zbrodni. Ta sprawa ma bezwzględne pierwszeństwo. Król nalegał, aby śledztwo prowadziła osoba doświadczona i obeznana ze sprawami dworskimi. Zarekomendowałem waćpana, wskazując, żeś prowadził podobną sprawę przed rokiem i pochwyciłeś sprawcę.

- Nie wiem, czy zasłużyłem na tę łaskę - palnął Hirsz i natychmiast ugryzł się w język. W ustach poczuł krew.

W oczach Gembickiego pojawił się złowieszczy błysk, niemniej sekretarz kontynuował wywód.

- Rano brałem udział w sekcji zwłok pani Brylskiej. Prowadził ją osobisty cyrulik króla, Aleksander Duré. To nie był przyjemny widok, nawet dla mnie. Przed śmiercią poddano ją mękom.

Wyglądało to na jakiś rytualny obrządek.

Jan Gembicki zamilkł, dając oficerowi czas na przetrawienie jego słów. Hirsz domyślał się już, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa, i wcale mu się to nie podobało.

- Możliwym jest wobec tego, że ta sprawa ma związek z czarną magią. Zatem powinna podlegać jurysdykcji duchownej - zasugerował.

Sekretarz rozłożył dłonie.

- Prymas, jak i całe jego stronnictwo, niechętni są polityce królewskiej. Zatem nierozsądną rzeczą byłoby mieszać go w sprawę dworu.

- Wciąż nie rozumiem, co mogę poradzić w tej materii.

Gembicki wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu.

- Ależ doskonale pojmujesz, kawalerze. Hirsz spojrział niepewnie na rozmówcę.

- Twoją matkę spalono za czary, nieprawdą, poruczniku? - bardziej stwierdził niż zapytał Jego Wielmożność.

Hirsz zamarł w bezruchu.

- Nie dziw się tak waszmość - ciągnął Gembicki z uśmieszkiem błakającym się na wargach. - Moją rzeczą jest wiedzieć. Inaczej król nie dałby mi tego krzesła.

- Byłem wtedy dzieckiem. - Joachim postarał się, by jego głos brzmiał beznamiętnie.

- Zdolności magiczne można dziedziczyć. Mylę się, poruczniku?

- Czasami, owszem, lecz nie w moim przypadku. Jestem wiernym chrześcijaninem i synem Kościoła. Nic nie wiedziałem o...

Sekretarz przerwał mu szybkim ruchem dłoni.

- Ależ, kawalerze, nikt cię nie oskarża. Jeśli interesują mnie pewne twoje zdolności, to tylko w zakresie, w jakim mogą pomóc w pochwyceniu sprawcy.

Porucznik pojął, że dalsze zapieranie się tylko mu zaszkodzi.

- Zrobię, co w mej mocy, wasza wielmożność - wymamrotał.

Gembicki kiwnął głową z uznaniem.

- W gruncie rzeczy jesteś pan człowiekiem rozsądnym. Zawsze o tym wiedziałem. W kancelarii przekażą ci szczegóły sprawy i wystawią glejt z pieczęcią królewską. Każdy urzędnik królewski czy miejski zobowiązany będzie udzielić waszmości pomocy.

Jego Wielmożność ruszył od niechcienia dłonią. Oznaczało to koniec audjencji.

Hirsz powstał na nogi, pokłonił się i ruszył do drzwi.

- Ach, jeszcze coś, poruczniku. Joachim obrócił się.

- Znajdźcie mordercę, to nie ominie was nagroda. Gdybyście jednak zawiedli mnie i króla, to...

Nie musiał kończyć. Groźba zawisła w powietrzu była równie czytelna, jakby ją wypowiedziano na głos.

•

Z informacji uzyskanych w kancelarii najbardziej interesujący był raport z sekcji zwłok. Już sam fakt, że się na nią zgodzono, był niezwykły. Kościół stanowczo potępiał tego rodzaju praktyki.

Trzy stronicie papieru zapisano drobnymi, eleganckim literami. Porucznik domyślał się, że to charakter pisma Aleksandra. Na ostatniej stronie nie było bowiem pieczęci ani podpisu.

Zastanawiał się, od czego zacząć. Sprawa sprzed roku została zamknięta. Świadkowie, i tak nieliczni, umarli w tajemniczych okolicznościach lub wyjechali z miasta. Ktoś skutecznie zacierał za sobą wszystkie ślady.

Postanowił rozpocząć od przeszukania rzeczy ofiary.

Kochanka królewska mieszkała w kamienicy przy ulicy Świętojańskiej. Posesja oficjalnie



należała do Stanisława Baryczki, wójta Starej Warszawy i owiesnego JKM-ci. Odkąd na zamku zamieszkała nowa królowa, rezydowały tu wszystkie kolejne metresy Jego Wysokości.

Zmierzając do celu, Joachim poskładał w myślach znane mu fakty. Przeczował, że morderstwo Małgorzaty Brylskiej powiązane jest z krwawymi zbrodniami, które wstrząsnęły Warszawą zeszłej jesieni. Ofiarami nieuchwytnego mordercy padło wówczas kilkanaście niewiast, głównie ładacznicy, oraz dwóch szlachciców, przypuszczalnie pechowych świadków zbrodni. Poszlaki wskazywały na osobę Stefana Kłodzkiego, znanego warszawskiego kupca. Niestety, zanim zdołano go pojmać i przesłuchać, odebrał sobie życie. W kamienicy podejrzanego znaleziono poćwiartowane zwłoki małżonki oraz czwórki dzieci. Przeżył jedynie niedorozwinięty parobek, służący u kupca. Niedojda przysięgał, jakoby jego pan zaprzedał duszę diabłu. Klął się również, że widział na własne oczy owego czarta. Zeznań tych jednak nie zdążył powtórzyć na procesie. Jeszcze tej samej nocy zmarł w celi. Jak orzekli medycy, pękło mu serce. W tej sytuacji sąd biskupi orzekł, że Kłodzki służył diabłu i pod wpływem Złego popełniał zbrodnie.

Hirsz był odmiennego zdania. Kupiec rzeczywiście miał współnika. Jednak nie był nim szatan, lecz człowiek z krwi i kości. Zapewne czarodziej, parający się czarną magią. Ktoś, kto przemierzał krwawe ścieżki nekromancji.

Hirsz przedstawił swoje domysły Janowi Gembickiemu. Następnego dnia odebrano mu śledztwo i popadł w niełaskę. Zbliżał się sejm walny i dwór chciał jak najszybciej zapomnieć o całej sprawie.

Od tego czasu z ulic zniknęło wiele kobiet, choć większości ciał nigdy nie odnaleziono.

Porucznik skierował myśli ku Małgorzacie Brylskiej. Osoba metresy również stanowiła zagadkę, nie mniejszą niż samo morderstwo. Brylska przybyła do Warszawy ledwie przed kilkoma miesiącami. Niektórzy twierdzili, że pochodzi ze Śląska, inni wskazywali na Litwę czy nawet Inflanty. Nikt jednak nie potrafił rzec nic pewnego. Porucznik siłą rzeczy musiał również oprzeć się w tym temacie na plotkach i domysłach krążących po stolicy.

Ponoć król poznał Małgorzatę Brylską za pośrednictwem marszałka nadwornego, Adama Kazanowskiego. Przyjaciel króla z lat szkolnych i ulubiony faworyt zwany był powszechnie, acz po cichu, rajfurem królewskim. O ile porucznik wiedział, niewiele było w tym określeniu przesady. Większość swych kochanek Jego Wysokość spotykał właśnie w pałacu Kazanowskiego. Jak głosiła stugębna plotka, marszałek w swej posiadłości przy Krakowskim Przedmieściu utrzymywał na potrzeby monarchy niewielki harem.

Zastanawiający był również wybór ofiary. Dotychczas ginęły kobiety z gminu, ubogie, bez rodziny, często dziwki. Tymczasem zamordowanie metresy królewskiej musiało rozpętać wielkie polowanie. Z jakich powodów zbrodniarz podjął owo straszne ryzyko? Czy był to postępek szaleńca, przypadek czy też coś, czego porucznik na razie nie rozumiał?

Po kwadransie marszu stanął przed kamienicą Baryczków. Chwycił kołatkę w kształcie lwiej paszczy i uderzył po trzykroć w obite blachą drzwi.

W sieni zaszuwały stopy. Przez wizjer wyjrzało czyjeś oko.

- Kto tam? - zza drzwi dobiegł zgrzytliwy głos.

- Instygator królewski, Joachim Hirsz. - Zniżył ton. - Mam glejt na przeszukanie komnat pani Brylskiej.

Sztaby zazgrzytały, drzwi rozwarły się nieco. W szczelinie pojawiła się siwa głowa.

- Pokaż waćpan ten glejt.

Porucznik wyciągnął za pazuchy rulon i wręczył starcowi. Drzwi zatrzasnęły się ponownie, aby po chwili rozewrzeć się na całą szerokość. W progu ukazał się przygarbiony mężczyzna, odziany w czarny żupan. Oddał pismo, wpuścił Hirsza do środka i zamknął za nim drzwi.

Porucznik znalazł się w przestronnej, bogato zdobionej sieni.

- Kim tu jesteś? - zapytał starogo.

- Jan Żółtko, ochmistrz i zarządca tego domu.

- Długo służysz u Baryczków?
- Będzie ze trzydzieści років.
- Gdzie są pokoje pani?
- Na piętrze, panie.
- Zatem prowadź.

W połowie długości sieni znajdowały się schody wiodące na górę. Gdy dotarli na piętro, ochmistrz otworzył dwuskrzydłowe drzwi. Oczom Joachima ukazała się wielka sala jadalna. Pośrodku stał prostokątny stół i dwa obite skórą krzesła z wysokimi oparciami. Na ścianach wisiały arasy i wschodnie kobierce. Porucznik rozejrzył się pobieżnie, bardziej z ciekawości niżli nadziei na znalezienie czegoś ważnego. Następnie kazał się prowadzić do sypialni Małgorzaty Brylskiej.

Alkova znajdowała się piętro wyżej. Komnata niewiele ustępowała wielkością jadalni. Dwa okna wychodziły na podwórze. Środek sypialni zajmowało łoże z baldachimem, ustawione naprzeciwko wielkiego lustra. Umieblowania dopełniały: stolik, szafa, komoda i skrzynie.

Od razu też uwagę porucznika przykuł jeden z kufków. Stary, podniszczony, sprawiał wrażenie, jakby nie zawierał nic cennego. Joachim podszedł bliżej, by zerknąć na wieko. Tak jak się spodziewał, w okuciu wykuto zakłęcie. Dla niewprawnego oka wyglądało jak zwykły ornament.

Minął obojętnie kufer i przystanął przy szafie. Obróciwszy się do ochmistrza, zmierzył go groźnym spojrzeniem. Grdyka starego poruszyła się gwałtownie.

- Byłeś tu wczoraj po zmroku?
- Byłem, panie, jako żywo.
- Zatem widziałeś, jak pani Małgorzata Brylska wychodziła po zmroku z kamienicy. Żółtko stropił się wyraźnie.

- Jaśnie wielmożna pani nie opuszczała wczoraj swoich komnat.

Hirsz spojrział na niego nieufnie.

- Możesz się spił i zaległeś?

- Przysięgam na rany Chrystusa - zapewnił żarliwie sługa. - Wielmożna pani nigdzie nie wychodziła. Po dziewiętej ośmiobście zamykam drzwi na ulicę i podwórze.

- Miała klucze?

- To niemożliwe. Klucze noszę zawsze przy sobie, wielmożna pani nie miała do nich przystępu.

Działo się tak na życzenie samego króla.

Ach, więc Jego Wysokość nie do końca ufał w wierność swej kochanki.

- Więc zapewne wyszła przez okno?

- W oknach są kraty - odparł rezolutnie stary. - Poza tym moja izba graniczy z sienią. Na starość źle sypiam, a wczoraj w dodatku była pełnia. Słyszałbym, panie.

- Są inni świadkowie, którzy potwierdzą twe słowa?

- Cała służba, panie. Wielmożna pani po wieczerzy zaczęła słabować. Wcześniej położyła się do łóża. Pokojówki mogą zaświadczyć.

Hirsz nie spuszczał z ochmistrza badawczego spojrzenia.

- Macie tu tajemne przejście na miasto?

- Z pewnością nie, panie - zaprzeczył Żółtko. O ile Joachim znał się na ludziach, stary mówił prawdę lub raczej to, co za prawdę uważał. Wszystko wskazywało na to, że Małgorzata Brylska wymknęła się niepostrzeżenie z domu. Zagadką pozostawał sposób, w jaki to uczyniła. Odpowiedź mogła znajdować się w tajemniczej skrzyni.

Hirsz postanowił przycisnąć starego, żeby pozbyć się go z komnaty.

- Jednak pani Brylska opuściła ten dom wczorajszej nocy - oświadczył złowróźnie. - Jak to wytłumaczysz?

Ochmistrz przestąpił z nogi na nogę.

- Nie potrafię, wielmożny panie - odparł żałośnie.

Porucznik prychnął pogardliwie.

- Twa historyjka nijak nie trzyma się kupy. Chyba że... - zawiesił głos - ...jesteś współnikiem mordercy.

Stary zaczął się trząść jak galareta.

- Panie, ja nie... - zająknął się.

Hirsz nie pozwolił mu dokończyć. Zrobił krok do przodu, chwycił go mocno za kołnierz i potrząsnął trzy razy.

- Przyznaj się po dobroci - warknął - bo pójdziesz na mękę. Przy kacie wyśpiewasz wszystko.

W oczach sługi błysnęło przerażenie. Osunął się na podłogę, obejmując porucznika pod kolana.

- Mówię prawdę, panie - załkał. - Klnę się na głowy mych wnuków. Jam niewinny.

Joachim tylko na to czekał.

- Być może - rzekł łagodnie. - Śledztwo niechybnie wykaże prawdę. Teraz wyjdź! - Joachim wskazał palcem drzwi.

Stary zawałał się, niemniej wykonał polecenie.

Gdy tylko Hirsz został sam, zaczął szukać klucza do tajemniczej skrzyni. Przy zwłokach go nie znaleziono. Przepuszczalnie był gdzieś w tej komnacie. Oczywiście pod warunkiem, że nie zabrał go morderca.

Kobiety zazwyczaj chowają cenne drobiazgi w podobnych miejscach. Małgorzata Brylska nie należała w tym względzie do wyjątków. Odnalezienie klucza zajęło porucznikowi niespełna dwa pacierze. Obiekt poszukiwania wisiał przyczepiony do tylnej strony zwierciadła.

Joachim przykląkł przy kufzie i przekręcił klucz w zamku. Magiczny ornament zajarzył się przez chwilę. Porucznik ostrożnie uniośł wieko.

Wewnątrz była szkatułka. Wyjął ją i obejrzał gruntownie, szukając zaklęć zabezpieczających. Żadnych nie dostrzegł. Siegnął do pasa po pęk wytrychów. Dopasował odpowiedni i otworzył zamek. Jego oczom ukazał się zestaw kilkunastu szklanych flakoników o długich, spiralnych szybach. Wszystkie zawierały różnokolorowe substancje.

Jako pachole dość się napatrzył na mikstury warzone przez matkę, żeby nie rozpoznać znaleziska. Na pierwszy rzut oka potrafił odgadnąć działanie poszczególnych eliksirów. Były to specyfiki na wzmocnienie doznań miłosnych, zwiększenie potencji, poprawę urody.

Uwagę porucznika przykuł pękaty kryształ, zawierający miksturę o barwie krwi.

Wyciągnął go i postawił na otwartej dłoni. Przez skórę czuł, jak pulsuje zawarta w substancji moc. Zamarł, zaskoczony odkryciem. Fakt, że kochanka króla korzystała z magii lub sama ją praktykowała, budził konsternację.

Odkorkował flakonik. W powietrzu rozszedł się mdły zapach, budzący niemiłe skojarzenia. Roztarł kilka kropel na opuszkach palców i powąchał. Znał ten posmak. Ludzka krew, poddana magicznej transmutacji, uwarzona z kilkoma odrażającymi substancjami.

Wizja rozsadziła mu umysł niczym pocisk. Hirsz przymknął powieki, czekając, aż tysiące roztrzaskanych elementów spoi się w lustrzaną taflę. W zwierciadle pojawił się cień kobiecej sylwetki. Żalane posoką ciało, udręczone oczy wpatrzone w coś z przerażeniem, usta otwarte w przeraźliwym krzyku. Wszystko trwało nie dłużej niż trzy oddechy.

Joachim otarł wierzchem dłoni pot z czoła. Jak zwykle po wizji serce mu waliło niczym dzwon Zygmunta i w ustach mu zaschło.

Zacisnął dłoń na flakoniku i podeszedł do stołu, na którym stała karafka. Odkorkował kryształ, pociągnął parę głębokich haustów. Wino rozlało się przyjemnie po gardle. Odetchnął, zbierając myśli.

Twórca tego eliksiru praktykował czarną magię w jej najgorszym aspekcie. Krew, żeby nabrała odpowiedniej mocy, musi być odebrana ofierze siłą. Im bardziej dawca cierpiał i bał się przed śmiercią, tym substancja wykazywała silniejsze właściwości magiczne. Kochanka króla była zbyt

znana, żeby osobiście utrzymywać tak niebezpieczną znajomość. Zatem w kontaktach z tajemniczym alchemikiem musiała posłużyć się pośrednikiem. Osobą, której bezwzględnie ufała. Zapewne był to ktoś ze służby. Hirsz postanowił jeszcze dziś przesłuchać domowników. Najlepiej w obecności oprawcy. Niewiele bowiem rzeczy pobudza skuteczniej ludzką pamięć, niż widok rozpalonego żelaza.

Planując kolejność przesłuchań, błędził wzrokiem po komnacie, aż bezwiednie zatrzymał spojrzenie na kufzie. Pod otwartym wiekiem stały równiutko ustawione flakoniki. Piękna, ręczna robota szklarzy krakowskich.

Olśnienie nadeszło jak złodziej.

•

Joachim Hirsz postanowił jak najszybciej spotkać się z Katarzyną Tarską. Kamienica należąca do młodej wdówki stała przy ulicy Piwnej. Budynek był murowany, choć nie tak okazały jak kamieniczka Baryczki. Porucznik jak zwykle wszedł boczną furtą od podwórza. Katarzyny nie było w domu. Porucznik domyślił się, że spędziła ostatnią noc z jednym z wpływowych kochanków.

Polecił pokojowce przynieść wino i coś do jedzenia. Następnie skierował się wprost do sypialni. Korzystając z okazji, poszperał w kufkach pani domu. Bez trudu odnalazł to, czego szukał.

Zadowolony, napełnił winem kielich i podszedł do okna. Jesienna mżawka zraszała wąskie, zapelnione przechodniami uliczki. Grupki żywo dyskutującej szlachty szły w kierunku pobliskiego kościoła św. Marcina, gdzie toczyły się obrady sejmiku wojewódzkiego. Joachim poczuł senność. Opróżnił kielich i położył się na łożu. Morfeusz nadleciał niepostrzeżenie.

Obudziła go delikatna woń perfum.

Otworzył oczy i ujrzał swą dobrodziejkę.

Wyglądała niezwykle pięknie, wystrojona w czarną suknię, na którą spływały kaskady długich ciemnorudych włosów. Patrzył zauroczony przez chwilę, nie potrafiąc wydobyć z siebie słowa.

- Naprawdę cudownie wyglądasz - powiedział w końcu.

Poprawiła włosy.

- Wiem, ale dziękuję.

Przęc się jak kotka, ułożyła się obok mężczyzny. Oparta na łokciach, potrząsnęła lekko głową, wzburzając fale lśniących włosów.

- Może chcesz się napić wina, Joachimie, albo coś zjesz?

- Nie, dziękuję.

- To co robimy? - zapytała, rozchylając lekko uda.

Wyciągnęła dłoń, którą zdobiły drogocenne bransoletki, i musnęła koniuszkami palców jego ciemną czuprynę.

Hirsz spojrzał na błyszczące klejnoty.

- Jesteś diabelnie kosztowna, nie wiem, czy mnie będzie stać - rzekł z sarkazmem.

Pochyliła się i musnęła delikatnie wargami jego zarośnięty policzek. Poczul przyjemny ciepły oddech, gdy całując, szepnęła:

- Dziś dostaniesz za darmo, poruczniku.

•

Leżeli zmęczeni, ciężko oddychając. Joachim spojrzał przez okno. Na dworze zapadł zmrok. Wysunął się z ramion kochanki. Usiadł na brzegu łóżka, podniósł koszulę leżącą na dywanie i naciągnął na pokryty bliznami grzbiet.

Zerknął na Katarzynę. Przyglądała mu się spod przymkniętych powiek.

- Kiedy się kochaliśmy, myślałeś o czymś innym...

Hirsz skrzywił się.

- Nic się przed tobą nie ukryje. Wyskubane brwi uniosły się.

- Znów wpakowałaś się w kłopoty? Potrzebujesz pieniędzy?

Hirsz obrócił głowę. Wyglądała pięknie i niewinnie, w zielonych oczach dostrzegał szczerą troskę. Poczuł uścisk w żołądku. Natychmiast przywołał na pomoc rozsądek.

Katarzyna Tarska była słodka. Porucznik nigdy jednak nie zapomniał o okolicznościach, w jakich się poznali.

Kilka lat temu prowadził śledztwo w sprawie śmierci jej męża, Stanisława Tarskiego. Krewni nieboszczyka, który pozostawił całkiem spory majątek, oskarżyli młodą wdowę o trucielstwo. Wedle zebranych dowodów oskarżenie było fałszywe, a prawdziwym mordercą okazał się syn Tarskiego, pasierb Katarzyny. Młodzieniec nie mógł ścierpieć myśli, że stary przyk zapisze cały majątek żonce, która owinęła go sobie wokół palca. Potem, gnębiony wyrzutami sumienia, popełnił samobójstwo. Tak przynajmniej brzmiała oficjalna wersja. Prawda była bardziej skomplikowana. Młodzieniec zostawił bowiem list. Pisał w nim o swoim romansie z macochą i planie, jaki wspólnie uknuli. Na szczęście dla wdówki list ten znalazł się w posiadaniu Joachima. W ten sposób Katarzyna zachowała majątek i wolność, a on sam zyskał dozgonną wdzięczność wdówki.

Porucznik sięgnął po kaftan leżący na stoliku i wyjął z kieszeni flakonik.

Katarzyna uniosła głowę.

- Co to jest?

- Nie wiem. Znalazłem tę miksturę w szkatule Małgorzaty Brylskiej.

Poderwała się gwałtownie, zrzucając kołdrę. Obfite piersi zafalowały, przykuwając wzrok.

- Przeszukiwałeś dom kochanki króla?

- Już nią nie jest.

- Co? Jak? - krzyknęła oburzona, że to nie ona pierwsza poznała najnowsze plotki.

- Małgorzata Brylska została zamordowana tej nocy.

Rozkoszne półkule zafalowały ponownie.

- Czy dwór już wie?

- Tylko król i parę zaufanych osób.

- To wszystko wyjaśnia - mruknęła pod nosem.

Spojrzała na Joachima przeciągle, jakby dopiero teraz dotarł do niej sens jego słów.

- Kto ją zabił?

- Właśnie tego mam się dowiedzieć.

- Sekretarz powierzył ci to śledztwo? - W jej głosie brzmiało niedowierzanie.

Hirsz z przyjemnością obserwował zdumienie wypisane na pięknej twarzy.

- Tak.

- Nie rozumiem, dlaczego. Od czasu tamtych morderstw sprzed roku jesteś u niego w niełasce.

- To ten sam morderca. Choć nikt tego oficjalnie nie przyzna.

- Więc miałeś rację?

Joachim poczuł się nieprzyjemnie zaskoczony.

- Wątpiłaś w to kiedyś? Odwróciła wzrok.

- No, oczywiście nie, ale sam wiesz... - zawahała się, zawstydzona.

- Co mam wiedzieć? - prychnął ze złością.

- Te wizje, nocne koszmary. Czasem wydawało się, że popadasz w szaleństwo.

Tym razem to on odwrócił wzrok.

- Teraz mam coś, czego mi wtedy brakowało.

- Mianowicie? Podsunął jej flakonik.

- Trop, Katarzyno. Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Co to za mikstura, Joachimie?

- Sama zobacz.
- Z wahaniem sięgnęła po naczynko. Wyjęła korek, powąchała zawartość i skrzywiła nos.
- Śmierdzi! Co to jest?
- Dokładnie nie wiem. Być może eliksir miłosny lub na poprawę urody. Zresztą ty mi to powiedz.
- Ja! - krzyknęła z doskonale udawanym oburzeniem.
- Znalazłem to w kufrze Brylskiej. Razem z innymi eliksirami. Były tam maści na zachowanie gładkiej skóry, środki zapobiegające poczęciu, afrodyzjaki. Zresztą sama lepiej wiesz.
- Wymownie spojrział w kierunku schowka, gdzie znalazł podobne mikstury.
- Grzebiesz w moich skrzyniach? - wyszczała z furią. - Ty niewdzięczny łotrze!
- Porucznik wzruszył ramionami, nie odrywając wzroku od jej twarzy.
- Więc od kogo kupujesz mikstury? Zawahała się.
- Od jednej z dwórek królowej.
- Dworka królowej para się alchemią i czarną magią? - Joachim nie krył niedowierzania.
- Zaprzeciżyła gwałtownym ruchem głowy.
- Ona tylko pośredniczy. Mikstury wytwarza ktoś inny.
- Kto taki?
- Mistrz Aleksander Duré - odparła z ociąganiem.
- Tym razem porucznik był mniej zaskoczony. Za tym człowiekiem snuła się zła fama.
- Osobisty medyk króla, to ciekawe - rzekł po krótkim namyśle.
- Nie mieszaj się w to, Joachimie. Mistrz jest nietykalny. Od czasu, gdy ocalił życie księcia Zygmunta, król ufa mu bezgranicznie. Oddalił wszystkich innych medyków z dworu. Trzeba przyznać, że od tamtej pory zdrowie Jego Wysokości bardzo się poprawiło. Podagra i ból nerek ustąpiły, a król znów chodzi o własnych siłach. Ludzie mówią, że to cud.
- A inni, że sprawka samego diabła - wtrącił Hirsz.
- Kobieta zacisnęła pięści w rozpaczliwym geście.
- Joachimie, zaklinam cię, bądź rozsądny. Obiecuj mi to.
- Hirsz spojrział w piękne zielone oczy. Znów ujrzał w nich szczerą troskę. Zaniepokojony, odwrócił wzrok.
- Obiecuję, Katarzyno, naprawdę.
- Oczywiście nie zamierzał dotrzymać słowa.

•

Joachim opuścił kamienicę tą samą boczną furtką, przez którą wszedł. Owiął go zimny, przenikliwy wiatr. Na szczęście już nie padało. Wedle porannych ustaleń miał spotkać się z Mroczkiem wieczorem w „Baszcie”. Pod tą nazwą kryła się znana w Warszawie karczma. Zaczny ów przybytek mieścił się w Bramie Pobocznej.

Idąc szybkim krokiem, porucznik skręcił w ulicę Dunaj. Kramy rybne i jatki rzeźnicze były już pozamykane na cztery spusty. Minął kilku zawzięcie dyskutujących szlachciców i stanął przed Basztą. Wrota na Podwale były wciąż otwarte. Nigdzie nie było widać strażników miejskich. Porucznik skorzystał z bocznej furty i wślizgnął się na międzymurze. Wejście do gospody wiodło przez parterową przybudówkę.

Cuchnęło moczem i kałem.

Trzy kroki od przysieni pijany mężczyzna trzymał się kurczowo muru i sikał, próbując nie opryskać sobie cizm. O ile Hirsz mógł dostrzec w mroku, próby nie zostały uwiecznione powodzeniem.

Joachim pchnął drzwi i wszedł do sieni. Przywitał go pijacki śmiech i zapach jadła.

Przy wejściu do głównej sali stało dwóch pachołków. Obaj mieli po sześć stóp wzrostu i wyglądali na tęgieh zabijaków. Hirsz jako stały bywalec został przywitany przyjaznym skinieniem głowy.

Duża sala na parterze wypełniona była w trzech czwartych przez gości. Klienci, sami mężczyźni, zasiadali przy długich stołach, między którymi kręciły się służebne. Wszystkie młode, ładne, w jednakowych sukniach, z głębokimi dekolami i odkrytymi ramionami. Co rusz któryś z gości podnosił się z ławy, by ruszyć w towarzystwie jednej z piękności na piętro.

Dzięki sejmikowi gospody przeżywały okres prosperity. Ta zaś, ze zrozumiałych względów, cieszyła się szczególnym poważaniem. Wprawdzie prawo wyrzuciło domy rozpusty za obręb murów miejskich, lecz ten przybytek miał się całkiem nieźle. Działo się tak dzięki opiece imć pana starosty warszawskiego, cichego właściciela tego zacnego miejsca.

Wysoki szynkwias zajmował pół długości jednej ze ścian. Uwijał się za nim wielki, łysy barman. W kącie między szynkwasem a schodami, na wysokim zydlu, siedział Grzegorz Ryszko, kat warszawski oraz zarządca tej gospody z ramienia imć pana starosty. Małodobry był niskim, żyłastym mężczyzną o twarzy naznaczonej śladami po przebytej ospie. Pomimo liczej postury, jaką obdarzył go Najwyższy, biła od niego mroczna aura. Reputacja oraz fach uprawiany przez mistrza Grzegorza hamował fantazję tutejszych bywalców.

Hirsz rozejrzał się, szukając Mrocza. Po chwili wyłowił go w tłumie gości. Wachmistrz siedział w rogu sali. Na blacie przed nim stał dzban, a obok na ławie leżała szabla.

Tomasz dostrzegł go również. Podniósł szablę i położył ją przy dzbanie. Joachim usiadł na wolnym miejscu.

Mroczek obrócił się i złapał w talii przechodzącą akurat dziewczkę.

- Przynieś jeszcze dzban warki i kubek. Dziewczyna uśmiechnęła się, ukazując równe uzębienie.

- Tak, panie.

Wysunęła się zgrabnie z jego objęć i skierowała do szynkwasu.

Przez chwilę obaj nie spuszczały z oczu kołyszących się bioder. Mroczek sapnął z uznaniem.

- Powiadam ci, Joachimie, wychędożyłbym ją.

- Dowiedziałeś się czegoś? - zapytał Hirsz. Tomasz przecząco pokręcił głową.

- Przepytałśmy wszystkie dziwki, stręczycieli i złodziei na Podgórzu. Bez efektu. Nikt nic nie widział. Zupełnie jakby spadła z nieba.

Porucznik zaklął, a następnie zaczął opowiadać o miksturach Brylskiej oraz o rewelacjach uzyskanych od Katarzyny Tarskiej.

Mroczek słuchał w milczeniu, choć jego oblicze z każdym słowem stawało się bardziej pochmurne.

- Osobisty cyrulik króla zamieszany w czarną magię i morderstwa. Czyś ty do cna oszalał?

- To nasz jedyny wiarygodny ślad. Musimy go sprawdzić. Chcę wiedzieć o nim wszystko. Jaką ma kochankę, gdzie bywa, czym się zajmuje, gdy nie gości na zamku.

- Jeśli Gembicki dowie się, że śledzimy zaufanego króla, to obaj wylądujemy w jakimś śmierdzącym gamizonie na Dzikich Polach.

- Tylko pod warunkiem, że damy się złapać. Mroczek nie wyglądał na pocieszonego. Sapnął i osuszył do końca kufel.

Na szczęście zjawiała się dziewczyna z dzbanem. Pochyliła się nad ramieniem Tomasza. Wzrok Hirsza przykleił się do piersi wypływających spod gorsetu. Mroczek chwycił za jedną z owych półkuł, wpychając dłoń pod sukno. Dziewczynie ta śmiałość najwyraźniej przypadła do gustu. Szepnęła mu coś do ucha. Niechybnie coś przyjemnego, bo na ustach wachmistrza pojawił się lubieżny uśmiech.

- Opuść cię na jakiś czas - oznajmił pogodniejszym tonem.

Objął dziewczkę w pól i poszli w kierunku schodów.

Osamotniony porucznik zajął się osuszaniem dżbana. Po drugim kuflu, znużony, zaczął przypatrywać się gościom. Zainteresowało go dwóch mężczyzn rozmawiających przy sąsiednim stole. W jednym z nich rozpoznał Dominika Szczukę, magistra poczty królewskiej. Jego kompana, siedzącego tyłem, nie kojarzył. Mężczyzna był rudowłosy i nosił się jak zamożny kupiec, choć u boku miał rapier. Obaj byli już nieco podpiści i rozmawiali na tyle głośno, że mógł się przysłuchiwać.

- Na wojnę z Moskwą idzie! - W głosie rudego pobrzmiwał obcy akcent. - Car, powiadają kupy, co w Moskwie bywają, nowe porządki wprowadza. Silną ręką Kreml trzyma. Bojarów za pysk chwycił. Ponoć najbogatszego z nich w kajdany zakuć kazał, a jego majątek zagamał. Ma batiuszka wielkie plany. Wojsko zbroi wedle zachodniego ordynku. Smoleńsk mu się marzy, a może nawet cała Ukraina. Szczuka machnęła lekceważąco dłonią.

- Niech tylko spróbuje, a znów Moskwę spalim, jak drzewiej bywało.

- Daj Boże, byś miał rację. Ja jednak źle sprawy widzę. Skarb pusty. Żołnierz nieopłacony o rokосу zamyśla. Panowie szlachta do kies sięgnąć nie chcą. Skłócenie z królem, jawnego zagrożenia nie widzą. - Rudzielec beknął, otarł wierzchem dłoni usta, po czym ciągnął wywód: - Cóż dziwić się zatem szarakom, skoro senatorowie za nic obowiązek wobec ojczyzny mają. Złoto biorą od obcych posłów i patrz tylko, jak Rzeczpospolitą niczym sukno na kawałki rozedrzeć.

- Nie kracz jak kruk nad padliną - skarcił go poczmistrz. - Kraj jest miodem i mlekiem płynący, wojen nie zna. Patrz tylko, co się w Rzeszy dzieje. Przez trzydzieści lat wrogie armie obracały tamtejsze krainy w pustynie. Dwie niedziele będzie, jakem z Pomorza powrócił. Od bram Szczecina aż do naszej granicy wszystkie wsie spalone, a grobów więcej niż żywych ludzi. Powiadam ci, Jakubie, zgroza.

Porucznik dalszych słów nie dosłyszał, bowiem zagłuszył je znajomy rechot. Hirsz, pełen najgorszych przeczuć, spojrzął przez ramię. Z pięterka schodziła czwórka znanych mu warcholów. Rozglądali się po sali, najwyraźniej szukając wolnego stołu. Joachim wiedział, że zaraz zostanie zauważony. Tak też się stało. Konus wskazał na niego łapą, rzekłszy coś do kompanów. Coś, co wyraźnie ich ucieszyło. Cała czwórka rzuciła się w dół po stopniach, niczym wygłodzone psy.

Hirsz przekreślił się w miejscu i oparł plecami o stół. Szaraczkowie stanęli półkolem, odgradzając go od sali. Komis przysunął się z drwiącą miną. Hirsza uderzył smród przetrwanego piwa i cebuli.

- Fortuna się do nas uśmiechnęła. Toć to nasz arian.

- Raczej zając, sądząc po tym, jak zwiewał -poprawił go błyskotliwie gruby szlachcic, stojący obok. Joachim rozpoznał w nim tego, który srał w zaułku.

- Co się odwlecze, to nie uciecze, jak to mówią. Już nam nie Czmychniesz - zapewnił solennie Jędrus.

- Nie zamierzam - przerwał tę wyliczankę porucznik. Dla podkreślenia wagi wypowiedzianych słów położył dłoń na szabli, pozostawionej przez Mroczka.

Ta hardość wyraźnie zaskoczyła pieniaczy. Nie tego się spodziewali.

Pierwszy odzyskał rezon Jędrus. Wysunął wojowniczo szczękę i oparł wielkie łapska na zawieszonej u boku zygmuntońce.

- Widzę, że masz żelazo. Zatem prosimy na zewnątrz. Wtedy obaczymy, czy abyś nie mocny tylko w gębie.

- Stawać ci osobno będziemy - zapewnił piskliwie konus, uśmiechając się przy tym fałszywie.

- Mnie tam wszystko jedno - odparł zimno Hirsz.

Wymieniali spojrzenia. Powoli pod ich zawstężonymi czuprynami zaczęła kiełkować niepewność. Hirsz chwycił szablę i zamierzał wstać. Powstrzymał go widok Mroczka, szczerzącego zęby z nad ramienia Jędrusia.

- Jakiś kłopot, Joachimie? - spytał z naciskiem wachmistrz.



- Dokładnie cztery.

Wielkolud obrócił się do wachmistrza i zmierzył go wzrokiem. Od razu dostrzegł, że tamten nie ma broni.

- Won mi stąd - warknął. - Bo krzywda jaka cię spotka.

Tomasz zacisnął usta, patrząc na niego z pogardą.

- Pomyliście sale - wycedził. - Wasze żony i matki usługują na pięterku.

Jędrus zadygotał.

- Ty kurwisynu - zaklął, chwytając za szablę.

- Ubić ich! - zawtórował mu konus, sam przy tym przezornie cofając się za plecy kompanów.

Wszystko rozegrało się błyskawicznie.

Ręka Mroczka wystrzeliła niczym wąż. Kant dłoni uderzył w krtań Jędrusia, nim ten wydobył ostrze z pochwy. Szlachetka zacharczał i zwałił się z łoskotem na klepisko.

Hirsz wyprostował nogę, mierząc czubem buta w kroczce grubasa. Ten, trafiony w słabiznę, jęknął i zgiął się w pół. Porucznik odbił się dłońmi od ławy, jednocześnie unosząc kolano. Rozległ się chrzęst. Warchoł rozplaszczył się na podłodze, nie wiedząc, co trzymać w pierw, jaja czy nos.

Trzeci z napastników, wysoki wąż, był sprytniejszy. Poniechał nieporęcznej w ścisku szabli na rzecz noża. Natarł na Mroczka, wyprowadzając pchnięcie w krtań. W ostatniej chwili wykonał zmyłkę, celując w brzuch wachmistrza. Tomasz ominął nóż przeciwnika, chwycił stojący na stole dzban i roztrzaskał naczynie na podgolonym łbie. Wąż zwałił się na ziemię jak worek kartofli.

Konus widząc, co się dzieje, z szablą w dłoni doskoczył do Mroczka. Wygięta klinga przecięła powietrze. Wachmistrz rzucił się w tył, o włos unikając rozplatania czaszki, ale potknął się o ławę. Szlachetka cofnął łokieć, gotując się do pchnięcia w pachwinę.

Porucznik wyszarpnął za pasa króciwą, odwiódł kurek i nacisnął spust. Huk wystrzału zagłuszył krzyki przerażonych gości. Przez gryzący dym Joachim dojrzał konusa, klęczącego na klepisku z obwisłą ręką. Z przestrzelonego ramienia ściekała strużka krwi.

Hirsz zerknął na Tomasza, upewniając się, że przyjaciel jest cały. Wachmistrz wbił wzrok w punkt nad jego ramieniem i rzucił się ku szabli, wciąż leżącej na stole. Joachim wyszarpnął drugi pistolet, równocześnie wykonując obrót przez ramię. Było jednak za późno. Wielki jak tunel otwór celował w jego pierś. Z drugiego końca rusznicy spoglądał groźnie Grzegorz Ryszko. Za plecami kata stało dwóch zabijaków. Obaj trzymali w łapach okute pałki.

- Rzućcie broń - warknął małodobry. Porucznik powoli odłożył pistolety, a Mroczek, klnąc pod nosem, rzucił szablę na blat stołu.

Konus oderwał spojrzenie od postrzelonej ręki i wlepił w Hirsza gorejące żądzą mordu oczy.

- Drzeć z was pasy będą! - wrzasnął, parszkając krwawą pianą. - Jesteśmy w służbie imć pana Radziejowskiego, za tę napaść gardła dacie.

Ryszko spojrział na niego takim wzrokiem, jakby zastanawiał się, czy mu nie przyłożyć.

- Milcz waść - zawarczał - z wami pogadam później.

Konus otworzył usta, lecz jeden z zabijaków wyciągnął ku niemu ostrzegawczo pałkę.

Ryszko ponownie spojrział na porucznika. Przez chwilę zdawał się namyślać. Joachim ze spokojem czekał na owoc tych wysiłków. Kat doskonale wiedział, kim jest Hirsz.

- Zapłaćcie za szkody i wynoście się - zadecydował Ryszko.

- Ile?

Ryszko zmrużył przebiegle oczy.

- Pięćdziesiąt złotych od łba.

- To rozbój - zaprotestował Mroczek. - Za rozbity dzban?

- Gości wystraszyliście. Jeśli wam za drogo, to wezwę straż miejską. Posiedzicie w loszku, a rano staniecie przed panem starostą. A on nie lubi takich, co wszczynają burdy w jego gospodzie.

- Zgoda - rzekł Hirsz - lecz nie mam tyle przy sobie.

- Ani ja. - Mroczek rozłożył ręce.

- Znaczy się, wolicie loszek - stwierdził z filozoficzną miną małodobry.

Rzecz jasna, porucznik nie zamierzał dać się zamknąć. Ostatecznie trzymał za pazuchą glejt królewski. Oczywiście Gembicki nie będzie zadowolony, kiedy się dowie, że jego oficer zasłania się pieczęcią Jego Wysokości w karczemnych bijatykach. A że się dowie, było niemal pewne. Jednakże perspektywa nocy w lochu była na tyle przykra, że Hirsz postanowił zaryzykować. Nim otworzył usta, by powiadomić małodobrego o glejcie, usłyszał za plecami stanowczy głos.

- Zapiszcie tę sumę na mój rachunek, mistrzu Grzegorzu.

Porucznik spojrział przez ramię na niespodziewanego dobroczyńcę. Okazał się nim być rudy mężczyzna, wcześniej rozmawiający z poczmistrzem. Ryszko łypnął oczami wpiętych na niego, potem na Hirsza.

- Skoro tak - mruknął i opuścił łufę - możecie iść.

- Puszczasz ich, łyku - warknął z niedowierzaniem konus. - Jakiem szlachcic, przykazuję ci...

Mięśnie na twarzy kata drgnęły spazmatycznie.

- Zamknij mordę, bo sam w lochach noc spędzisz. Wilgotno tam i gówna pełno. Zanim twój Radziejowski cię stamtąd wyciągnie, łatwo zgnilizna w ranę wdać się może.

Szlachcic zabalgotał z wściekłości, ale zamilkł, co dobrze świadczyło o jego rozsądku.

- Chyba już czas na nas, panowie - zauważył darczyńca.

Porucznik i wachmistrz jednocześnie kiwnęli głowami na znak zgody. Czterej mężczyźni opuścili gospodę wyjściem na Podwałę.

Gdy znaleźli się na ulicy, Hirsz zdjął kapelusz i pokłonił się swemu wybawcy.

- Joachim Hirsz do usług, a mój towarzysz to Tomasz Mroczek. Komu mamy dziękować?

- Jakub Peters - rudzielec ukłonił się lekko - rezydent Rady Miasta Gdańska przy majestacie królewskim... a to mój przyjaciel, pan Dominik Szczuka.

- Dziękuję waszmości. - Hirsz celowo posłużył się zwrotem zarezerwowanym dla stanu rycerskiego, gdyż patrycjusz gdańscy mieli się za równych szlachcie.

Nawet jeśli słowa porucznika polechtały próżność rezydenta, nie dał tego po sobie poznać.

- Ufam, że uczynilibyście podobnie na mym miejscu. Poza tym wielce mnie uradowaliście, dając nauczkę tym pieniaczom.

- Gdzie kwaterujesz, panie?

- W Domu Gdańskim. - Peters wskazał ruchem podbródka piętrowy pałac, górujący nad drewnianą zabudową Podwałę.

- Zatem jutro zjawimy się z długiem oraz fłaszczką węgrzyną w podzięcie, o ile oczywiście waszmość nie pogardzisz towarzystwem skromnych żołnierzy.

- Z radością wychylę z tak zacnymi kawalerami niejeden kielich. Jednak jutro rano wyjeżdżam w interesach. Spędzę w rozjazdach dwie niedziele. Niemniej po powrocie zapraszam waszmość panów w gościnę.

Pożegnawszy się z Petersem i Szczuką, a chwilę potem również z Mroczkiem, porucznik ruszył wzdłuż murów obronnych. Podwałę było opustoszałe. Gdziekolwiek tylko błyskały kaganki, niesione przez nielicznych przechodniów.

Mijając czynszówki, Hirsz poczuł, że jest obserwowany. Zmrużył oczy i spojrzął w tamtym kierunku. Z mroku wyłoniła się młoda kobieta w obcisłej delii, podkreślającej kształty. Szła z gracją, poruszając nieskromnie biodrami. Zbliżywszy się do Joachima, wyraźnie zwolniła. Obrzuciła mężczyźnie długim, zachęcającym spojrzeniem. Widząc brak zainteresowania, wykrzywiła usteczka i przypieszyła kroku.

Gdy Hirsz minął Basztę Prochową, znad muru miejskiego poderwał się, duży, ciemny kształt. Przez chwilę krążył nad spadzistymi dachami, po czym zaskrzeczał i poleciał w ślad za kobietą w delii.

## II

Z nieba siał, chłodny, jesienny deszcz. Joachim Hirsz minął barbakan i szybkim krokiem ruszył do Nowego Miasta.

Od znalezienia ciała Brylskiej minęło dziesięć dni, a on wciąż tkwił w martwym punkcie. Pomysł, aby obserwować Aleksandra Duré, okazał się kompletnym niewypałem. Jedyny podejrzany prowadził nudne życie uczonego. Jeśli nie przebywał na zamku, cały czas spędzał w swym dworze.

Posiadłość znajdowała się za wałami miejskimi, przy wąwozie Tamka. Ulokowana z dala od innych budynków, otoczona murem i zasłonięta drzewami, była idealnym miejscem do praktykowania czarnej magii. Terenu strzegło kilku strażników z psami.

Porucznik sięgnął nawet po czary, by przeniknąć do wnętrza, lecz osłony magiczne wokół dworu okazały się zaskakująco szczelne.

Joachim wierzył, że gdyby tylko mógł przeszukać pracownię cyrulika, znalazłby tam dowody zbrodni. Niestety pan Duré, pomimo uprawianego fachu, był szlachcicem, a do tego zaufanym króla. W tej sytuacji, żeby zdobyć pozwolenie na rewizję, musiał dysponować czymś więcej niżli tylko przecuciem.

Co gorsza, ubiegłej nocy zamordowano kolejną dziwkę. Stało to się w czasie, gdy on sterczał na deszczu pod domostwem podejznanego.

Hirsz kichnął siarczyście i wytarł nos grzbietem dłoni. Miał dreszcze i rozpalone czoło. Szczęśliwie dotarł już do miejsca, gdzie wynajmował kwatery.

Drewniany, dwupiętrowy budynek o spadzistym dachu nie przedstawiał się okazale. Joachim był jednak zadowolony. W izbach nie leżały się robaki (przynajmniej nie za dużo), a właściciel nie wtrącał nosa w nie swoje sprawy.

Joachim wszedł przez bramę do sieni. Wbiegł po schodach, marząc o kubku gorzałki oraz śnie. Wpadł w korytarz... i zarył piętami w podłogę.

Drzwi do jego kwatery były uchylone. Sięgnął po pistolet, bardziej poręczny w ciasnocie niżli pałasz. Pchnął butem drzwi, zajrzał do pokoju. Na jego łóżku siedział nie kto inny, jak sam Aleksander Duré.

Hirsz poczuł, że szczeka mu opada. '- Nie masz waść tu wygod - ze zdumienia wyrwał go głęboki, nosowy głos.

Porucznik wymierzył w intruza lułą pistoletu.

- Co waćpan tu robisz? Nieproszony gość wszruszył ramionami.

- Czekam, aż znudzi się waszmości wystawanie pod moim dworem.

Porucznik spojrział na niego spode łba. Żadna błyskotliwa riposta nie przyszła mu na myśl.

- Mów, po coś przyszedł - wycedził. Cyrulik rozłożył dłonie w teatralnym geście.

- To raczej ja oczekuję wyjaśnień, poruczniku. Pańscy ludzie łąą za mną po całym mieście.

Zaciekawilo mnie, kogóž tak bardzo interesuje moja skromna osoba. Popytałem przyjaciół na dworze, a ci wskazali mi waćpana. Postanowiłem przyjść i porozmawiać.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Zatem mów waść - rzucił Hirsz, nie opuszczając lufy.

Mistrz westchnął.

- Mam wiele grzechów na sumieniu. Jednak zbrodni, o którą mnie podejrzewasz, nie popełniłem.

- Czemu mam ci wierzyć?

- Bom bez winy.

Porucznik przesunął się pod ścianę, gdzie stał obdrapany kufer. Natychmiast spostrzegł, że

próbowano zdjąć chroniące skrzynię osłony. Na szczęście bezskutecznie.

- Waćpan bawisz się w złodzieja - rzekł zimno Hirsz.

Cyruлик uśmiechnął się bezwstydnie.

- Musiałem spróbować. Ciekawość to moje przekleństwo. To zaś bardzo wyjątkowy kufer. W całym życiu widziałem tylko kilka podobnych.

- Doprawdy? - Porucznik udał zdziwienie.

- Chroni go potężne zaklęcie. Ten, kto go wykonał, był mistrzem. Gdybyś chciał go waszmość sprzedać, nie pożałuję złota. Za tę sumę kupiłbyś, poruczniku, ładną wieś.

Joachim odpowiedział krzywym uśmiechem.

- Gdybyś wiedział, co jest w środku, podniósłbyś cenę kilkakrotnie. To pamiątka rodzinna, nie jest na sprzedaż.

- Jeśli tak, to nie będę nalegał - zgodził się uprzejmie cyruлик.

Hirsz pochylił się nad kufrem. Zdjął z szyi klucz i przekręcił go w zamku. Gdy wykonał trzeci obrót, runy rozbłysły na pół oddechu. Duré ciekawie wyciągnął szyję, lecz ruch lufy pistoletu osadził go na miejscu.

Joachim sięgnął do wnętrza i wyjął flakonik znaleziony w rzeczach Małgorzaty Brylskiej. Dopiero gdy na powrót zamknął wieko, pozwolił cyrulikowi podejść bliżej. Podał mu flakonik z eliksirem.

- Ponoć to waćpana dzieło?

Duré przyjął się cieczy pod światło, wyjął zatyczkę i powąchał miksturę.

- Wiesz waść, co to za mikstura? - zapytał, zamiast odpowiedzieć na pytanie.

Hirsz zaważał się, czy ujawnić swą niewiedzę.

- Nie - przyznał niechętnie.

- To swego rodzaju antidotum - wyjaśnił Duré.

- Przeciw czemu?

- Metamorphosis. Pewne środki magiczne służą do łagodzenia skutków obłądę, jaki niesie ze sobą owo skażenie krwi. Aby móc normalnie żyć w społecznościach ludzkich, zmiennokształtni przeciwstawiają się zakażeniu poprzez magiczne osłony. Przybierają one postać amuletów, maści czy eliksirów. Tak jest też w tym przypadku. Osoba, do której należy ten flakonik, jest niewątpliwie metamorfem.

Hirsz pomyślał o amulecie noszonym przez kogoś, kogo znał, i przeklął w duchu swą głupotę.

- Zatem przyznajesz waćpan, żeś stworzył tę miksturę.

- Przyznaję, wyrabiam pewne specyfiki. Przywracające blask urodzie czy wzmacniające korzenie słabujących mężów, a nawet pachnidła, które pobudzają ludzi ku sobie. Jak bowiem udowodniał w swym traktacie pewien arabski alchemik, miłość nie rodzi się w sercu czy żołądku, lecz właśnie w nozdrzach. Mogę cię jednak zapewnić, że ta mikstura nie wyszła spod mojej ręki.

- Są na to jakieś dowody prócz twego słowa? Aleksander Duré zmierzył rozmówcę srogim wzrokiem.

- Jestem szlachcicem i moje słowo to mój honor. Niemniej rozumiem twą nieufność. Zatem powiem jaśniej. Do wyrobu tego eliksiru użyto krwi ludzkiej, siłą odebranej. Czuć w nim cierpienie i śmierć. Ja zaś nie param się czamą magią.

- A ja jestem paszą tureckim. - Hirsz posłał mu krzywy uśmiech. - Jeśliś winien, dasz głowę.

Pozycja i wpływy cię nie uchronią.

Cyruлик roześmiał się.

- Cechuje cię, poruczniku, rzadka w naszych czasach bezkompromisowość. Podoba mi się to. Dlatego powtarzam: szukasz nie w tym miejscu i nie tego człowieka.

- Spraw waćpan, abym w to uwierzył. Mistrz Aleksander zerknął na kufer.

- Łączy nas powinowactwo w sztuce. Zatem pomogę waszmości. W naszym światku uczonych i

alchemików, zwłaszcza tak małym jak tu, w Warszawie, niewiele da się ukryć. Jakiś czas temu pewien człowiek poszukiwał paru ciekawych i rzadkich specyfików. Niektóre mogły, lecz oczywiście nie musiały być używane przy wyrobieniu podobnych mikstur.

Hirsz zmrzął oczy.

- Jeśli waćpan miałeś podejrzenia, czemu milczałeś?

- Nie jestem inkwizytorem. Poza tym to tylko nikłe poszlaki.

- Ginęły kobiety - warknął Joachim. Oblicze cyrulika pozostało obojętne.

- Zawsze ktoś gdzieś umiera, poruczniku. To odwieczny cykl życia i śmierci.

Porucznik sapnął.

- Zimny z waćpana człek.

- Czy to czyni ze mnie mordercę?

- Nie, przynajmniej dopóki ci tego nie dowiodę - wycedził przez zaciśnięte zęby Hirsz.

Duré wykrzywił usta w grymasie zniechęcenia.

- Zatem musisz się waszmości spieszyc. Za trzy niedziele wyjeżdżam z królem na Litwę.

Hirsz wlepił wzrok w pokrytą brudami twarz. Zastanawiał się, do jakiego stopnia może ufać zapewnieniom tego człowieka. Prawdopodobnie cyrulik chciał odwrócić od siebie uwagę i zyskać na czasie. Niemniej, porucznik musiał to niechętnie przyznać, ziarno niepewności zostało zasiane. Przez chwilę zmagął się z myślami. Wsunął króciwą w ostro przy pasie.

- Jak się nazywa człowiek, o którym wspomniałeś?

- Franciszek Fogel.

Hirsz słyszał już gdzieś to nazwisko. Przeszukał zakamarki pamięci.

- Ten aptekarz? Cyrulik przytaknął.

- Ten sam. Choć obecnie apteka jest tylko jednym z interesów, jakie prowadzi. Ostatnimi czasy fortuna niezwykle sprzyja panu Foglowi.

Porucznik potarł palcami podbródek.

- Tak, nadmierne szczęście samo w sobie bywa podejrzane.

.

Dochodziła druga nad ranem. Chłodne powietrze przenikało przez warstwę ubrań. Hirsz, skulony na grubym konarze, roztarł skostniałe dłonie i sięgnął do pasa po flaszkę. Wyjął korek i pociągnął tego. Gorzałka przyjemnie rozlała się po trzewiach.

Spojrzał na dach domu po drugiej stronie uliczki. Dostrzegł tam nieruchomą, skrytą za kominem sylwetkę pukisa. Demon, wielkości małego psa, ze złożonymi błoniastymi skrzydłami, przypominał do złudzenia kamienną chimere. Kudłaty łeb opadał mu na pierś.

Porucznik zakorkował butelkę i powrócił myślami do rozmowy z Aleksandrem Duré.

Po trzech dniach obserwacji Fogla stwierdził, że trop wskazany mu przez królewskiego medyka okazał się więcej niż interesujący. Aptekarz mieszkał w dwupiętrowym dworku na tyłach ulicy Bielańskiej. Posesję otaczał wysoki, solidny płot. Do domu przylegały stajnie, wozownia i kilka szop gospodarczych. Same nieruchomości warte były, lekko licząc, ponad trzy tysiączki złotych.

Całkiem niezłe jak na kogoś, kto jeszcze niedawno wynajmował izby na aptekę.

Franciszek Fogel przybył do miasta trzy lata wcześniej, jako uciekinier ze Śląska. Początkowo nie wiodło mu się najlepiej. Jednak rok temu nastąpił zaskakujący przełom. Aptekarz ożenił się z wdową po handlarzu zbożem, pokonując w miłosnych szrankach atrakcyjniejszych, wydawałoby się, konkurentów. Po kilku miesiącach podstarzała oblubienica umarła, pozostawiając Foglowi cały majątek.

Wachmistrz wypytał żebraków i miejscowych komorników. Zebrał nader ciekawe plotki.

Fogel prowadził samotniczy tryb życia. Jednak co kilka tygodni posesję przy Bielańskiej

odwiedzała czarna karetą. Jak twierdzili świadkowie, okna tajemniczego pojazdu zawsze były zasłonięte.

Fortuna im sprzyjała. Tego wieczoru tajemnicza karetą również się pojawiła.

Nadjechała przed zmrokiem, traktem od strony Nalewek. Powoził mężczyzna o posturze niedźwiedzia. Obok jechało dwóch hajduków.

Pojazd skręcił na posesję Fogla, minął bramę i od razu wjechał do wozowni. Komuś bardzo zależało na zachowaniu dyskrecji.

Porucznik odprężył się. Teraz, kiedy wszystkie jabłka znalazły się w koszyku, pozostało tylko czekać na rozwój wypadków.

Z zamyślenia wyrwało go trącenie łokciem.

Spojrzał na Mroczkę. Ten wskazał głową w dół. Przez boczną furtę wyszedł mężczyzna. Był wysoki i szczupły. Narzucony na głowę kaptur skrywał jego oblicze. Sądząc po wzroście, nie mógł to być Fogel.

Nieznamy ruszył Bieleńską w kierunku klasztoru Brygidek. Hirsza zacisnął powieki i otworzył ścieżkę umysłu. Trzy oddechy później patrzył na świat oczami pukisa. Poczł, jak stworzenie próbuje się wyrwać z mentalnych więzów, więc zacisnął chwyt. Poświęcił całą ubiegłą noc na rytuał, który pozwolił mu spętać demona, i nie zamierzał teraz pozwolić mu uciec.

Stworzenie poderwało się do lotu, trzepocząc skrzydłami.

Nieznamy przeszedł obok nieoświetlonych czynszówek. Poruszał się z osobliwą gracją. Co ciekawe, ciemności zdawały się mu w niczym nie przeszkadzać.

Joachim wiedział już, że śledzi maga.

Nieznamy przy klasztorze skręcił w ulicę Długą. Idąc w stronę Wisły, miał pograżone w ciemności dwory, witany ujadaniem przebudzonych psów. Gdy dotarł do skrzyżowania z Miodowniczą, zatrzymał się, rozejrzał wokół, po czym spojrzał w niebo. Niestety pukis był zbyt daleko, aby porucznik mógł dostrzec oblicze skryte pod kapturem.

Od strony zajazdów, ulokowanych za kościołem Pijarów, dochodziły bełkotliwe śpiewy i krzyki. Była ostatnia noc sejmiku, więc panowie herbowi żegnali się i pili na umór. Zakapturzony ruszył w tamtych kierunku.

Przed jeszcze czynną gospodą stała dziwka, szukająca ostatniej okazji tej nocy. Wyglądała na znudzoną i senną. Oprócz niej na ulicy znajdowało się tylko trzech mężczyzn: dwóch szlachciców i oświetlający im drogę pacholek.

Zakapturzony poczekał, aż ci trzech oddalą się nieco, i podszedł do opartej o ścianę ładacznicy.

Kobieta stała w świetle lampy, zawieszanej na ścianie. Mężczyzna zatrzymał się na granicy cienia. Przez chwilę rozmawiali, po czym dziwka kiwnęła głową. Przeszli na drugą stronę ulicy i skręcili na ścieżkę wiodącą na tyły browaru.

Kobieta prowadziła pewnie, omijając kałuże i doły. Zapewne była tu nie pierwszy raz tej nocy. Po kilkudziesięciu krokach dotarli do pogorzelska. Jedynym wspomnieniem po stojącym tu niedgdy magazynie była pochylona szopa, opierająca się o mur przeciwpożarowy. Za ogrodzeniem ciągnęły się już tylko sady i ogrody Nowego Miasta. Tu para się zatrzymała.

Hirsza posadził pukisa na dachu browaru. Siłą woli przymusił demona, by ignorował krążące wokół nietoperze.

Nieznamy objął ładacznice. Oparł ją plecami o ścianę szopy. Kobieta przywarła do mężczyzny i odsłoniła jego twarz. Kaptur opadł, ukazując długie kruczoczarne włosy, luźno splewające na ramiona.

Oblicze, jakie ujrziała dziwka, musiało ją przerazić. Szarpnęła się w beznadziejnej próbie ucieczki. Wampir chwycił ją za gardło i zatopił zęby w jej szyi. Rozległo się ciche mlaskanie.

Zapachniało śmiercią. Pukis również poczuł zew krwi. Serce demona waliło jak oszalałe. Nagle jeden z nietoperzy zbliżył się zanadto. Chowaniec instynktownie poderwał się i zanurzył kły w

karku ofiary.

Joachim poczuł w ustach posokę. Tłumiąc obrzydzenie, ponownie narzucił demonowi swą wolę. Mały łowca z ociąganiem wypuścił łup z pyszczka.

Porucznik kazał demonowi znowu spojrzeć w dół... i zdrętwiał.

Błyszczące nieludzkie oczy patrzyły wprost na niego. Zimna jak lód sonda wbiła się w umysł demona. Szczęśliwie pukis miał za mały mózg, żeby intruz mógł przezeń dotrzeć do Hirsza.

Wampir cofnął dłoń i pozwolił, żeby ciało kobiety osunęło się bezwładnie na ziemię. Wyciągnął spod ubrania sztylet i bez pośpiechu wbił ostrze w miejsce ugryzienia. Następnie wytarł klingę o suknię ofiary, schował sztylet i chwycił wiszący na piersi przedmiot. Przyłożył go do ust. Rozległ się przeciągły, jęklivy dźwięk, nieuchwytny dla ludzkiego ucha.

Krwio pijca jednym skokiem znalazł się na dachu szopy. Przez chwilę wpatrywał się w nocne niebo. Następnie skoczył w dół i zniknął pomiędzy drzewami sadu.

Porucznik nakłonił demona, by wzbił się do lotu. Po chwili dostrzegł cień przemykający między drzewami. Wampir szedł bez pośpiechu w stronę drogi Świętojerskiej.

Nagle w górze rozległ się trzepot masywnych skrzydeł. Pukis, instynktownie wyczuwając zagrożenie, zjeżył sierść i rzucił się w bok. Pół oddechu później coś potężnego uderzyło w niego z impetem. Ostre jak brzytwa szpony wbiły się w wątłe ciało, przebijając mięśnie i ścięgna. Joachim zerwał więz w ostatniej chwili, nim z demona uciekło ostatnie tchnienie.

Ocuciło go uderzenie w twarz. Znów siedział na drzewie w towarzystwie Mrocza. Wachmistrz wpatrywał się w niego z niepokojem.

- Co się stało?

- Coś zaatakowało pukisa.

- Co?

- Nie wiem. Było duże. Morderca przywołał to stworzenie, gdy spostrzegł, że go obserwuję.

- Widziałeś jego twarz?

Hirsz zorientował się, że nie powiedział najważniejszego.

- To był krwio pijca.

- Wampir? - W głosie Tomasza brzmiała niedowierzanie. - Jesteś pewien?

- Tak jak tego, że ciebie widzę. Wachmistrz wbił wzrok w okna kamienicy Fogła.

- Co czynimy? Czekamy na wschód słońca?

- Nie, wejdziemy teraz - zdecydował Hirsz.

- A jeśli krwio pijca powróci? Możemy nie dać rady!

Porucznik pokręcił głową.

- Wkrótce świt. Nie będzie ryzykował. - Miał nadzieję, że jego głos brzmi wystarczająco pewnie.

- Zaszyje się w jakiejś norze, by przeczekać do zmroku.

Zleźli na ziemię. Ulica była opustoszała. Iwana i Birkuta nigdzie nie było widać. Mroczek przyłożył dłonie do ust i zahukał trzykroć. Kozacy wynurzyli się z ciemności niczym duchy, obaj uzbrojeni w szable i rusznice.

Skierowali się do furty, przez którą wyszedł krwio pijca. Była zaryglowana.

W mroku przeleciało coś dużego. Rozległ się gardłowy skrzek. Hirsz poczuł zimny oddech na karku.

- Iwan, zostań na straży. Jakby co, powiadom sekretarza. Niech przyśle tu gwardzistów.

Hańcza rozejrzał się nerwowo dokoła i kiwnął głową.

Płot pokonali bez trudu. Na podwórzu było pusto. Żadnych strażników, służby czy psów. Okna na parterze kryły się za solidnymi okiennicami. Podeszli do najbliższego.

Porucznik dał znak wachmistrzowi. Mroczek sięgnął po toporek i uderzył silnie w zawias. Zgrzyt giętego metalu rozdarł nocną ciszę.

- Birkut, daj czapkę, a ty, Tomaszu, posadź mnie - rozkazał porucznik.

Oparł stopę na złączonych dłoniach wachmistrza i chwycił się parapetu. Owinął prawą rękę czapką i wybił szybę. Oczyściwszy framugę z kawałków szkła, wsunął się do środka. Rozejrzał się po izbie. W pomieszczeniu stał duży stół i kilka zydl, a pod ścianą mурowany piec.

Upewniwszy się, że nic mu nie zagraża, wychylił się przez okno i wciągnął towarzyszy.

Ruszyli do wyjścia. Porucznik uchylił drzwi. Sień była pusta. Płomyk samotnej lampki rozpraszał ciemności. Dalej zaczynały się szerokie schody o rzeźbionych poręczach.

U stóp schodów czekali hajducy. Dwóch wysokich zakapiorów uzbrojonych w szable. To był ich najwskazy błąd.

Porucznik, nie zwalniając kroku, wyciągnął z olster pistolety i z pięciu kroków wystrzelił z obu naraz. Obojętnie minął dogorywających strażników i zatrzymał się na pierwszym stopniu.

Z piętra buchał smród czarów. Porucznik rozpoznał charakterystyczny posmak. Oblał go zimny pot.

- Za mną! - krzyknął i pognął pod górę, przeskakując po kilka stopni. Mroczek i Birkut pobiegli za nim.

Wpadli w ciemny korytarz. Na jego krańcu znajdowały się podwójne drzwi. Hirsz dopadł do nich i kopnął z furją. Drewno trzasnęło, gdy podwoje rozwarły się z hukiem.

Uderzył go ciężki odór.

Koksowy piecyk jarzył się w ciemności, oświetlając Franciszka Fogla. U jego stóp leżał nagi chłopiec. W piersi dziecka ziała krwawa dziura. Metr nad ciałem pulsowała kamazynowa szczelina. Krew wypływająca z rany wirowała na kształt leja, wysana przez rozdarcie.

Hirsz wyszeptał zaklęcie ochronne.

Fogel przerwał inkantację i roześmiał się pogardliwie.

- Przyszliście po własną śmierć, głupcy - rzekł drżącym z ekstazy głosem.

- Raczej po twoją - warknął Birkut i uniósł rusznicę.

Aptekarz wykonał nieznaczny ruch.

Przez komnatę przemknęła zmarszczka mocy, uderzyła w Kozaka i odrzuciła go na ścianę niczym szmacianą lalkę. Rozległ się trzask łamanych póltek.

- Teraz, Tomaszu - krzyknął Hirsz i rzucił się wprost w kłębowisko czarów.

Żrąca moc przylgnęła do niego niczym smoła. Ból rozrywał ciało tysiącem małych szczypiec. Porucznik zachwiał się i upadł na kolana. Z nozdrzy buchnęła mu krew, a po nodze pociekł gorący strumień moczu.

Jak przez zasłonę usłyszał gniewne słowa:

- Zdechniecie w bólu, aroganckie robaki. Mroczek skoczył do przodu i natarł z impetem na osłony chroniące Fogla. Osłabiona struktura nie wytrzymała naporu brutalnej, pierwotnej siły. Wachmistrz ryknął jak ranny niedźwiedź i przedarł się na drugą stronę.

Joachim usłyszał łoskot padającego ciała. Ból nagle ustąpił, pozostawiając po sobie mrowienie skóry i brzęczenie w uszach.

Hirsz, jęcząc, powstał na nogi. Palił go każdy centymetr skóry.

Z kąta dochodziły pojękiwania Birkuta, wygrzebującego się spod między szafek.

- Nic ci nie jest? - upewnił się Mroczek.

- Przeżyję, muszę się tylko napić - mruknął Hirsz i zaczął rozglądać się po komnacie za trunkiem.

Przykuśtykał do nich Birkut.

- Chyba sukinsyn połamiał mi żebra - wychrypiał oskarżycielsko.

- Brakuje woźnicy - stwierdził rozsądnie wachmistrz. - Zawołam Hańczę i rozejrzemy się po domu.

Jakby go słysząc, Fogel poruszył się i jęknął.

- Dobra myśl - poparł go Hirsz. - Wpierw jednak zwiążmy kurwisyna, nim ocknie się na dobre i



znów narobi nam kłopotów.

- To było nierozważne, panie. Czyż nie dostarczyliśmy ci dość żeru? W piwnicach czekają młodzi dziewczęta i chłopcy. Wystarczy sięgnąć ręką. Musimy być ostrożni. Chłopi już zaczynają coś podejrzewać. Jeśli plotki dojdą do szlachty, będziemy zgubieni. Zanim się obejrzymy, najadą i spalą dwór.

Alvaro de Sadre spojrział ze złością na Brodowskiego, szlachcica, w którego dworze ulokował sabat.

Brązowe, smutne oczy wpatrywały się w Alvara bez lęku. Dlatego Brodowski tak bardzo różnił się od innych. Przyszedł do niego nie dlatego, że pragnął wiecznego życia, lecz śmierci. Zaraza zabrała mu żonę i dziecko. Cierpienie emanujące z niego sprawiło, że stał się ulubieńcem Alvara, jego kochankiem i rozpieszczanym zwierzątkiem. Tylko on mógł sobie pozwolić na tak śmiałe słowa.

Reszta sabatu patrzyła na młodzieńca z mieszką przerażenia, podziwu i zawiści.

Alvaro wiedział, że niewolnik ma rację, lecz natura drapieży brała górę nad ostrożnością. Zwykle Alvaro brał podobną bezczelność za wyraz troski ze strony kochanka, lecz nie tej nocy.

Za kogo on się ma, aby mnie pouczać? I to w obecności wszystkich! Czas skończyć z taką bezczelnością.

Zrobił krok, chwycił młodzieńca jedną ręką za gardło. Bez wysiłku uniósł go nad podłogę. Szlachcic nie szarpał się. Piękna twarz poczerwieniała i nabrzniiała z braku powietrza. Jedyne oczy zachowały nieugięty wyraz.

Alvaro zawahał się. Jakiś impuls powstrzymał go przed zakończeniem sprawy.

Zamarł, zaskoczony swą słabością do tego młodzieńca. Czyżby stał się miękki po tych wszystkich latach? Podobne uczucia należało wypalić.

Wahanie ustąpiło. Wampir chwycił Brodowskiego za kark i uwięził w uścisku. Wpił kły w jego szyję, rozrywając arterie. Nektar zalał mu przelyk. Smak nie przyniósł zadowolenia. Skosztował tylko dwa pierwsze łyki.

Ciało młodzieńca opadło na dywan jak szmaciana lalka.

Alvaro warknął gniewnie. Rozejrzył się po otaczających go przerażonych twarzach. Słyszał bicie serc i krew płynącą w żyłach.

Skinął łaskawie dłonią i sześć białych postaci opadło na dogorywającą ofiarę. Przyglądał się, jak jego niewolnicy chłepczą krew. Czuł do nich obrzydzenie. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zabić ich wszystkich. Jednak odrzucił tę myśl. Byli mu potrzebni. Z pomocą ich bogactwa i wpływów dowie się, kto mu zagraża. Potem odda sprawę w ręce Pedra. Szczęśliwie wiernemu służde udało się wymknąć z domu Fogla.

Wampir przeniósł wzrok na zwalistego mężczyźnego stojącego z boku. Szeroki złamany nos, blizna na policzku, byczy kark i potężne bary nadawały mu wygląd zawodowego zapaśnika.

Pedro nawet się nie trudził, by zamaskować malującą się na jego obliczu pogardę. Od z górą trzydziestu lat był świadkiem takich scen. W każdym królestwie czy księstwie, jakie razem odwiedzili, znajdowali się wpływowi głupcy podobni tym tutaj. A on, syn hiszpańskiego żołnierza i flamandzkiej kurwy, traktował ich jak psie łajno.

Jasne oczy sługi patrzyły z wyczekiwaniem na pana.

- Pojedziesz do Warszawy. Dowiedz się, gdzie trzymają Fogla. Nie żałuj złota. Niech informatorzy przetrzaskną miasto. Gdy się dowiesz, zatrzymaj się tam, gdzie zawsze. Po zmroku będzie tam na ciebie czekał Severus.

Sługa w odpowiedzi tylko leciutko skinął głową.

Hirsz wpatrywał się w oblicze Iwana Hańczy. Kozak unikał jego wzroku. Na czole mołojca błyszczały krople potu, w oczach czaił się lęk.

Co mogło tak przerazić kogoś takiego jak Hańcza? Porucznik wiedział, że zaraz się dowie, i na tę myśl poczuł się nieswojo.

Iwan przysunął się bliżej, jakby się obawiał, że ktoś niepowołany usłyszy jego słowa.

- Złamałem mu rękę, przypalałem ogniem, miażdżyłem jądra - przełknął głośno ślinę - wszystko daremnie. Ten człowiek zdaje się nie czuć bólu.

- Może po prostu oszalał?

- Raczej jest opętany - wyszeptał Kozak, czyniąc znak krzyża - Powiadam, tu osoby duchownej trza. Dopóki zły duch ciała nie opuści, żadne tortury nic z tego nie wydobędą.

- Przytomny jest?

- A jakże. Przez cały czas gadał o tym, co mi robi. Musiałem zakneblować suczego syna.

- Pogadam z nim - zdecydował Hirsz.

- To nic nie da, panie poruczniku, ale jak pan chce. Powtarzam, osoby duchownej tu trzeba, by przegnała złego ducha.

Porucznik wszedł do celi. Przywitał go ohydny smród.

Fogel leżał na słomie, rzucony w kącie niczym szmaciana lalka. Ubranie na jego ciele przypominało chitynowy pancerz utworzony z krwi, śliny i ekskrementów. Prawa ręka, złamana w łokciu, zwiśla bezwładnie. Jednak spod opuchniętych powiek patrzyły niepokojąco trzeźwe oczy.

Porucznik poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. Podeszedł bliżej więźnia, uważając, żeby nie wdepnąć w kałużę moczu i krwi. Przykucnął i wyjął knebel z poharatanych ust.

Fogel zakasłał chrapliwie, po czym splunął na klepisko krwawą śliną.

- Lichy ten wasz oprawca - roześmiał się drwiąco, odsłaniając rzadkie pieńki zębów.

Hirsz stłumił lęk, wpiął w aptekarza twarde spojrzenie. Zanim przemówił, odczekał chwilę, żeby jego głos zabrzmiał zdecydowanie i spokojnie.

- Znajdziemy sposób, by zmusić cię do mówienia. Mamy dużo czasu, Fogel. Ty zaś masz go coraz mniej.

Fogel prychnął, rzucając porucznikowi nieprzyjazne spojrzenie.

- Co ty wiesz? Jesteś tylko nędznym robakiem. Ciekawa obelga z ust kogoś, kto sam przypominał wielkiego rozdeptanego chrabąszcza - skonstatował instygator. Postanowił pozabawić go złudzeń.

- Żaden wampir nie wedrze się do tej wieży... Zadałem o to.

- Więc wiesz?

Porucznik dosłyszał w głosie więźnia nutę strachu. Postanowił kuć żelazo, póki gorące.

- Życia ci nie uratuję, lecz mogę zaoszczędzić cierpień. Bo w końcu znajdzie się sposób, żeby cię złamać. Zawsze się znajduje. - Głos mu stwardniał. - Powiedz wszystko, a obiecuje ci szybką śmierć oraz księdza, który odpuści grzechy. To więcej, niż zasługujesz.

Odpowiedziało mu wrogie milczenie.

- Czemu Brylska? - spytał z naciskiem niezrażony Hirsz. - Na co wam to było? Porwanie i mord królewskiej kochanki!? Toć to przecież czyste szaleństwo!

- Mord! - Fogel parsknął krwawo. - Nic nie wiesz, ignorancie.

Hirsz skrzywił się z obrzydzenia, gdy ślina skropiła mu twarz. Stłumił odruch, żeby otrzeć wilgoć. Przez kilka uderzeń serca wyobrażał sobie, co zrobi z tą kreaturą, gdy tylko odkryje sposób złamania niezwyklej odporności. Bo że odkryje, nigdy nie wątpił.

- Więc oświeć mnie - zaproponował ze zwodniczą łagodnością.

Aptekarz musiał dostrzec coś w jego oczach, gdyż nerwowo obliznął napuchnięte wargi. Otworzył

usta, lecz nie zdążył odpowiedzieć na pytanie.

Za oknem rozległ się złowieszczy skrzek. Nie przypominał głosu żadnego znanego porucznikowi zwierzęcia.

Fogel wcisnął się głębiej w kąt. Jego twarz stężała z przerażenia.

Hirsz poderwał się na równe nogi i podszedł do okna. Na dworze panowała szarówka. Nie dostrzegł nic podejznanego. Zresztą mały otwór ograniczał pole widzenia. Ot, kilka kołyszących się na wietrze koron drzew. Porucznik ponownie spojrzał więźniowi w twarz.

- Mów! - zażądał, czuł jednak, że stracił tę jedyną okazję.

Fogel kręcił głową jak opętany. Oczy zaszyły mu mgłą, w kąciach ust pękały krwawe bąble.

- Nic więcej nie powiem! Nic! - mamrotał pod nosem.

Oszalał ze strachu - pomyślał zrezygnowany instygator. - Że też właśnie teraz.

Rzucił kose spojrzenie na otwór okienny. Prześwit był pozbawiony krat, jednak zbyt mały, żeby ktokolwiek się przez niego przecisnął. A zresztą musiałyby mieć skrzydła, żeby tu dotrzeć. Nagle w głowie Hirsza zaświtała szalona myśl. Zaklął szpetnie i wyszedł z celi, trzaskając drzwiami.

Przywołał Mrocza i Kozaków.

- Tomaszu, dostarczyli zwierciadło?

- Tak.

- Każ je postawić przed wejściem na piętro. Każdy, kto wejdzie po schodach, musi przed nim stanąć. Pistolety i rusznice naładować srebrem. Przynieś też sieć, tylko mocną.

Wachmistrz obrócił się w stronę schodów.

- Aha, jeszcze jedno - zatrzymał go Hirsz. - Pachołkowie mają widzieć czynione przygotowania. Potem daj im wolne, niech idą na miasto.

Wachmistrz zastygł, zaskoczony. Porucznik przeniósł wzrok na Birkuta i Hańcę.

- Wy dwaj wyprowadźcie więźnia do lochów pod wieżę. Tylko tak, żeby nikt nie widział. Strzeżcie go jak oka w głowie i ani pary z gęby. Jeśli ktoś zejdzie na dół wypytywać, podzielcie go przez łeb i zwiążcie.

Mroczek zamrugał, spoglądając na porucznika.

- Co zamierzasz zrobić?

- Zastąpić go, Tomaszu.

•

Łachy i siennik straszliwie cuchnęły. Porucznik, ignorując wszechobecny smród, leżał nieruchomo i nasłuchiwał. Północ już dawno minęła, ale jak dotąd nie słyszał żadnych odgłosów prócz bicia własnego serca. Choć nie przyznawał tego przed sobą, to istota, której przybycia się spodziewał, budziła w nim lęk. Zaciśnął palce na rękojeści pałasza ukrytego w sianie. Chłód żelaza dodał mu odwagi.

Spojrzał na drzwi celi. Za obitym blachą drewnem czekał Mroczek, gotów w każdej chwili przyjść mu z pomocą.

Nagle w mroku rozległo się ciche węszenie.

Joachim zamarł i spod przymkniętych powiek spojrzał w okno.

Na zewnątrz zaciął się cień. Hirsz usłyszał zgrzyt pazurów drapiących mur.

Wysunął nieco ostrze z siana i wtulił głowę w ramiona, udając głęboki sen.

Wpierw do wnętrza celi wsunął się trójkątny skrzydłami.

Porucznik poczekał, aż wij opadnie na podłogę, po czym wyszarpnął pałasza i ciął biegnącą po ścianie linę. Zamaskowana pod sufitem sieć rozwinęła się, zasłaniając okno. Zaskoczony demon sprężył się i obrócił łeb.

Joachim z okrzykiem poderwał się na nogi. Wij zasyczał i w okamgnieniu rzucił się na ofiarę.

Najeżony zębiskami pysk uderzył jak bicz. Porucznik zrobił unik i kły demona trzasnęły centymetr od jego twarzy. Owiał go smród zgnilizny.

Hirsz uderzył pałaszem w bok stworzenia, wbił ostrze w gadzi korpus. Fontanna czamej juchy trysnęła w sufit, zalewając mu twarz. Potwór opadł z łoskotem na podłogę i skreślił się jak sprężyna.

Drzwi otworzyły się z hukiem, do wnętrza wpadł Mroczek i wycelował rusznicę.

Nagle z fald na zadzie bestii wystrzelił ogon. Gruby jak nadgarstek bicz owinał się wokół nóg porucznika i szarpnął. Hirsz stracił równowagę i grzmotnął plecami o kamienne płyty. Wstrząs wytrzącił mu pałasz z dłoni.

Demon wężowym ruchem wślizgnął się na jego pierś. Porucznik odruchowo uniósł lewe przedramię, by chronić gardło, prawą dłonią dobywając sztyletu.

Huk wystrzału zmieszał się z zadziwiająco ludzkim jękiem konającego stworzenia. Oślizgłe ciało zdrzało w przedśmiertnych drgawkach.

Porucznik zepchnął z siebie ścierwo i sięgnął po leżący na podłodze pałasz. Przeciął nim krepującą nogi ogon.

Z korytarza dobiegły krzyki nadbiegających strażników. Wachmistrz wyszedł na korytarz, by po chwili wrócić z pochodnią. Zatrzasnął za sobą drzwi do celi i oświetlił ścierwo.

Przez chwilę stali w milczeniu, przypatrując się dziwu. Hirsz poczuł, jak oblewa go zimny pot. Oblicze wija było potwornie zniekształconą twarzą dziecka. Porucznikowi żołądek podjechał do gardła.

- Co jest, do cholery? - wykrztusił Mroczek. Joachim potarł palcami czoło.

- Nie mam pojęcia. Może widok tej padliny rozwiąże Foglowi język.

W tym momencie drzwi rozwarły się z traskiem i stanął w nich zdyszany Birkut. Kaftan miał rozdarty, z rozbitego nosa ciekła krew.

- Fogla nam biorą - wydyszał.

Porucznik zrobił krok ku niemu.

- Kto?

- Nie przedstawiali się.

- Pilnuj truchła - krzyknął Hirsz, biegnąc do drzwi.

Hirsz i Mroczek popędzili po schodach na łeb, na szyję. Minęli trzy piętra wieży i wpadli do nisko sklepionej sieni.

Drzwi wiodące do kazamatów były otwarte. Stało przy nich pięciu żołnierzy, uzbrojonych w szablę i rusznicę. Jeden z nich, brodaty sierżant, trzymał ostrze szabli przy gardle Hańczy. Kozak, blady jak śmierć, stał oparty plecami o ścianę. Przy jego nogach leżał potłuczony gamiec. Wokół skorup lśniła kałuża miodu.

Pozostali żołnierze na widok przybyłych unieśli broń. Wysoki jednooki kapitan oparł dłoń na szablę i wystąpił krok naprzód.

Porucznik zatrzymał się dwa kroki od oficera i uniósł wyżej pałasz. Światło kaganka rozświetliło lepka czerwień, pokrywającą ostrze.

Jednooki tytnął na okrwawione żelazo i podkręcił wąsa.

- Joachim Hirsz, jak się domyślam. Ostrzegano mnie, żeś krwi gorącej.

Porucznik zmierzył oficera groźnym spojrzeniem.

- Waszmość więźnia mi porywasz.

- To więzień pana kanclerza koronnego.

- Gówno tam - warknął Hirsz. Wolną ręką wyszarpnął z kieszeni za pazuchą glejt od Gembeckiego i wyciągnął rękę do oficera.

- Czytaj wafle.

Kapitan wzruszył obojętnie ramionami.

- Nie fatyguj się waszmość. Znam treść. Sekretarz koronny przedstawił mi sprawę.

- Jan Gembicki?
- A znasz waść innego?
- Masz jaki dowód na swe słowa?
- A jakże, mam.

Oficer sięgnął powoli do sakiewki i wyciągnął niepozorną obrączkę. Następnie wręczył ją porucznikowi. W złocie wygrawerowano po łacinie słowa: Wiemi w służbie i w milczeniu.

Przysięga Tajnej Pieczęci.

Hirsz z ociąganiem oddał obrączkę i opuścił ostrze.

- Więzień jest twój - rzekł ponuro.

Jednooki dał znak brodaczkowi. Sierżant odsunął ostrze od gardła Hańczy. Kozak ze spuszczoneym wzrokiem sięgnął po szablę, leżącą w kałuży miodu.

Hirsz łypnął wściekle na Hańczę i nie czekając na niego, obrócił się na pięcie.

Podczas wspinaczki na górę nie odezwał się słowem. Gdy wszedł do celi, obrzucił Birkuta zjadliwym spojrzeniem.

Nos Kozaka przestał krwawić, co wcale nie poprawiło Hirszowi humoru. Birkut zerknął na Hańczę, wlokącego się z tyłu. Zaporoziec poczerwieniał, spuścił oczy i z nagłym skupieniem zaczął oglądać swoje buty.

Porucznik przez chwilę gromił opojów wzrokiem, po czym machnął zrezygnowany ręką. Nim się odwrócił, wychwycił jeszcze spojrzenie Mrocza, mówiące: Znikajcie, póki macie nogi w rzyci. Kozacy ochoczo wykonali bezgłośnie rozkaz.

Zostali sami.

Porucznik stał nieruchomo nad ścierwem, skupiając wzrok na makabrycznym obliczu stworzenia. W jego głowie tliła się straszna myśl. Tak przerażająca, że z całej woli pragnął ją odrzucić. Podejrzanie jednak wpiło się w jego umysł niczym kleszcz.

Podniósł oczy na Tomasza Mrocza.

- Wywęszyliśmy coś, czego nie powinniśmy. Smród bije od dworu.

Wachmistrz skrzywił usta.

- Zatem to koniec sprawy. Reszta to nie nasza rzecz - stwierdził z ledwie skrywaną ulgą.

Porucznik ponownie wbił wzrok w ścierwo na podłodze.

- Bynajmniej, przyjacielu, to dopiero początek.

•

Joachim Hirsz poluźnił wodze, pozwalając wierzchowcowi podejść pod bramę. Okute wrota chroniła masywna baszta, w której wyrastał kamienny mur, wystający nad wąwóz Tamki.

Hirsz zsiadł z siodła i trzykroć uderzył kołatką. Po chwili nad licem muru ukazała się głowa strażnika.

- Ktoś ty, że po nocy się włóczysz?

- Instygator królewski, Joachim Hirsz. Powiadom swego pana!

Na murze zaległa cisza. Trwała dobre cztery pacierze. Po tym czasie wierzeje rozwarły się ze zgrzytem. Oczom porucznika ukazało się trzech mężczyzn: dwóch wielkich drabów uzbrojonych na sposób węgierski oraz niski mężczyzna, trzymający lampę. Właśnie on, mimo lichego wyglądu, przykuł uwagę Hirsza. Choć nosił się jak Samata, rysy twarzy zdradzały tatarskie urodzenie.

Bogrejsz, przyboczny Aleksandra Duré.

- Czego waszmość chcesz od mistrza? - zapytał Tatar.

- Mam coś, co go zainteresuje.

Bogrejsz zerknął na tobół przewieszony przez kulbakę wierzchowca.

- Co tam jest?

- Coś, co jest przeznaczone tylko dla oczu twego pana.
- Sprawdzę tylko. - Tatar zrobił krok, lecz powstrzymała go dłoń porucznika.
- Głuchyś, rabie? - warknął Hirsz.

Skośne oczy zmrużyły się.

- Z Tatarów jestem, alem herbowy, zatem zważaj, bo z równym sobie gadasz.

Porucznik prychnął w odpowiedzi. Przez kilka oddechów mocowali się wzrokiem. Ostatecznie Bogrejsz cofnął się o krok.

- Mistrz Duré oczekuje waćpana w domu - rzekł kwaśno. - Radzę nie schodzić ze ścieżki - dodał ostrzegawczo.

Joachim ściągnął z wierzchowca tobół i ruszył zwirowaną alejką, prowadzącą do dworu. Po obu stronach ścieżki plenił się dziko rosnący ogród.

Aleksander Duré czekał na ganku. Oblicze cyrulika tonęło w mroku.

Hirsz wspiął się po schodach i pokłonił się.

- Wybacz, waszmość, że cię niepokoję, lecz sprawa, z którą przybyłem, jest pilnej natury.

- Czyżybś był chory? - spytał cyrulik z nutą kpiny.

Hirsz odpowiedział krzywym uśmiechem.

- Zdrow jestem, choć rzeczywiście o badanie mi chodzi. Mam tu coś, co cię zainteresuje.

Cyrulik zerknął na tobótek spoczywający na ramieniu gościa.

- Nie jest łatwo wzbudzić moją ciekawość. Joachim rzucił ciężar na deski i zsunął płótno.

- Czy to wystarczy?

Mistrz Duré uniósł brew, choć reszta twarzy pozostała nieruchoma.

- Najzupełniej, instygatorze.

•

Podczas gdy cyrulik garbił się nad truchłem wija, grzebiąc w jego wnętrznościach, Hirsz rozglądał się z ciekawością po komnacie. Pełno tu było słoików i probówek. Najszerszą ze ścian zajmował regał z książkami, głównie medycznymi, choć Joachim wypatrył również kilka dzieł o alchemii. Przy oknie stało masywne biurko oraz krzesło z wysokim oparciem. Na poręczy siedział czarny kruk. Ativarasit, demoniczny strażnik tego domu. Onyksowe oczy wpatrywały się w porucznika, śledząc każdy jego ruch.

Naprzeciw kominka, w którym trzaskał wesoło ogień, stały dwa fotele. Umeblowania dopełniały komoda, szafa i niewielki stolik. Na tym ostatnim stała karaśka z winem i napełniony, lecz nietknięty kielich. Bliźniaczy kielich, opróżniony do połowy, tkwił w palcach porucznika.

Hirsz odchrząknął, by zwrócić na siebie uwagę.

Aleksander Duré uniósł głowę. Na obliczu cyrulika malowała się fascynacja.

- Ach tak, proszę o wybaczenie - wymamrotał.

Zanurzył dłonie w misie z wodą, po czym wytarł je lnianym ręcznikiem. Następnie sięgnął po kielich i usiadł w fotelu naprzeciw kominka.

Porucznik umościł się wygodniej na swoim miejscu i siorbnął łyk wina.

- Gdzie upolowałeś ten niezwykły okaz, kawalerze?

- W celi Fogla. To coś przybyło go zabić. Oczy cyrulika rozblęły.

- Aptekarz żyje?

Porucznik skinął głową i wskazał palcem na truchło.

- Wiesz, co to jest?

- Poroniec - odparł cyrulik.

- Nigdy nie słyszałem o takim demonie. - W głosie Hirsza zabrzmiało powątpiewanie.

Brwi cyrulika powędrowały w górę i opadły.

- A zatem, poruczniku, interesujesz się również demonologią. Mogłem się domyślić. - Jasne oczy nie odrywały się od oblicza instygatora. -Piekło jest olbrzymie i nikt nie zna wszystkich zamieszkujących je demonów. Niemniej masz rację, ta istota nie pochodzi z Czeluści. To hybryda.

- Hybryda?

- Pierwotnie miało to być ludzkie dziecko. Ktoś jednak zadbał, aby tak się nie stało.

Cyrulik skosztował kolejny łyk wina.

- Czy porońców może być więcej? - zapytał Hirsz.

- Nie sądzę. Stworzenie hybrydy to długotrwały i wyczerpujący proces nawet dla potężnego nekromanty. Łatwiej jest przywołać demona i związać go zaklęciem. Poza tym, przy swych niewątpliwych zaletach, hybrydy są z natury niestabilne. Wciąż mają w sobie ludzką duszę, chociaż wypaczoną i skarłowaciałą. To zaś czyni je nieprzewidywalnymi i trudnymi w kontroli.

Instygator potarł szczękę wierzchem dłoni.

- Widzę, że fascynuje waszmość twórca owej maskary. - W tonie porucznika dało się wyczuć przyganę.

- Jestem badaczem. Nie ukrywam, chętnie poznałbym tego człowieka.

- Nawet jeśli to potwór?

- Och, w każdym z nas siedzi bestia. Wydaje mi się, że już podejmowaliśmy podobny temat.

Hirsz skrzywił usta, jakby rozgryzł gorzycę. Przez chwilę rozważał, na ile szczeroci może sobie pozwolić. Aleksander Duré wydawał się być człowiekiem pozbawionym sumienia. Niemniej jednak był lepszym magiem niż Joachim i mógł okazać się bezcennym sojusznikiem. Należało tylko zarzucić przynętę.

- Wierz mi, waszmość, spotkanie z tym osobnikiem nie przypadłoby ci do gustu - wyszeptał konspiracyjnym tonem.

Ponownie uniosła się prawa brew cyrulika.

- Zatem coś wiesz na jego temat.

- Widziałem go zesłej nocy, to krwio pijca. Gospodarz o mało nie poderwał się z fotela.

- Wampir? Jesteś pewien?

- Tak, choć Bóg mi świadkiem, wolałbym nie być.

Mistrz Duré jednym haustem dopił wino i ponownie napełnił kielich. Porucznik zauważył, iż ręka cyrulika lekko, niemal niedostrzegalnie drżała.

- Gdzie trzymasz Fogla? Hirsz westchnął.

- Niestety więzień nie znajduje się już w moich rękach.

- Sekretarz koronny - odgadł bezbłędnie cyrulik.

Porucznik, zaskoczony, zmarszczył czoło. Aleksander Duré roześmiał się w głos.

- Bez obaw, nie czytam w myślach. Po prostu przyjąłem logiczne założenie. Pan Gembicki to przebiegły gracz. Liczy, że kiedy jego oprawcy otworzą Fogla, wypłynie z niego wiele tajemnic.

Niebezpiecznych tajemnic, które mogą zaszkodzić potężnym ludziom. Dla osób pokroju Gembickiego wiedza to władza. Spotka go jednak srogie rozczarowanie. Zapewne pan masz już to doświadczenie za sobą. Hirsz uśmiechnął się, że nie zrozumiał aluzji.

- O czym waszmość mówisz? Mag wykrzywił kpiąco wargi.

- O odporności Fogla na ból. Jeśli zdążyłeś go przesłuchać, a zakładam, że zdążyłeś, nie mógł ci umknąć tak znaczący szczegół.

- Skąd o tym wiesz?

Aleksander Duré wzruszył ramionami.

- Odporność na ból, zwiększona siła i potencjał to tylko niektóre dary, nabywane przez niewolników wampira. Takich darów jest więcej i zależą od predyspozycji tkwiących w danym człowieku.

- Więc nie można go złamać?

- Ależ można, tylko trzeba czasu lub czegoś więcej niż obcegi i rozpalone żelazo.
- Mówisz o czarach?
- Tak.
- Potrafiłbyś to uczynić?

Mag przesunął palcami po brzegu pucharu.

- O ile cię zrozumiałem, obecnie ta kwestia jest bez znaczenia.
- Ile czasu potrwa, nim Gembicki wydobędzie te informacje tradycyjnymi metodami?

Aleksander Duré rozłożył ręce.

- Dwa, trzy dni... w najlepszym przypadku. Porucznik sapnął, rozczarowany.
- Więc wszystko stracone. Krwiopijca zdąży uciec.
- Nie ma innych świadków?

- Byli jeszcze hajducy. Strzegli powozu, którym podróżował wampir. Niestety obaj nie żyją.

- Nie żyją - mruknął Duré i uśmiechnął się krzywo. - No cóż, przykre, lecz nie jest to wielką przeszkodą.



### III

Pedro zaszył się w ustronnym zakątku u podnóża skarpy, między spichlerzem a przytułkiem dla ubogich. Kilkadziesiąt łokci nad jego głową z murów obronnych wyrastała Wieża Marszałkowska. Jak zapewniał informator, na ostatnim piętrze budowli więziono Franciszka Fogla.

Kryjówka zapewniała pożądaną dyskrecję. Zabudowania pobliskiego przytułku oraz krzewy osłaniały to miejsce od głównej drogi Podgórze. Po zmroku ruch na drodze ku Rybakom zamarł, bowiem okolica zasłużenie cieszyła się złą sławą.

W ciągu ostatnich godzin drogą przeszło kilku pijanych flisaków i dwie dziwki w towarzystwie groźnie wyglądającego draba. Poza tym nikt nie zakłócał słudze spokoju.

Pedro pociągnął łyk gorzałki na rozgrzewkę. Noc była zimna, a on tkwił tu od paru godzin. Po raz kolejny zerknął na wieżę i bezskutecznie próbował dostrzec w mroku znajomy kształt, przylepiony do murów. Zrezygnowany, westchnął i pociągnął następny łyk okowity.

Koń, który dotychczas zdawał się drzemać, parsknął ostrzegawczo.

Pedro napiął mięśnie, odstawił butelkę. Powstał z rozłożonej na ziemi derki akurat w chwili, gdy z ciemności wyszło czterech mężczyzn. Choć nie mieli ze sobą światła, poruszali się zwinne, jakby doskonale znali ten zakątek.

Zatrzymali się, zaskoczeni widokiem intruza. Trwało to tylko kilka oddechów. Momentalnie w ich dłoniach znalazły się noże i pałki.

Na znak żyłastego mężczyzny o ospowatej twarzy utworzyli półkole przed sługą. Pedro cofnął się pod skarpe. Pierwszy odezwał się herszt.

- Co tu robisz?

- Nie twoja rzecz - burknął zaufany Alvara, mierząc zbira swym najbardziej wrednym spojrzeniem. Zwykle to wystarczało, by odstraszyć natrętów.

- Dziwnie gadasz. Jak nie po naszymu. Niemiec?

- Flamand - odparł sługa. Ospowaty wzruszył ramionami.

- Flamand, Niemiec, jeden czart. - Spojrzył łakomie na wierzchowca. - Ładny - stwierdził z obłętnym uśmiechem.

- Nie najgorszy - potwierdził Pedro. Rezolutna odpowiedź wyraźnie zbiła oprychów z pantałyku. Herszt również zawahał się, lecz przewaga liczebna dodała mu pewności siebie.

- Oddaj konia i mieszek po dobroci, a ujdiesz cało.

Pedro pohamował grymas irytacji. Ponownie zerknął w niebo i nastawił uszy, czekając na znajomy skrzek. Na próżno.

- Dam wam srebro, ale koń jest mi potrzebny. Ospowaty z teatralnym gestem zwrócił się do swych kompanów.

- No, no patrzcie, trafił mam się łaskawy pan. Zarechotali chrapliwie.

Herszt ponownie wbił spojrzenie w Pedra.

- Mam lepszą propozycję. Wezmę wszystko, co masz, także łachy. A będziesz się szarpał, to cię jeszcze wychędożę. Może ci się spodoba i poprosisz o więcej.

Towarzystwo ponownie zarechotało.

Pedro, wykorzystując ten moment, zaatakował zbira po lewej. Pomimo swojej wagi oraz piątego krzyżyka na karku poruszał się błyskawicznie. Bandzior miał jednak niezły refleks. Zdążył wzięć zamach pałką. Pedro przyjął cios okutego drewna na przedramię i uderzył napastnika w gardło. Rozległ się chrząst miażdżonej tchawicy.

Pedro podtrzymał ciało i zasłaniając się nim jak tarczą, natarł na stojącego z tyłu zbira i obalił go na ziemię. Bandyta z prawej doskoczył i próbował pchnąć nożem od dołu, celując w wątrobę.

Pedro wywinął się, chwycił go za nadgarstek, zrobił pół kroku w jego stronę i uderzył łokciem w skroń. Trzask łamanej kości i napastnik osunął się bezwładnie.

W dłoni sługi został sztylet.

Kątem oka dostrzegł ruch i uchylił głowę. Ostrze noża trzymanego przez herszta chybiło o włos jego gardło. Pedro udał, iż traci równowagę. Ospowaty wyczuł szansę, doskoczył jak wąż, skracając dystans. Wolną ręką zamarkował atak na twarz, drugą jednocześnie celując ostrzem w podbrzusze sługi. Ten tylko na to czekał. Sękate palce z siłą imadła zacisnęły się na przedramieniu nożownika. Herszt jęknął z bólu i zaskoczenia. Pedro ściągnął go w dół i uderzył od góry, wbijając sztylet w kark.

- Chędoż swą matkę - mruknął, uwalniając żelazo.

Ostatni ze zbirów wygramolił się spod trupa. Jego wzrok przemknął po ciałach kompanów. Błyskawicznie oceniwszy sytuację, bandyta podjął jedynie słuszną decyzję: ucieczka. Pedro nie zamierzał mu na to pozwolić. Rzucony wprawnie sztylet zawirował w powietrzu. Oprych zrobił jeszcze dwa kroki, zachwiał się i upadł. Sługa podszedł do niego, wyszarpnął nóż, po czym wytał ostrze o kaftan mężczyzny.

Wszystko rozegrało się w ciszy i trwało nie więcej niżli kilkanaście oddechów.

Pedro upewnił się, że nikt go nie obserwuje, po czym przeszukał ubrania bandytów. Znalazł sporo miedzaków oraz pięć złotych w mieszkach herszta.

Zebrał myśli, rozważając, co ma czynić.

Severus nie wracał. Najwyraźniej coś poszło nie tak. Musiał natychmiast powiadomić swego pana. Czekala ich nowa tułaczka. Pedro nie był bynajmniej niezadowolony z tego faktu. Znudziło go to niewielkie, zapyziałe miasto, które przy Paryżu, Madrycie czy Amsterdamie zdawało się być jeno lichą dziurą.

Zwinął derkę, zapakował do juków i dosiadł wierzchowca. Chciał wydostać się za obręb wałów miejskich, zanim wzejdzie słońce.

•

Kareta była niemal tak wielka, jak te używane przez królewską pocztę. Konstrukcja opierała się na potężnych resorach, gwarantujących, że nie trzęsło zbytnio na tradycyjnie zaniedbanych traktach. Hirszej zajął do powozu i zobaczył wygodne siedzisko, obite miękką skórą.

Cztery masywne konie stały przywiązane w osobnych boksach.

Mistrz Duré milczał od paru pacierzy, przyglądając się każdemu ze zwierząt. Ostatecznie wybrał gniedego wałacha. Zwierzę było wyraźnie podenerwowane. Aleksander Duré powiedział parę uspokajających słów i wyciągnął ku niemu dłoń. Bydlę szarpnęło się na uwięzi i kłapnęło zębami, próbując ugryźć natręta.

Cyruлик był szybszy, wykonał w powietrzu znak i wałach niemal przysiadł na zadzie, po czym znieruchomiał. Mag przyłożył dłoń do czoła konia, przez cały czas mrucząc pod nosem zaklęcia.

Hirszej patrzył oniemiały. Znał się co nieco na Sztuce, jednak to, czego był świadkiem, przekraczało jego umiejętności. To była starodawna magia. Tylko arcyomag mógł wydrzeć tajemnice umysłu, nawet jeśli chodziło o umysł zwierzęcia.

Oczy wałacha zmatowiały, chrapy rozdymały się wolniej. Człowiek i zwierzę stali naprzeciw siebie, połączeni niewidzialną więzią. Po dwóch pacierzach koń zaczął drżeć jak po wyczerpującym galopie, a na pysku pojawiła się piana.

Hirszej zerknął z niepokojem na maga. Oblicze mężczyzny pobladło, po wysokim czole spływały ciężkie krople potu.

Nagle wszystko się skończyło. Szybki ruch palców i zwierzę powróciło do rzeczywistości. Parskając i szarpiąc wędzidło, przywarło zadem do ściany.

Przez chwilę milczeli. Cyrulik otarł pot z czoła wierzchem dłoni i wytarł rękę o płaszcz. Dopiero wówczas podniósł oczy.

- Widziałeś coś? - zapytał Hirsz.

- Tak. Dwór, młyn przy drodze i niewielki mostek nad strugą.

- Wiesz, gdzie to jest? Duré pokręcił głową.

- Nie wiem.

Hirsz sapnął, rozczarowany.

- Wszystko na nic.

Mag wyszczerzył drapieżnie zęby.

- Ale koń wie. Pamięta drogę i doprowadzi nas na miejsce.

Wyruszyli o świcie traktem na Łowicz. Banderię prowadził Bogrejsz, jadąc na wałachu. Za nim podążali Duré, Hirsz i ludzie porucznika. Straż tylnią pełnili dwaj Madziarzy, ci sami, którzy poprzedniego wieczoru towarzyszyli Bogrejszowi. Mistrz mówił o nich niechętnie, unikając szczegółów, a oni sami chyba nie znali polskiego. Przynajmniej mag rozmawiał z nimi wyłącznie po węgiersku. Niestety porucznik nie rozumiał tego języka.

Nad cudzoziemcami unosiła się aura ponurej kompetencji. Odziani w kolczugi z wysokimi kołnierzami, chroniącymi kark i szyję, wyglądali jak starożytni wojownicy, których jakaś siła wyrwała z kurhanów i przywróciła światu. Przy siodłach wieźli długie, lekko wygięte szable.

Nawet Mroczek, zwykle nie mający respektu dla nikogo, trzymał się od nich z daleka.

Zgodnie z zapewnieniami Aleksandra Duré wałach szedł pewnie, choć bez pośpiechu. Tylko raz stanął niezdecydowany na rozstajach przy karczmie w Zbarzu. Dopiero po interwencji cyrulika ruszył dalej.

Podczas podróży mag hojnie dzielił się z porucznikiem i jego drużyną swoją wiedzą o wampirach. A wiedział wiele. Do tej pory Hirsz opierał swoje wiadomości głównie na legendach. Większość z tego okazała się kompletnie bezużyteczna. Potwierdziło się jedynie to, że wampiry wiodą nocne życie, za dnia są ospałe, słońce powoduje na ich skórze oparzenia, a czasami nawet doprowadza do śmierci. Opowieści o srebrze, czosnku czy ochronnym działaniu krucyfiksów należało włożyć między bajki.

Dowiedzieli się natomiast, gdzie znajduje się serce wampira i że jest doskonale chronione przez szkielet. Cyrulik przykazał celować w głowę, a podczas walki wręcz obcinać kończyny. Ostrzegali, by nie patrzeć stworowi w oczy, gdyż wampir potrafił opanować umysł słabszego człowieka.

- Osobnik, z którym mamy do czynienia, jest ostrożny, zaciera ślady zerowania - zakończył wywód mistrz Aleksander. - Być może zdążył opuścić sabat. Jeśli tak, zastaniemy tam tylko jego niewolników. Ścisłej mówiąc, ich zwłoki. Porucznik zmarszczył czoło.

- Zabije wszystkich? Nawet tych, których zdołał już przemienić w wampiry?

Aleksander Duré roześmiał się.

- To jest właśnie najzabawniejsze. Ci dumie oddają wszystko, co posiadają, choć nie mają szans otrzymać niczego w zamian.

Bruzdy na czole Hirsza pogłębiły się.

- Nie rozumiem, do czego waść zmierzasz - przyznał oficer.

- Wampirem trzeba się urodzić, poruczniku. Wszystkie te opowieści o ukąszeniu i śmiertelnym pocałunku to wierutne brednie. Zapewniam, że choćby wampir ugryzł cię sto razy, i tak nie staniesz się krwiopijcą.

- Pocięszając wieści - mruknął Hirsz.

- Dla wampira członkowie sabatu to tylko użyteczne bydlę - ciągnął mag. - Przeważnie są to ludzie wpływowi i bogaci. Krwiopijca mami ich mirażem wiecznego życia. Bez pomocy takich głupców nie przetrwałby długo w naszym świecie.

- Nie zabije wszystkich, bo musiałby wtenczas podróżować sam - ocenił trzeźwo porucznik.

- Zgadza się. W drodze towarzyszy mu zapewne jeden, najwyżej dwójka zaufanych sług. Ci ludzie są do swej roli szkoleni od dziecka. Często dziedziczą te funkcje po rodzicach. Są jak psy obronne.

Duré ściągnął lejce. Rozejrzał się po okolicy.

- Jesteśmy już blisko. Poznaję ten wiatrak. - Wskazał na północny zachód.

Hirs zmrzył oczy, spojrzął w tym kierunku.

Wiatrak stał na jedynym wzgórzu w okolicy. Łopaty wirowały niespiesznie w podmuchach słabego wiatru. U stóp zbocza stało kilka chat. Pomiędzy zabudowaniami porucznik nie dostrzegł żadnych ludzi czy zwierząt.

Trakt zakręcał w kierunku sioła, omijał podmokłe łąki i docierał do strugi, która pod deszczach zamieniła się w niewielką rzeczkę. Brzegi łączył mostek z nieheblowanych bali.

- Ciekawe, co tam się stało? - wymamrotał cyrulik.

Obrócił się w siodle i wydał rozkaz Madziarom. Jeźdźcy wyprzedzili resztę grupy, przejechali przez mostek i zniknęli za krzewami, które zasłaniały trakt na odcinku kilkuset kroków.

Hirs spojrzął w niebo. Słońce osiągnęło południe.

- Na moście ktoś jest - odezwał się nagle Mroczek.

Hirs omiół wzrokiem mostek i zastygł.

Pośrodku przejazdu stała starowinka. Pochylony grzbiet ugiął się pod wiązką chrustu. Chwilę wcześniej nikogo tam nie było.

- Jakim cudem? - mruknął Hirs. Popędzili konie i wjechali na przeprawę. Kopyta zastukały o drewniane bale.

Starucha podniosła głowę. Twarz wystająca spod chusty przypominała pośmiertną maskę. Kobieta patrzyła tylko na Aleksandra Duré, ignorując resztę jeźdźców. Cyrulik zatrzymał się pół długości konia od wieśniaczki, przez cały czas świdrując ją wzrokiem.

Coś wisiało w powietrzu. Porucznik nie wiedząc czemu poczuł strach.

Bogrejsz najechał koniem na wieśniaczkę i zmusił ją, by cofnęła się o krok. Staruszka splunęła pod kopyta wałacha. Zwierzę poruszyło się niespokojnie. Tatar lewą ręką uspokoił wierzchowca, a drugą sięgnął po nahajkę wiszącą przy siodle.

Duré powstrzymał sługę ruchem dłoni. Na widok tego gestu kobieta zachichotała, odsłaniając bezzębne dziąsła.

Tatar wskazał dłonią w kierunku wioski.

- Co tam się stało?

- Zaraza. Wielu pomarło, reszta uciekła - wysepleniła wieśniaczka.

- A ty?

- Stara jestem i związana z tym miejscem - odrzekła z gorzką kpinią.

Hirs nic nie pojmował z całej sytuacji. Zmarszczył brwi, zezując jednocześnie na Aleksandra Duré. Ten wciąż z ponurą miną wpatrywał się w kobietę.

- Znasz dwór o pochylonej wieży? - wypytywał dalej Bogrejsz.

Staruszka zmrzyła oczy.

- Przekłęté to miejsce. Zło tam czai się wielkie. Hirsz wymienił szybkie spojrzenie ze swym wachmistrzem.

- Gdzie on? - drażył Tatar. Machnęła kościstą ręką na północ,

- Tam, drogą za młynem. Z daleka dojrzycie park.

- Daleko to?

- Nie bardzo.

Starucha ponownie wbiła spojrzenie w maga i zaskrzeczała niespodziewanie:

- Okpiłeś go, przekleśtniku, lecz on cierpliwy. Oj, cierpliwy.

Cyruлик zacisnął dłoń na głównej bastardowego miecza zawieszonym przy siodło.

- Zamilcz, bo zgaszę ten wąty płomień, co się jeszcze w tobie tli.

Starucha prychnęła, lecz zgięła kark. Duré spał konia i minął kobietę. Oddział podążył za nim.

Hirsz podgonił wierzchowca i zrównał się z cyruikiem. Pochmume oblicze maga nie zachęcało do zadawania pytań.

Mroczek odznaczał się mniejszą subtelnnością.

- O co jej chodziło?

- Bredziła wiedźma - prychnął pogardliwie Duré, nie patrząc na wachmistrza. - Pewnikiem nawdychała się wywarów.

Mroczek popatrzył na maga z powątpiewaniem. Odpowiedź wyraźnie go nie zadowoliła. Zerknął znacząco na porucznika, następnie obejrzał się przez ramię i zeszywniał.

- Gdzie ona? - wyrzucił z lękiem. Porucznik obrócił się w siodło. Poczul, jak włosy jeżą mu się na karku.

Mostek i droga były puste. Przejechali nie więcej niżli sześćdziesiąt kroków. Blisko drugie tyle dzieliło przejazd od nadrzecznych chaszczy.

Birkut i Hańcza również spojrzeli na opustoszały mostek. Kozacy pośpiesznie wyrwali włosy z brody i opletli je wokół palców, mrużąc zaklęcia przeciw urokom.

Zły omen - pomyślał Hirsz. Zaklął w duchu, po czym zaczął się modlić.

•

Przebudziło go przecucie. Takie, którego nie należało lekceważyć. Alvaro rozchylił powieki i wbił wzrok w baldachim. Podniósł głowę z puchowych poduszek. W komnacie panował gęsty mrok.

Wyczuwał, że na zewnątrz trwa dzień. Wskazywała na to ogarniająca go senność oraz spowolniony rytm serca.

Spojrzał na nagie ciało zwinięte u jego stóp. Kobieta spała, oddychając rytmicznie. Dopiero gdy podniósł się z łoża, zbudziła się niczym czujny pies.

Ona również wyczuła dzień. Wyraźnie zaskoczona, zerknęła na grube kotary zasłaniające okiennice.

- Mamy gości - wyjaśnił Alvaro. - Powiadom Pedra!

Kobieta podniosła się, ukazując napęczniały brzuch i skrytą pod nim kępę ciemnych włosów. Nieśmiertelny przez chwilę przypatrywał się swemu dziełu. Przemiana dokonywała się zgodnie z planem. Czul głód stworzenia, lęgnącego się pod sercem kobiety. Tej nocy również namięcił dziecko swym nasieniem.

Niewolnica bezszelestnie opuściła pokój.

Alvaro podszedł do młodej dziewczyny, którą wczorajszej nocy przykuto łańcuchami do ściany. Wciąż żyła, choć straciła przytomność.

Przez kilka oddechów wpatrywał się w krwawy ślad, który wił się niczym wąż od szyi pomiędzy ciężkimi piersiami aż do podbrzusza. Widok ten podniecił go i wywołał głód. Wampir odpędził jednak pokusę. Nasyci się później, już niebawem.

Alvaro przystąpił do rytuału. Wypowiadał zaklęcia w języku kapłanów, których świątynie dawno obróciły się w pył.

Z każdym wypowiedzianym słowem w komnacie robiło się zimniej, a na ścianach pojawiły się krople wody. Natura powoli ugięła się pod jego wolą.

Wampir wypowiedział ostatnie słowo, wysunął pazury i niedbałym ruchem podciął kobiecie gardło. Z przyjemnością patrzył, jak bliźniaczy strumień czerwieni meandruje w dół.

Teraz należało tylko czekać.

Pedro sapnął z ulgą i zakończył mocnym pchnięciem, opierając swój ciężar na miękkich pośladkach. Helena zadrżała i jęknęła w poduszkę. Sługa przez kilka oddechów czekał, aż nasienie opuści jego męskość, po czym przetoczył się na plecy.

Kobieta przekręciła się na bok, twarzą do kochanka. Pedro spojrzął na urodziwą twarz, opartą na złożonych dłoniach. Uśmiechnęła się i pogłaskała jego krótko ostrzyżone włosy.

Zostali kochankami parę miesięcy temu. Helena, choć szlachcianka, w przeciwieństwie do innych nie traktowała go z wyższością. Z czasem wolna miłość przemieniła się w coś więcej. Coś, czego nawet nie śmiała nazwać.

Kusiło go, żeby nie wykonać rozkazu. Lecz chwila słabości szybko minęła. Warunkowanie, któremu go poddawano od dzieciństwa, zwyciężyło.

Obrócił się do niej i ponownie przygniótł swym ciężarem. Helena zaśmiała się jak podłotek i rozchyliła uda.

- To chyba druga młodość - rzekła z przyjazną drwiną.

Pedro chwycił ją za szyję i zacisnął palce. Zamknął oczy, by nie widzieć jej oblicza.

Prawie nie stawiała oporu.

Po wszystkim sługa zsunął się na podłogę i ukrył twarz w dłoniach. Rozmyślał. Powrócił pamięcią do porannej rozmowy z Alvarem.

Wieści, jakie przywiózł z Warszawy, oznaczały wyrok dla sabatu. Jego pan zdecydował, że jeszcze przed wieczorem opuszczą dwór. Pedro wiedział, co to oznacza. Ten dzień przeżyć mieli tylko oni dwaj i brzemenna kobieta. Reszta członków sabatu, zarówno szlachta, jak ich słudzy, miała zginąć podczas pożegnalnej uczy.

Pedro jęknął na wspomnienie swej hańby.

Przez dziesiątki lat wierniej służby był świadkiem wielu takich rzezi. I właśnie dzisiaj po raz pierwszy okazał słabość.

Decyzja narastała w nim, odkąd opuścił szanice Warszawy. Czaiła się jak wyrzut sumienia pod powierzchnią skorupy okrywającej duszę. I kiedy dotarło do niego znaczenie tego, co nieuniknione, tłumione uczucia wyrwały się spod kontroli.

Na krótko przestał być sobą, oszalał. W desperacji rzucił się do stóp krwiopijcy, błagając o życie Heleny.

Jego pan nie był jednak łaskawym stworzeniem. Pogarda w jego nieśmiertelnych oczach bolała bardziej niż razy, spadające na grzbiet sługi.

Śmierć kochanki miała stać się sprawdzianem jego lojalności.

Dwie ciężkie, ciepłe łzy spłynęły wzdłuż bruzd złobiających oblicze sługi.

Drzwi do izby rozwarły się na oścież, z ostrym trzaskiem pękającego skobla. Pedro szarpnął gniewnie głową i otworzył usta, żeby obrugać natręta. Zamiast tego tylko wybałuszył oczy.

Kobieta trzymała się cienia, bacząc, aby światło dzienne nie padło na odkrytą skórę. Pedro błędził przez chwilę wzrokiem po pełnych piersiach, nim spojrzął na twarz. Wzdrygnął się mimowolnie. Niegdyś miłe dla oka oblicze teraz budziło grozę. Jeśli ktoś z członków sabatu był bliski przemienienia, to właśnie ona.

Raczej to coś, co zagnieździło się pod jej sercem - poprawił się w myślach.

Spojrzenie kobiety powędrowało ku łożu i zatrzymało się na Helenie. W jej oczach mignął błysk zazdrości. Kobieta ponownie spojrzała na sługę. Dłonią uzbrojoną w długie, poźółtkie paznokcie

wskazała okno, wychodzące na park.

- Obcy - wydusiła z siebie jedno słowo, po czym rozplynęła się w mroku sieni.

W tym momencie Pedro poczuł, że coś się zmieniło. Chłód i wilgoć opadły na dwór niczym ciężki płaszcz. Z ust sługi wydobył się obłoczek pary. Pedro zaklął pod nosem i stał przedramieniem wilgoć z brody.

Wstał i nałożył ubranie. Dopiero w progu odważył się spojrzeć ostatni raz na Helenę. Nawet po śmierci wciąż była piękna jak anioł.

Pedro jednak nie wierzył w anioły, Boga czy nawet diabła. Zanim wyszedł z komnaty, wyrzucił jej obraz z pamiątki.

Bystre oczy sługi przeczesywały zarośla porastające skarpe. Jesień zdążyła ograbić drzewa z listowia, lecz kurtyna mgły rozpostarta między drzewami utrudniała obserwację.

Po chwili dostrzegł to, czego szukał. Delikatne, niemal nieuchwytnie dla oka zawirowanie wilgotnych oparów.

Ośmiu zbrojnych zsunęło się ze skarpy. Przekroczyli strumień i ruszyli przez kotlinę, trzymając syk. Wspięli się po łagodnym zboczku, wkroczyli na opustoszały plac studzienny. Znać było w ich postawie i ruchach żołnierskie rzemiosło.

Pedro spojrzął z ukosa na uzbrojonych ludzi, tłoczących się pod ścianą wozowni. Szlachetnych mógł być pewien. Ci będą walczyć do końca. Czeladź to inna sprawa. Pedro nie żywił złudzeń co do wartości bojowej chłopstwa. Wprawdzie w łapach ściskali sulice, topory i kosy, jednak z czerstwych mord wyzierało przerażenie. W posłuchu utrzymywał ich strach i wino makowe, podawane im od miesięcy. W tej sytuacji głównym atutem pozostawała kilkakrotna przewaga liczebna.

Poza tym, jeśli zawiodą, pozostaje wciąż pan Alavaro - pocieszył się w duchu.

Rozległo się hukanie sówki.

Sługa uniósł rusznicę. Przyłożył kolbę do barku.

Wybrał cel: niewyraźną postać mającą w szarych oparach. Wycelował i nacisnął spust. Trafiony mężczyzna zakręcił się wokół własnej osi i runął na ziemię.

- Do ataku! - ryknął Pedro.

Sam przywarł do ściany, nim jeszcze przebrzmiał huk wystrzału. Gdy minął go ostatni zbrojny, sluga ponownie wychylił głowę zza węgła.

Napastnicy przyjęli atak z profesjonalnym spokojem, który wywołał u Pedra ciarki. Siedem rusznic plunęło ogniem w nacierającą ciżbę.

Dym zmieszany z mgłą całkowicie przesłonił widok. Pedro słyszał tylko kolejne palby z pistoletów, zgrzyt żelaza i krzyki konających. Naładował broń i znowu wysunął głowę, żeby ocenić sytuację.

W tym momencie szara zasłona rozdarła się, wypływając dwóch zbrojnych. Żaden nie wyglądał nawet na rannego. Z bliska Pedro dostrzegł żołnierze chroniące szyje. Poczuł zimny ucisk w żołądku.

Łowcy!

Zbrojni dostrzegli go w tej samej chwili. Obaj rzucili się ku niemu, sadząc wielkie susy. Pedro zdążył jedynie cofnąć się o kilka kroków. Łowcy wypadli za rogu niemal jednocześnie. Pomimo ciężkiego rynsztunku poruszali się wręcz nieprawdopodobnie szybko.

Sługa wypalił w ostatnim momencie, nim ostrze szabli zbito łufę ku ziemi. Huknęło, pierwszy wielkolud krzyknął z bólu i padł na ziemię. Pedro nie patrzył, gdzie trafił. Bardziej wyczuwając niż widząc atak drugiego napastnika, uniósł rusznicę i sparował cięcie szabłą, wymierzone w jego głowę. Ostrze zazgrzytało i zsunęło się skosem w dół. Sługa zgiął się odruchowo. Za wolno. Żelazo

przecięło pierś i brzuch. Jednak grube i twarde jak wyprawiona skóra mięśnie ochroniły organy wewnętrzne. Łowca na pół oddechu utracił równowagę, gdy rozpadzona stal ucięła ku ziemi, ciągnąc za sobą sznur kropelek krwi.

Pedro zaatakował instynktownie. Przesunął dłonie na luźną, zamachnął się i uderzył z boku jak maczugą w głowę łowcy. Ten zablokował uderzenie przedramieniem, lecz cios przełamał gardę. Trzask pękającej czaszki rozbrzmiał w uszach sługi najsłodsza muzyka.

Pedro wypuścił broń i przyłożył rękę do brzucha. Z każdym oddechem przeszywał go szarpący ból. Gorąca krew ściekała przez palce w dół podbrzusza, wypełniając portki. Świat wokół wirowało.

Opadł na kolana. Wolną dłonią przetarł oczy, by odpędzić ciemność.

Trzask łamanej gałązki przywrócił go do świadomości.

Alvaro, nareszcie - pomyślał, unosząc głowę.

Kątem oka dostrzegł szybki ruch i coś twardego uderzyło go w głowę. Runął z jękiem na wilgotne liście. Poczuli, jak czyjeś szorstkie dłonie obracają go twarzą ku niebu. Otworzył oczy i próbował skupić wzrok na wykrzywionym obliczu mężczyzny.

To ten, którego postreliliem - dotarło do niego. Przesunął spojrzenie w dół, tam, gdzie kula przebiła ogniwa kolczugi.

Wyjątkowo twardy skurwiol - pomyślał z mimowolnym szacunkiem. Spojrzał bez strachu na wielkoluda. Wkrótce obaj spotkają się w piekle. Odpowiedziało mu bliźniacze spojrzenie.

Wielkolud warknął coś w dziwnym, obcym języku i uniośł trzymaną w dłoni szablę. Ostrze opadło ze świstem, by tuż nad głową sługi zmienić tor lotu. Łowca wykonał gwałtowny obrót, tnąc nad ziemią mgłą ze swoimi plecami. Gdyby ktokolwiek tam był, niechybnie utraciłby stopy. Jednak nie zatrzymywana klinga przecięła tylko powietrze. Łowca sapnął, nie wiedząc, z bólu czy zaskoczenia, i oparł dłoń na ziemi dla utrzymania równowagi. W tym momencie z mgły po lewej wystrzeliła smukła dłoń. Długie palce o ostrych pazurach wbiły się z impetem w oczy i nozdrza rannego wojownika. Wielkolud zawył z bólu. Ociemniały, pozbawiony twarzy, tarzał się po ziemi u stóp oprawcy. Wampir przestał już zwracać na niego uwagę. Zimne oczy wbiwały się w sługę, jakby oceniając jego dalszą przydatność.

Pedro oparł się na łokciach, poddając się oględzinom. Wiedział, że waży się jego życie.

Sekundy ciągnęły się jak wieczność.

- Jest we dworze, chroń ją - polecił Alvaro pozbawionym emocji głosem i obrócił głowę w kierunku placu. Odgłosy starcia już umilkły.

Pedro skinął głową, niezdolny wydusić z siebie ani jednego słowa. Odprowadził nieśmiertelnego wzrokiem, póki ten nie zniknął we mgłę.

Klnąc pod nosem, podniósł się z ziemi. Szarpący ból rany zatrzymał go w miejscu. Zgięty wpół, wyciągnął rękę i chwycił leżącą pół łokcia od niego szablę. Wbił ostrze w ziemię. Gdy oparł się na rękojęści, klinga wygięła się niebezpiecznie, lecz utrzymała jego ciężar. Ciężko dysząc, stanął na nogi.

Uczył pierwszy niepewny krok, gdy zatrzymał go przejmujący jęk. Spojrzał przez ramię na osłepionego łowcę. Mężczyzna, choć okrutnie okaleczony, wciąż żył. Pełzając, macał dłońmi ziemię, jakby czegoś szukał. Każdy jego ruch znaczył krwawy ślad.

Powodowany odruchem, sługa pochylił się i wetknął ostrze w błędzącą po omacku dłoń. Pokrwawione palce zacisnęły się kurczowo na głowni.

Na placu studziennym rozległy się pojedynczy wystrzał z rusznicy.

Pedro obrócił się na pięcie i ruszył chwiejnie w kierunku dworu.

Mgła pojawiła się nagle i niespodziewanie. Światło słoneczne z trudem przebijano się przez



mleczną osnowę. Pomiędzy drzewami i krzewami przewalały się kłęby zawiesiny, gęstej i cuchnącej. Ośmiu skradających się mężczyzn przywarło do ziemi. Gleba była wilgotna i pachniała zgniłymi liśćmi.

Hirsz czuł skurcze w żołądku i gwałtowne bicie serca.

Rozejrzał się z niepokojem. Mgła poruszała się niczym żywa istota. Nękało go niepokojące wrażenie, że coś czai się na granicy pola widzenia.

To tylko strach i wyobraźnia - próbował przekonać samego siebie.

Z dość mamym skutkiem.

Podczołgał się na łokciach bliżej Aleksandra Duré. Cyrulik obrócił ku niemu twarz i wykrzywił usta w ponurym grymasie.

- Już o nas wie - oznajmił.

- Co waść proponujesz? - Hirsz nie krył zaniepokojenia.

- Trzymać się planu. Chyba że chcesz się wycofać.

Porucznik zagryzł wargę.

- Chcę dopaść sukinsyna - zdecydował po chwili.

Z tyłu podpełzł Hańcza.

- Czy on potrafi przemienić się w mgłę? - spytał Kozak ochryple, jakby coś ścisnęło mu gardło.

Mag prychnął pogardliwie.

- To zwykła magiczna sztuczka.

Hirsz spojrział na cyrulika z ukosa. Podobne czary rodzą się z krwi, ludzkiej krwi. Przed chwilą ktoś tam we dworze zakończył życie.

Duré dostrzegł to spojrzenie. Odwrócił wzrok i sięgnął po wiszący na uprzęży bastardowy miecz.

Bez słowa powstał na równe nogi. Bogrejsz i dwaj najemnicy uczynili to samo.

Porucznik również dał znak swym ludziom. Cała ósemka uformowała szyk w wachlarz. Ruszyli w stronę dworu z gotowymi do strzału rusznicami. Po dwustu krokach grunt załamywał się skarpa. W tym miejscu kończył się park.

Hirsz rozsunął krzaki, by mieć lepszy widok na zabudowania. Jako żołnierz już na pierwszy rzut oka docenił walory obronne tego miejsca. Skarpa opadała ostro dwa metry w dół. U jej podstawy płynął strumień. Na drugim brzegu wznosiła się hałda ziemi. Wysoka na dwa i szeroka na pięć metrów, oddzielała strumień od stawu, nad którym stał dwór. Główny budynek otoczony przybudówkami wzniesiono na niewielkim pagórku. Nad stawem rozpiął się mostek, który łączył dwór z gospodarstwem folwarczym. Niestety mgła skutecznie maskowała szczegóły.

Nigdzie nie widać było żywej duszy.

Zachowując ciszę, zsunęli się po stroniźnie. Przebrnęli przez strumień, szeroki w tym miejscu na koński skok, i weszli do niewielkiej niecki, otoczonej szpalerem drzew. Po nierównym, błotnistym zboczu wspięli się na opustoszały plac. Pośrodku stała ocembrowana studnia, a kilka kroków dalej - rozpadająca się szopa.

Porucznik dał znak Mroczkowi, by ten go ubezpieczał.

Ruszyli wzdłuż ściany szopy i przywarli po obu stronach wejścia. Hirsz przyłożył rusznicę do ramienia i oparł palec na spuście. Na dany sygnał wachmistrz kopnął spróchniałe deski drzwi. Porucznik wpadł do środka i zlustrował pomieszczenie. Nie zobaczył nikogo.

- Pusto - zawiadomił wachmistrza.

- Gdzie oni są, do cholery? - warknął Mroczek. Hirsz wlepił wzrok w kontury budynków, ledwie majaczące za szarą zasłoną mgły.

- Zaraz się przekonamy. Daj znak - rozkazał. Mroczek przyłożył dłoń do ust i zahukał jak sówka.

Sześć sylwetek poderwało się z ziemi. Od zabudowań dzieliło ich ledwie kilkanaście metrów.

Hirsz zdołał przejść tylko kilka kroków, zanim trafił go pocisk. Siła impetu wybiła mu

powietrze z płuc. Odrzucony do tyłu, runął z płaszczykiem w błoto. Przez kilkadziesiąt uderzeń serca leżał sparaliżowany, niezdolny zaczerpnąć tchu. Wtem obręcz zaciskająca klatkę piersiową rozluźniła się, umożliwiając dopływ tlenu do spragnionych płuc. Chwytał powietrze spazmatycznymi haustami, nie zważając na popękane żebra.

Spróbował podnieść się i oprzeć na rękach i kolanach. Wysiłek okazał się ponad jego siły. W oczach mu pociemniało i na powrót wyładował w brunatnoczerwonej brei. Z pewnym zdziwieniem skonstatował, że to jego własna krew. Jęknął żałośnie i obrócił głowę, żeby obserwować toczącą się wokół niego walkę.

Ryczącą masę napastników przywitała palba z rusznic i pistoletów. Na kilka chwil tłum zafalował niczym wzburzone morze, po czym natarł z wściekłym impetem. Szczęk stali i wycie okaleczanych ludzi zlały się w jedną piekielną kakofonię.

Hirsz nie widział, kto bierze górę w starciu. Siła ataku rozproszyła jego drużynę.

Postacie walczących wyglądały jak ciemne plamy na tle mlecznej zasłony.

Nagły podmuch wiatru rozdarł nieco opary, odsłaniając Birkuta otoczonego przez zgraję czeladzi. Wielkolud ryczał jak osaczony niedźwiedź. Zgubił gdzieś szablę i teraz trzymał w rękach osadzoną na sztorc kosę. Z boku przez mgłę przebijały się stłumione przekleństwa Hańczy, z każdą sekundą głośniejsze.

Czeladź osaczająca Birkuta również słyszała nadciągającą odsiecz. Chłopi zacisnęli krąg, by przypuścić jednoczesny atak. Kozak dopuścił ich na odpowiednią odległość, po czym wyprostował ręce i wykonał błyskawiczny obrót wokół własnej osi, trzymając ostrze kosy przed sobą. Sześć rozplatanych ciał osunęło się na ziemię w bryzgach krwi. Dwóch pechowców wciąż żyło i niemrawo poruszało kikutami.

Porucznik usłyszał za plecami trzask łamanej gałęzi. Poczul, jak włosy jeżą mu się na karku. Wykręcił szyję i spojrzał w tył. Trzy kroki od niego z mgły wyłonił się pleczysty chłop. W łapach ścisnął siekiere osadzoną na długim trzonku. Kmieć zastygł w bezruchu i zasapał zaskoczony. Na jego otępiałej mordzie zagościł paskudny uśmiech.

Porucznik zerknął na pistolety zatknięte za pasem. Chłop dostrzegł to spojrzecie. Nie czekając, aż Hirsz sięgnie po broń, doskoczył do niego z uniesioną siekiere.

Panika odblokowała mięśnie i nerwy. Odretwienie nagle ustąpiło. Porucznik płynnym ruchem wyszarpnął króciącę, nie zdołał jednak wystrzelić. Kopnięcie wybiło mu z dłoni broń. Drugi kopniak powalił go na plecy.

Hirsz poczuł przejmujący ból, gdy zrogowaciała pięta napańa na jego pierś. Chłop wykonał zamach siekiere do ciosu, mającego rozplatać czaszkę bezbronnej ofiary.

Upiome wycie rozdarło mgłę. Kmieć zamarł na ułamek oddechu, by spojrzeć w kierunku źródła dźwięku. Wtedy z mgły wystrzelił olbrzymi cień i uderzył z impetem w mężczyznę, zbijając go z nóg. Krótki, rozpaczliwy krzyk zakończył się trzaskiem łamanych kregów.

Wszystko rozegrało się tak szybko, że Hirsz nawet nie zdążył się obejrzeć. Gdy to uczynił, natychmiast tego pożałował.

Wielki jak cielak basior stał nad drgającym w agonii trupem. Wilk odwrócił łeb od ofiary i spojrzał na porucznika. W czarnych oczach płąsała śmierć i szaleństwo.

Hirsz poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie.

Znał te oczy, ciemne, skośne i nazbyt ludzkie.

Nagle wilk szarpnął łbem w bok, warknął przeciągle i obnażył kły. Wielkie węzły mięśni napięły się pod sierścią.

Mgła zawirowała, wypuszczając z wilgotnych kłębow nagięgo mężczyzny. Wysoki, ciemnowłosy, o białej jak pergamin skórze. Nieludzkie oczy ominęły obojętnie człowieka i skupiły się na basiorze. Krwio pijca obnażył kły.

W odpowiedzi z paszczy wilka wydobyło się głuche warknięcie. Przeciwnicy skoczyli ku sobie

jednocześnie, pokonując w powietrzu dziesięć kroków. Zderzyli się nad ziemią. Siła uderzenia rzuciła wilka na ścianę szopy. Drewno trzasnęło, szopa zadrzała, z wnętrza dobiegł krótki, jękiwy skowyt.

Porucznik zmrzył oczy, wpatrując się z niedowierzaniem w ciemną dziurę wybitą w deskach. Wampir, ignorując człowieka, ruszył w kierunku rozwalonej ściany, żeby dokończyć sprawę z basiosem.

Hirsz otrząsnął się. Przyklął i pokonując ból, chwycił leżącą wśród liści rusznicę. Odbezpieczył zamek. Metaliczny odgłos zatrzymał wampira w pół ruchu.

Luła plunęła ogniem. Siła pocisku rzuciła krwiopicę na ziemię. Porucznik cisnął rusznicę, wyszarpnął zza pasa drugi pistolet i zerwał się na nogi. Wiedząc, że ma tylko jedną szansę, podbiegł do leżącego plackiem wampira i wycelował z dwóch kroków w głowę potwora. Wampir obnażył kły i rzucił się w bok w beznadziejnej próbie ucieczki. Hirsz nacisnął spust.

Jęk zwalnianej sprężyny i głucho uderzenie kurka.

Proch zamókł od wilgoci.

Hirsz cofnął się odruchowo.

Wampir zamarł na pół oddechu i uśmiechnął się zjadliwie. Wyprostował się, pozwalając porucznikowi ocenić efekt pierwszego trafienia. Pocisk wyrwał w jego piersi dziurę wielkości pięści. Wydawało się jednak, że rana wcale nie szkodziła potworowi. Ruszył ku ofierze z drapieźną nonszalancją.

Hirsz wyschniętymi wargami zaczął szeptać ostatnią modlitwę. Niespodziewanie trzy kroki od niego krwiopicja zatrzymał się. Obrócił głowę w bok, jakby coś dosłyszał. Wydał pełne irytacji warknięcie.

Aleksander Duré wyskoczył z mgły i przeleciał kilka kroków nad ziemią. Łopoczące poły płaszcza nadawały mu wygląd drapieźnego ptaka spadającego na zdobycz. Nad głową trzymał oburącz swój bastardowy miecz.

Gdy stopy maga dotknęły podłoża, wyprowadził śmiercionośny cios. Klinga ze świstem przecięła powietrze, celując w szyję wampira.

Bestia wykonała akrobatyczny unik, ratując się przed dekapitacją. Błyskawicznie zawróciła i rzuciła się na maga.

Duré nie dał się zaskoczyć. Miecz w jego rękach wirował tak szybko, że zmienił się w zamazaną plamę. Po kilku uderzeniach serca wampir odskoczył w tył, zataczając się lekko. Zerknął w dół, syknął wyraźnie zaskoczony. Krwawa szrama znaczyła jego wąską pierś i umięśniony brzuch, kończąc się w miejscu, gdzie zwykły człowiek ma pępek.

Ta niespodziewana porażka nieco ostudziła zapędy krwiopiczy, czyniąc go ostrożniejszym. Rozpoczął taniec wokół maga, szukając okazji, by przedrzeć się przez szermierczą zasłonę.

Każda próba zbliżenia zatrzymywała się na ostrzu klingi. Finezją, z jaką medyk posługiwał się mieczem, budziła w Hirszu nieklamany podziw.

Porucznik zarejestrował, że rana zadana krwiopiczy bastardowym ostrzem nie goi się równie szybko jak poprzednie. Gęsta krew spływała po nogach wampira, kapiała na ziemię i liście.

Aleksander Duré wyraźnie czekał na osłabnięcie przeciwnika.

Z szopy dobiegł wściekły skowyt i rumor. Bogrejsz chyba dochodził do siebie. Krwiopicja spojrział w tamtym. Wykrzyknął coś wściekle w nieznanym Hirszowi języku i skoczył we mgłę.

Mag nie podążył za nim.

Pochylił się na porucznikiem. Odsunął przebitą na wylot brygantynę. Obejrzał ranę i pomacał palcami otwór po kuli.

- Kula przeszła na wylot. Dobry pomysł z tą koleczuga - pochwalił mag. - Teraz zaboli.

Porucznikiem szarpnęła potworny, lecz szczęśliwie krótkotrwały spazm. Natychmiast też poczuł przypływ leczniczej energii. Rana niemal przestała krwawić. Niestety łupiący ból pozostał. Umysł

nie dawał się tak łatwo oszukać. Wymuszone uzdrawianie pozostawiało blizny fizyczne i mentalne. Teraz jednak porucznik był wdzięczny za ten dar. Dar wiele mówiący o mocy cyrulika.

Zresztą po tym, czego był świadkiem, nic go już nie mogło zdziwić.

- To musi ci na razie wystarczyć - rzekł Duré, wyciągając ku niemu rękę.

Hirsch chwycił podaną dłoń, podniósł się z trudem i stanął na chwiejnych nogach. Wciąż nie dowierzał, że uszedł z życiem.

- Go teraz?

- Są we dworze. Muszą umrzeć. Dopilnuj tego. Ja z Bogrejszem zajmujemy się krwiopijcą.

Hirsch spojrzął w kierunku basiora, który już odzyskał siły. Stał z wywieszonym jeźorem, patrząc nagle na swego pana. Mag skinął głową i zwierzę skoczyło w ślad za wampirem.

Położył Hirschowi dłoń na ramieniu.

- Uważaj na siebie, poruczniku.

- I ty, waszmość.

Hirsch odprowadził go wzrokiem, póki mag nie zniknął w białych oparach.

Alvaro de Sadre pędził przez mgłę.

Za plecami słyszał odgłosy ścigającej go bestii.

Nieśmiertelny po raz pierwszy od wieków poczuł zwierzęcy strach. Rana zadana przez maga paliła żywym ogniem. Tajemniczy, nasączony czarami oręż zatruił jego krew. Czuł, jak z każdym krokiem opuszczają go siły.

Dysząc nienawiścią i żądzą zemsty za doznane upokorzenie, zatrzymał sienna skraju mgły. Przez mleczną kotarę przebiegało dzienne światło. Małe, drażniące igiełki, gotowe zamienić się w rozpalone szpile, gdy tylko opuści bezpieczną otulinę.

Wzdrygnął się twożliwie. Do zmierzchu pozostało jeszcze parę godzin. Lepiej podjąć walkę niż wystawić się na palące słońce i żar, który zwęgli skórę.

Rozejrzał się za miejscem na zasadzkę. Zwrócił uwagę na stary klon o rozłożystych konarach. Wspiął się po pniu z gracją leśnego kota, przywarł do grubego konara, wysunął kły i pazury.

Basior wychynął z mgły. Pierwsze starcie dało mu do myślenia. Skradał się z nozdrzami przy ziemi. Zatrzymał się, uniosł łeb i zawęszył. Na zwierzęcym pysku malował się całkiem ludzki niepokój.

Zwierzyna umknęła, pozostawiając po sobie jedynie ulotny zapach.

Alvaro wykrzywił wargi w paskudnym grymasie. Wiedział, że mgła tłumi jego woń i wilkołak zdany jest na słuch i wzrok.

Basior ruszył ponownie przed siebie. Znalazł się pod konarem. Wciąż niczego nie podejrzewał. Alvaro zastygł, czekając, aż ofiara znajdzie się tuż pod nim. Napiał mięśnie i skoczył na odsłonięty grzbiet basiora.

Nie poczuł, jak ciężka kropla krwi oderwała się od jego brzucha i rozprysła na sierści wilka.

Wielki łeb podskoczył w górę na mgnienie oka przed atakiem. Mimo przewagi zaskoczenia Alvaro nie zdołał wbić kłów w kark basiora. W ostatnim momencie metamorf błyskawicznie skręcił tułów. Kły i pazury krwiopijcy rozorały futro, mięśnie i ścięgna, nie naruszając jednak żadnego z żywotnych organów.

W odpowiedzi mocame szczęki zacisnęły się na łydce Alvaro, miażdżąc z trzaskiem kość. Nieśmiertelny zasycał z bólu, nie zwolnił jednak uścisku, przygwałdzającego bestię do ziemi. Cał po calu przesunął się ku karkowi wilka. Bestia walczyła o życie z dziką zajadłością, ale na próżno. Alvaro wiedział, że wygra. Nie mogło być inaczej. To on był dominantem, którego nie mógł pokonać byle tresowany kundel.

Czuł, jak metamorf opada z sił. Słyszał serce, tłoczące krew tak gwałtownie, jakby zaraz miało pęknąć. Drgający kawałek mięsa, łup, który już za chwilę zostanie wyrwany z kosmatej piersi i pożarty na znak tryumfu.

Wilk szarpnął się i zaskomlał ludzkim głosem.

Ciało Alvara przeszył dreszcz podniecenia, jego członek napęczniał i przywarł do podbrzusza. Wampir dotarł do spojenia czaszki z kregosłupem. Otworzył usta, cofając przy tym ścięgna policzków.

Nagły ból przepalił euforię rozpalonym żelazem. Nieśmiertelny stracił oparcie w lewej nodze i zjechał po mokrej od juchy sierści. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą miał kolano, widniał krwawiący kikut. Łydka i stopa leżały dwa kroki dalej.

Zaskoczony, wpatrywał się w żłobkowane ostrze, wycelowane w jego pierś. Przesunął wzrok wzdłuż zakrwawionej klingi i zatrzymał na właścicielu bastardowego miecza.

Mag również przyglądał mu się z natarcywą uwagą.

Alvaro spróbował hipnozy. Mentalna sonda odbiła się jednak od szczelnej osłony, która okrywała umysł czarodzieja.

Człowiek skrzywił się z pogardliwym rozbawieniem.

- Daruj sobie, krwiopijco, to bezcelowe - przemówił starożytną łaciną.

Alvaro przymknął powieki, by skryć nagłą panikę, uczucie do tej pory mu nieznanne. Po kilku oddechach otworzył oczy.

- Twe zdolności są doprawdy imponujące - odpowiedział w tym samym języku.

Mag zbyt pochlebstwo wzruszeniem ramion.

- Kim jesteś?

- Badaczem, którego przepelnia ciekawość. Ta słabość jest twą szansą.

Alvaro rozluźnił się. Ten głupiec nie chciał go zabić. Podobnie jak inni przed nim, pragnął potęgi, wiedzy, mocy.

Alvaro roześmiał się w myślach. Wkroczył na doskonale znany grunt. Ludzie byli tak bardzo powtarzalni. Zawsze ostatecznie chcieli tego samego. Wyrwać mu tajemnicę nieśmiertelności. Wszyscy ci głupcy zawsze kończyli jako jego niewolnicy. Ten skończy tak samo, a nawet znacznie gorzej. O tak, znacznie gorzej. Zmrużył powieki, aby ukryć błysk tryumfu. Niech ta mała myśli, że wygrała.

- Dam ci wszystko, czego chcesz, panie - odparł, symulując leciutkie drżenie głosu.

Mag wyduł wargi.

- W to akurat nie wątpię.

Wampir zamrugał. Coś w głosie maga zburzyło nowo narodzoną pewność Alvara. Jednak wrażenie zaraz umknęło. Przepłoszył je trzask łamanej gałązki. Śmiertelnik mógłby go nie usłyszeć, lecz Alvaro miał znacznie lepszy słuch.

Człowiek, ciężki i masywny, skradał się w ich kierunku. Mimo swej postury poruszał się cicho niczym polujący drapieżnik. Mag najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia.

Niewielu ludzi było zdolnych do takiej zręczności.

Pedro - zachłysnął się nadzieją krwiopijca.

Usłyszał świst wirującego w powietrzu żelaza, zakończony głuchym uderzeniem. Mag jęknął, wyrzucił oczy białkami i opadł na ziemię niczym pusty worek.

Alvaro podparł się na łokciach, wlepił wzrok w mgłę i czekał, aż sługa podejdzie bliżej.

Zmroził go szelest deptanych liści za plecami. Jest ich dwóch!

Otworzył usta, żeby użyć mocy głosu.

Wtem stalowa pętla zacisnęła się na jego szyi. Zamiast warunkującego posłuszeństwo rozkazu, z krtani wydobyło się krótkie rżenie. Alvaro chwycił stalową linkę i spróbował ją rozerwać.

Ktoś o sile niedźwiedzia unieruchomił go i narzucił na głowę worek. Jednocześnie coś ostrego i

grubego przebiło klatkę piersiową na wylot, przyszpilając go do ziemi. Krwio pijca mógł jedynie szarpać się niczym robak, nadziany na haczyk.

- Obacz no, Iwan, czy pan szlachcic dycha - usłyszał basowy głos, który niechybnie należał do mężczyzny olbrzymiej postury.

- Dycha, ino paskudnie łeb ma rozbity.

- Nic to, cyrulik on przecież, to się i wykuruje.

- Co z przemienieńcem?

- W letarg zapadł.

- Przeżyje?

- Trudno rzec. Przemienieńiec to i Tatar w jednym, znaczy twarda sztuka. Pamiętasz starego Pawluka, co pod Czerkasami grasował? Ten to był mocamy. Po wszystkich piętnaście srebrnych kul ze ścierwa wydobyliśmy. A ten inszy, co na niego sam książ na Lubnem nas wynajął? Ten, co mu kmieci przy potoku napastował. Sodomita przeklęty.

- Ano pamiętam, stare dzieje. Nie ma co gadać po próznicy. Bierzem się za poczware, bo się cyrulik ocknie, protestacje zacznie wnosić i trza go będzie znów przez łeb zdzielić.

Alvaro poczuł, że gaśnie, odpływa w lodowatą ciemność. Walka nie miała już sensu.

Przeżalenie ustąpiło, myśli stały się klarowne. To jeszcze nie koniec. Teraz wykopią jamę w ziemi i przywalą grób kamieniem. Potem zapomną o nim i tym miejscu. Jednak to również nie będzie koniec. Za jakiś czas zregeneruje ciało, odzyska siły i zacznie śnić. Będzie sączył w tych snach obietnice wiecznej młodości, władzy, rozkoszy. Jego mentalne wołanie dotrze do kolejnego chciwego, głupiego człowieka. A wtedy odzyska wolność i moc. Tysiąc lat doświadczenia mówiło mu, że ludzie nigdy się nie zmieniają.

•

Hirsz przywarował przy ganku, wpatrując się w otwarte na oścież drzwi. Musiał odpocząć, zanim ruszy dalej. Niezagojona rana przy każdym ruchu paliła ogniem.

Jak dotąd, nie natrafił na nikogo z drużyny. Nikogo żywego. Dwaj Węgrzy leżący przy spichrzu nie zaliczali się do tej kategorii.

Nie były to bynajmniej jedyne zwłoki, jakie znaleźli. Ktoś przed nim wykonał krwawą robotę. Trupy kobiet i mężczyzn tworzyły makabryczny trop, wiodący ku gankowi.

Wszyscy zginęli od tych samych ostrzy.

Hirsz jednym susem pokonał schody wiodące na ganek. Wahał się przez chwilę w drzwiach. Ze środka bił zgniły fetor. Joachim zacisnął zęby, przestąpił próg i wszedł do nisko sklepionej sieni.

Wyszeptał tajemne słowo. Poczuł, jak rozżarzone igły wbijają się pod powieki. Ból był przejmujący, lecz krótkotrwały. Otworzył oczy, pozwolił ścieknąć łzom. Czerń rozrzedziła się niespiesznie, przechodząc w szarówkę.

Sień dzieliła budynek na dwie części. Na przeciwległym krańcu znajdowało się wielkie okno, obecnie zabite deskami.

Porucznik dostrzegł ruch. Z ciemności oderwał się cień i ruszył wzdłuż ściany.

Hirsz zmrugał oczy i odetchnął.

Kotka, na dodatek ciężarna.

Zwierzę zatrzymało się i spojrzało na człowieka. Zielone, błyszczące oczy świeciły niczym pochodnie.

Uciekaj i skryj się w bezpiecznym miejscu - wyszeptał bezgłośnie.

Kotka przekręciła łepkę, miauknęła wojowniczo i krocząc dumnie z podniesionym ogonem, pomaszerowała do najbliższych drzwi.

Porucznik zaczekał kilka uderzeń serca, po czym ruszył w ślad za nią.

Przekroczył próg, trzymając przed sobą pałasz. Pomieszczenie służyło za jadalnię. Środek zajmował długi stół z ławami po bokach. U szczytu stało masywne rzeźbione krzesło z wysokim oparciem.

Wyczuł czyjąś obecność. Wstrzymał oddech i zamarł w bezruchu. Z głębokiego cienia w rogu komnaty wyłonił się wysoki, pleczysty mężczyzna. W prawej dłoni dzierzył rapier. Był ranny, o czym świadczyły ciemne plamy na koszuli oraz niepewne ruchy.

Hirsz zbliżył się na odległość trzech kroków i nagle skoczył do przodu. Klinga zazgrzytała o klingę.

Pomimo odniesionych ran przeciwnik okazał się szybki, piekielnie szybki. Porucznikowi z trudem udało się sparować serię pchnięć, które zabiłyby słabszego szermierza. Atak wytrącił go jednak z równowagi; Pedro zrobił wypad przestawny, celując w krtani Hirsza. Porucznik okrężnym ruchem pałasza rozpaczliwie wyrzucił rapier z linii pchnięcia. Zrobił półkrok w przód, odzyskał równowagę i zablokował rapier przy koszu chroniącym dłoni. Lewą pięścią uderzył silnie w płamię krwi na koszuli przeciwnika. Wielkolud jęknął i przekręcił się odruchowo, by chronić okaleczony bok. Hirsz wykorzystał to, uwolnił ruchem nadgarstka żelazo z kłinczu i uderzył jęlcem w twarz przeciwnika. Rozległ się trzask łamanej kości. Mężczyzna zawył z bólu, zachwiał się. Z wybitego oczodołu wypłynęła lepka tkanka. Porucznik nie czekał, aż przeciwnik dojdzie do siebie, tylko pchnął go kopnięciem na ścianę i ciało przez gardło. Sługa osunął się z charkotem, zostawiając na drewnie wilgotny ślad.

Nagle rozległ się obłąkańczy chichot.

Hirsz zamarł w bezruchu. Dźwięk dochodził z sąsiedniej izby.

Porucznik podszedł do drzwi, nasłuchując. Odgłos się powtórzył.

Pchnięte lekko drzwi otworzyły się bezgłośnie.

Hirsz wśliznął się do sypialni. Podobnie jak pozostałe izby, ta również tonęła w mroku.

Przez chwilę nie mógł oderwać oczu od wiszącej na łańcuchach martwej kobiety. Wyczuwał ból wypaczonej, rozdartej duszy. Ogamęły go mdłości. Walcząc z żołądkiem, skupił wzrok na drugiej postaci obecnej w izbie.

Na łożu siedziała kobieta, odwrócona do niego plecami. Wychudłe boki trzęsły się w rytm urywanego śmiechu. Nagle powstała jednym kocim ruchem, po czym obróciła się do porucznika. Zaskoczony Hirsz poczuł, że lód ścina mu krew w żyłach.

Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w wyniszczone oblicze. Ledwie rozpoznał te rysy. Po urodzie Brylskiej nie pozostał nawet ślad. Jednak nie zniszczenie piękna najbardziej go przeraziło.

Opuścił wzrok na napećniały brzuch. Mimowolnie zniżył pałasz.

To niemożliwe, minęło ledwie kilka tygodni.

Jakby pod wpływem jego zainteresowania, pod cienką jak pergamin skórą poruszył się jakiś kształt.

Rzucony urok stępił jego zmysły. Brylska zbliżyła się na odległość trzech kroków, a potem runęła na niego.

Oprztyomniał o uderzenie serca za późno. Nim zdążył unieść ostrze, kobieta uderzyła go w impetem w pierś i obaliła na kobierzec. Pałasz wypadł mu z dłoni, zatrzymując się pół łokcia poza jego zasięgiem.

Brylska przygwoździła go do podłogi z nieludzką siłą. Wysuszone usta rozwarły się, ukazując długie na palec kły. Hirsz lewą ręką odruchowo zasłonił szyję przed ukąszeniem. Ostre jak gwoździe kły wbiły się w przedramię.

Ignorując ból, zacisnął palce wolnej dłoni w pięść i z całej siły walnął kreaturę w skroń. Nacisk szczęk nie ustąpił ani na jotę. Z równym skutkiem mogłoby uderzyć w metalowy gamiec.

Napećniały brzuch przylegał do jego ciała. Hirsz z przerażeniem wyczuwał szamotanie się płodu. Stwór rzucał się gwałtownie, jakby chciał rozedrzeć ciało żywicielki, by dostać się do ofiary.

W mózg Joachima uderzały fale wściekłego głodu, nienasycone pragnienie krwi.

Palce zakończone pazurami zacisnęły się na krtani Joachima. Pozbawiony powietrza, resztką sił próbował się wyzwolić. Wył bezgłośnie z bólu, szarpał się, okładał na oślep nienawistny czerep. Na próżno.

Niespodziewanie kreaturą szarpnął spazm. Kościste ciało zwiotczało, a następnie opadło bezwładnie na Hirsza. Przez chwilę drżało w przedśmiertnych drgawkach, po czym znieruchomiało. Ucisk na krtani zelżał. Również straszliwy płód przestał się miotać.

Joachim łapczywie chwycił oddech, krtusząc się własną śliną.

Para butów o wysokich cholewach zatrzymała się na wysokości oczu porucznika. Przekręcił głowę, by spojrzeć spod kościstego barku Brylskiej na resztę postaci.

Mroczek przypatrywał się martwej kobiecie z napiętą uwagą, jakby obawiał się zmartwychwstania. W obu dłoniach trzymał szylety o długich, ząbkowanych klingach. Z ostrzy skapywała posoka.

- Gdzieś ty był, do cholery? - mruknął z pretensją Hirsz.

Wyteżył siły, by zrzucić z siebie ciężar. Niestety nie mógł uwolnić ręki.

- Suka dostała szczękocisnę.

Wachmistrz wykrzywił wąskie wargi. Przykucnął, wbił jeden ze szyletów w podłogę. Wolną ręką chwycił za skołtunione włosy i wbił drugie ostrze w żuchwę.

Szczęka rozwarła się z trzaskiem. Porucznik uwolnił przedramię, przekręcił się na bok. Dopadł go gwałtowny atak kaszlu. Przez załzawione oczy widział, jak Mroczek pochylił się nad ciężonym bruchem. Położył na napiętej skórze otwartą dłoń, jakby chciał wyczuć najdrobniejszy ruch. Porucznika ogarnęło straszliwe podejrzenie.

- Czy to coś wciąż żyje?

- Tak.

Zapadła drażniąca cisza. Przerwał ją Hirsz.

- Zrobisz to?

Wachmistrz skinął głową, unikając jego wzroku. Drżącą ręką uniośł ząbkowane ostrze.

Porucznik przymknął powieki, zanim stał opadła z impetem.

Ciemność" przeszył upiorny krzyk, bardziej ludzki, niżli porucznik chciał przed sobą samym przyznać.

Joachim Hirsz wiedział, że ten krzyk będzie go prześladował do końca życia. W tej chwili jedynym uczuciem, jakiego doświadczał, była ulga. Wielka ulga, że nie musiał zrobić tego osobiście.

Zakapturzeni mężczyźni znosili w wyznaczone miejsce wciąż nowe zwłoki. Rosnąca sterta ciał, oświetlana mdłym blaskiem księżyca, stanowiła makabryczny widok.

Dopiero teraz do Hirsza dotarło, jak krwawe to były żniwa.

Porucznik zerknął z ukosa na sekretarza koronnego, stojącego obok. Oblicze Jana Gembickiego w tym świetle nabierało złowieszczonego wyrazu.

Wielmoża stał nieruchomo, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, osobiście nadzorując zacieranie śladów. Porucznik pochwalał taką zapobiegliwość, ostatecznie chodziło o reputację króla.

Sekretarz wykonał ruch głową w kierunku stojącego nieopodal księdza.

Kapłan o bladym obliczu podszedł do stosu i pokropił święconą wodą nagie ciała. Gdy skończył, oddał towarzyszącemu mu gwardziście kropidło i złożył dłonie do modlitwy. Nagle w połowie inwokacji zastonił usta, zgiął się wpół i rzygnął.

Gwardziści pospiesznie odprowadzili nieszczęśnika na bok.



- Ostrzegałem go, by nie jadł wieczerzy - rzekł sardonicznie Gembicki.  
Och, jego wielmożność humor dopisuje - pomyślał porucznik. Sam był w znacznie gorszym nastroju. Obtarcia i rany bolały paskudnie, a w głowie tliło się gorzkie podejrzenie.

Pod wpływem destrukcyjnego impulsu postanowił popsuć samozadowolenie wielmoży.  
- Krew królewska w żyłach niewiniątka ma potężną moc - powiedział od niechcienia. - Magowie nazwali to Prawem Krwi.

Uśmiech spelzył z ust Gembickiego. Skóra wokół zimnych oczu napięła się.  
- Bystry jesteś, poruczniku - wycedził sekretarz. - Nawet za bardzo. Taka błyskotliwość bywa zabójcza.

Joachim zignorował jawną groźbę.  
- Król wie? - zapytał, choć przecież znał już odpowiedź.  
Wielmoża zazgrzytał zębami.  
- Nie - wycedził. - Postanowiono oszczędzić Jego Wysokości niepotrzebnych wzruszeń.  
- Postanowiono?

Hirsz wbił w sekretarza pytające spojrzenie.  
- Ludzie, którym leży na sercu dobro Rzeczypospolitej - wyjaśnił Gembicki.  
- Zaiste szlachetni muszą być to mężowie. Rad bym ich poznać.  
- Wystarczy, że oni znają ciebie, i niech tak zostanie. Z dobrego serca radzę, zakończmy tę rozmowę, poruczniku, zanim zabmiesz za daleko.

Joachim przyznał w duchu, że była to dobra i łaskawa rada. Niemniej nie zamierzał z niej skorzystać.

- Kim była ta kobieta znad Wisły?  
Oblicze sekretarza wykrzywił gniewny grymas.  
- Nie wiemy - przyznał niechętnie. - Sobowtór, znajda lub nawet bliźniaczka. Wszelkie ślady prowadzące do przeszłości Małgorzaty Brylskiej zostały gruntownie zatarte. Może sprawa się rozjaśni, gdy Fogel pęknie i zacznie mówić.

Jednak z tonu głosu Gembickiego wynikało, że sekretarz niezbyt na to liczy.  
- Zatem wasza wielmożność już wcześniej podejrzewał Brylską?  
Sekretarz skinął machinalnie głową, jakby myślał o czymś innym.  
- Ten związek nie przypominał innych miłostek Jego Wysokości - podjął po chwili milczenia. - Z początku myślałem, jak wszyscy na dworze, że to zadurzenie starszego mężczyzny. Potem zacząłem mieć wątpliwości. Jego Miłość zakazał mi grzebania w przeszłości Małgorzaty Brylskiej..

- Posłuchałeś? - Kącki ust Gembickiego uniosły się nieznacznie.  
- Służę królowi, ale i Rzeczypospolitej. Potarł podbródek i kontynuował:  
- Nie mogłem działać otwarcie. Postanowiłem zatem posłużyć się odpowiednią personą. Taką, która zna arkana sztuki magicznej i jednocześnie zapewni dyskrecję. Wybór był oczywisty.  
- Aleksander Duré. Chciałeś go skłonić do zajęcia się sprawą, a ja posłużyłem za przynętę.  
- Sam bym tego lepiej nie ujął, poruczniku. Warszawa to małe, nudne miasto, nie dorastające do Paryża, Londynu czy Rzymu. Mistrz Aleksander musiał zainteresować się osobą o pańskich zdolnościach, wystarczyło go tylko nakierować.

- I waszmość to uczynił.  
- W rzeczy samej. Powiadomiłem mistrza Duré, że masz go w podejrzeniu. Oczywiście przez niebudzących podejrzeń pośredników. Dalej, kawalerze, poradziłeś sobie świetnie sam.  
Joachim w milczeniu rozgryzał usłyszane rewelacje. Kolejne pytanie nasuwało się samo.  
- Oskarżysz, wasza miłość, pana Duré o czamoksięstwo?  
- Och, nie. To byłby wielce niefortunny pomysł. Mistrz to ulubieniec króla i królowej, a przy tym doskonały medyk. Taki skandal wstrząsnąłby tronem.

Nie pozostało już nic do dodania. Porucznik skupił uwagę na stosie. Żołnierze skończyli układać

drewno i podłożyli ogień.

Nocne powietrze skaził mdły smród. Sekretarz wyjął z kieszeni chusteczkę do nosa i przyłożył do twarzy.

- Ach, poruczniku, zgłoś się jutro po nagrodę.

Joachim zmarszczył brwi i spojrzał na rozmówcę podejrzliwie. Ta łaskawość była więcej niż niepokojąca.

- Na jakiś czas wyjedziesz z Warszawy razem ze swoimi ludźmi.

Hirsz nie był zaskoczony. Właśnie tego się spodziewał.

- Na Dzikie Pola? - zapytał z gorzkim sarkazmem.

Jego Wielmożność uśmiechnął się w sposób sugerujący, że ta myśl nie była mu obca.

- Pomysł, przyznam, kuszący. Mam jednak na myśli znacznie mniej odległe miejsce. Przyczajcie się w dobrach królewskich. Za dwie niedziele król wyrusza na Litwę. Sprawa przycichnie, wróćcie do miasta.

Gembicki spojrzał ponuro w ogień.

- Wierz mi, poruczniku, nadciągają paskudne czasy i będzie mi tu potrzebny każdy dobry człowiek.



*Księga druga*

*Cherem*



# I

Nad folwarkiem rozlegało się żaobne ujadanie psów.

Dwóch jeźdźców przemknęło pod łukiem pochyłej bramy i wstrzymało konie przed dworem.

Na ganku oczekiwał ich szlachcic o pomarszczonym obliczu i srebrnych, obwisłych wąsiskach.

Towarzyszył mu drab uzbrojony w rusznicę. Z zaciętych twarzy mężczyzn wyzierało przerażenie.

- Bogu dziękować, mości instygatorze, żeś przybył bez zwłoki - wykrzyknął z ulgą szlachcic, wychodząc na rzęsisty deszcz.

Joachim Hirsz uspokoił wierzchowca, zeskoczył z siodła, rozpryskując błoto. Skinął głową na powitanie i wskazał gestem swego towarzysza.

- Mój wachmistrz, Tomasz Mroczek.

- Michał Wolski. - Szlachcic pokłonił się nisko. - Zarządca u pana Piotra Brodowskiego.

Oficer zmierzył starego czujnym spojrzeniem.

- Waszmość posłałeś gońca do pana starosty?

- Ja - potwierdził stary.

- Gdzie oni?

Wolski wskazał kciukiem za plecy.

- Wewnątrz, panie oficerze.

- Ruszaliście ciała?

Wolski spojrzał na porucznika z mieszaniną niedowierzania i lęku.

- Nie, panie oficerze. Kazałem jeno otworzyć okna, aby przegonić fetor i muchy.

- Muchy?

- Lepiej będzie, jak sam waszmość zobaczysz.

- Doskonale. Zatem chodźmy.

Stary z dostrzegalnym ociąganiem obrócił się na pięcie.

Weszli na ganek i przystanęli przed solidnymi drzwiami. Na wysokości oczu porucznika wywiercono otwór strzelniczy, mogący służyć za wizjer.

- Pozwolisz, że sam otworzę? - zapytał Hirsz. Wolski obrzucił oficera niepewnym wzrokiem i usunął się na bok.

Porucznik rozwarł drzwi. Zbadał wzrokiem framugę, rygle oraz kute zawiasy. Nigdzie nie dostrzegł śladów włamania.

- Drzwi były zaryglowane, gdy ich znalezione? Wolski nerwowym ruchem potarł wąsiska.

- Nie, waszmość. Jeno przytrzymańte.

Oficer z wachmistrzem przekroczyli próg i zatrzymali się w niewielkiej sieni. Dopiero po chwili porucznik się zorientował, że Wolski wciąż stoi w progu. Cały drżał.

Teraz, gdy deszcz nie zalewał mu oczu, Hirsz dostrzegł ledwie zatarte plamy na kontuszu zarządcy. Ten człowiek niedawno i gwałtownie wyrzucił z siebie treść żołądka.

Hirsz ponaglił szlachcica wzrokiem. Wolski uniósł pobladłe oblicze.

- Dalej nie pójde - wymamrotał żałośnie. - Znałem panicza od kołyski. Drugi raz tego widoku nie wytrzymam.

Joachim westchnął.

- Kim są pozostałe ofiary? - zapytał.

- To panowie Mirski i Korubski. Obaj wynajęci do straży przybocznej. Ci dwaj są w pierwszej izbie. Panicza znajdziecie w sypialni - dodał łamiącym się głosem.

Porucznik pchnął drzwi i wszedł do słabo oświetlonej izby.

Pierwszy strażnik leżał na podłodze, dwa kroki od wejścia. Był to barczysty mężczyzna o twarzy

naznaczonej blizną. Nienaturalnie przekrecona głowa nie pozostawiała wątpliwości co do rodzaju śmierci.

Hirsz podszedł do drugiego strażnika.

Wysoki szlachcic leżał pod stołem. Twarz miał siną, napuchniętą. Palce prawej ręki wciąż zaciskał kurczowo na kolbie masywnego pistoletu. Nieużywana szabla spoczywała na blacie.

Porucznik wyjął zza pasa nóż, przykucnął. Ostrzem podważył sękaty palec. Wyłuskał pistolet z ucisku i zajrzał do lufy.

- Nabity - poinformował wachmistrza. Wprostował się i ruszył do sypialni. Wachmistrz podążał krok za nim.

W przejściu zamiast drzwi wisiała ciężka kotara. Porucznik odchylił zasłonę i wsunął się do wnętrza.

Przywitał go fetor.

Zrobił kilka głębszych wdechów, by znieczulić zmysł węchu. Jednocześnie nieustannie rejestrował szczegóły.

Niewielkie pomieszczenie nie miało drugiego wyjścia. Okno chroniły masywne okiennice, teraz rozwarte na oścież. W kącie stało łóżo o wysokich drewnianych poręczach, wyłożone grubym siennikiem.

Denat, obdarty z ubrania, leżał na plecach. Ręce i nogi miał rozkrzyżowane, przywiązane sznurami do poręczy.

Hirsz drgnął, zaskoczony liczbą much łączących po ciele mężczyzny. Owady roily się wszędzie, czarne i błyszczące, wypełniały wszystkie możliwe otwory.

Porucznik nagle pożałował swego porannego apetytu.

Przełamując obrzydzenie, zbliżył się do trupa, ominąwszy rdzawą kałużę krwi. Pochylił się i machnął kilka razy dłonią. Ociężałe muchy z oskarżycielskim bzycczeniem poderwały się do lotu.

Porucznik, ignorując ocierające się o jego skórę plugastwo, skupił się na ranach denata.

Ciało nosiło widoczne ślady tortur, choć oczywistą przyczyną śmierci była kastracja. Rana podbrzusza była nierówna i szarpana, jakby morderca użył tepego lub zakrzywionego ostrza. W ustach młodzieńca tkwił kawałek okrwawionego mięsa. Najgorsze były jednak oczy. Dwa lustra udęrczonej duszy.

- Musiał komuś niezłe zaleźć za skórę - mruknął Mroczek.

Porucznik nie skomentował sarkazmu wachmistrza. Zresztą nie mógł się z nim nie zgodzić.

- Co o tym myślisz, Joachimie?

Hirsz zagryzł wargi. Przez dłuższą chwilę porządkował myśli, zanim przemówił.

- Była noc, więc pewnikiem Brodowski spał w łóżku. Wysoki strażnik drzemał przy stole. Broń dla wygody trzymał pod ręką. Ten drugi, barczysty z blizną, pełnił wartę. Brak śladów włamania, więc przyjmuję, że to właśnie on wpuścił mordercę. Potem zginął, choć zapewne próbował się bronić. Wysoki budzi się, słysząc szamotaninę. Zbyt późno. Siega po pistolet, ale morderca jest już przy nim. Łamie mu rękę i jednym uderzeniem w krtań dokańcza sprawę. Potem ma już dużo czasu, żeby zająć się Brodowskim.

Mroczek zmrużył oczy, nie wyglądał na przekonanego.

- Wszystko pięknie, tylko że tamci dwaj wyglądają na charakterików. Takich niełatwo zabić, a na pewno nie gołymi rękoma. Pomyśl też o psach. Czemu nie szczekały? I te cholerne muchy. To cuchnie czarami, Joachimie... - ostatnie słowa wypowiedział szeptem.

Hirsz wydał wargi, rozważając słowa przyjaciela.

- Osobiście, Tomaszu, wolę przyjąć bardziej racjonalne wytłumaczenie. Może psy nie szczekały, bo rozpoznały mordercę - zasugerował. - Strażnik również musiał go dobrze znać: to wyjaśnia, czemu otworzył drzwi w środku nocy. Muchy zaś wyczuwają trupa z odległości mili i nigdy ich nie brakuje o tej porze roku.

- Obyś miał rację - mruknął wachmistrz. - Co mam robić?  
- Przesłuchaj służbę. Ktoś musiał coś widzieć albo słyszeć. I niech Wolski przygotowuje wóz. Zabierzemy Brodowskiego do kostnicy miejskiej. Po zmrudku przewieziesz ciało do Kuśmierza.

Ciemne oczy błysnęły znad haczykowatego nosa.

- Pójdziemy pod sąd inkwizycyjny, jak nas przyłapią, Joachimie.

- Postaraj się więc, żeby nie przyłapali. Wachmistrz zaśmiał się krótko, chrapliwie.

- Jak wytłumaczysz Wolskiemu, że zabieramy ciało? Jeśli nie podasz naprawdę przekonującego powodu, on zaraz popędzi do starosty. Wtedy dostaniesz ostro po uszach. Starosta lubi odgrywać wiernego sługę Kościoła. To zwiększa jego popularność wśród panów braci.

- Jeszcze nie mam konceptu, ale coś wymyślę. Wachmistrz wyszedł na zewnątrz, zostawiając porucznika sam na sam z jego myślami.

Hirsz ponownie objął wzrokiem miejsce zbrodni. Szukał czegoś, co go naprowadzi na trop mordercy. Chodził po izbie, dotykał sprzętów, brał do ręki różne przedmioty, obmacywał, wąchał. Niestety na próżno. Niezwykły dar, którym obdarzył go los, tym razem pozostał w uśpieniu.

Nieco zawiedziony, Joachim zastąpił w bezruchu, wsłuchując się w bębnienie kropel deszczu na parapecie. Do rzeczywistości przywrócił go tętent kopyt, parsknięcia wierzchowców oraz gniewne okrzyki dobiegające z podjazdu.

Hirsz położył dłoń na kolbie pistoletu i oparł się o ścianę.

Do sypialni weszło pięciu mężczyzn. Przewodził im starszy szlachcic w bogatym kontusz. Spod przemoczonej sobolewej czapki spoglądały zimne oczy. Mężczyzna zignorował porucznika, skupiając spojrzenie na Brodowskim. Beznamiętne oblicze nawet nie drgnęło.

Zza szerokich pleców starego wychylił się młodzieniec. Rysy twarzy wskazywały na łączące tych dwóch pokrewieństwo. Chłopak pobladł jak kreda, gdy wlepił wzrok w wykastrowanego szlachcica. Niewątpliwie byli w jednym wieku i sądząc po reakcji, znali się. Nagle młodzieniec zakrył usta i wybiegł z izby. Za oknem rozbrzmiał odgłos opróżnianego żołądka.

Stary skrzywił wargi, aż pogłębiły się bruzdy na jego chudych policzkach. Zimne oczy skupiły się na poruczniku. Hirsz wiedział, że jest poddawany ocenie. Poznać było, że szlachcic należy do ludzi nie znoszących sprzeciwu.

- Wybacz waszmość memu synowi. Miękki on po matce i ostatnio też na nerwach słabuje.

- Ktoś waść? - zapytał Hirsz. Szlachcic uchylił czapki.

- Jan Koptrowski, sąsiad tego tu nieszczęśnika - wskazał na Brodowskiego. - Przyjechałem w skok, jakem się tylko dowiedział o crimenie. A waszmość kto?

- Instygator Joachim Hirsz. Przysłał mnie pan starosta, bym wykrył sprawcę zbrodni.

- Winni są znani i poniosą sprawiedliwą karę.

- Głos starego przypominał chrzęst żwiru. Hirsz zmarszczył brwi.

- Racz mówić jaśniej, waszmość. Kogo masz na myśli?

Oczy szlachcica zapłonęły żywym ogniem.

- Zaprzańców, co Pana naszego ukrzyżowali. Osiedli tu u boków naszych, zgryzotę na sąsiadów sprowadzając.

- Sugerujesz waszmość, że to Żydów sprawa? Tych z Nowego Jeruzalem?

- Nikogo inszego, tylko tych psubratów zatraconych. Sam zresztą waszmość miarkuj. Czary to muszą być, guśla żydowskie. Panowie Mirski i Korubski to najlepsze szable w całym starostwie, sam ich poleciłem, a i Paweł Brodowski do wymoczków nie należał.

- Jak widać, byli nie dość dobrzy - mruknął Hirsz.

Stary posłał mu krzywe spojrzenie, jednak nie zanegował.

- Trzeba posłać po księdza i przygotować pogrzeb - rzekł po chwili Koptrowski.

- To niemożliwe, zabieram ciało do Warszawy. Musi je obejrzeć medyk.

Szlachcic zmierzył porucznika nieufnym spojrzeniem.

- Medyk? Po co?

Oczy porucznika powędrowały ku denatowi. Chmara brzęczących insektów zdążyła ponownie opaść na ciało.

Odpowiedź nasunęła się sama.

- Uczni twierdzą, że człowiek zmarły śmiercią gwałtowną i okrutną stanowi doskonały rozsądek dla zarazy. To tłumaczyłoby tę niezwykłą plagę much. Poza tym sam waszmość wspominałeś o czarach. Jeśli to sprawka złego, nieboszczyka powinien zbadać egzorcysta. Najlepiej ktoś od jezuitów. Oni są w tej materii najlepsi. Nie godzi się ryzykować duszą chrześcijanina.

Stary cofnął się o krok. W bezlitosnych do tej pory oczach błysnął lęk. Groźba moru i diabelskich sideł zawsze działały na wyobraźnię, bez względu na stan społeczny.

- Zgoda, bierz ciało. Daję ci jeden dzień.

- Wystarczy w zupełności - zapewnił Hirsz, posyłając staremu obłudny uśmiech.

Deszcz przegonił gawieź. Stragany skupione wokół ratusza Nowego Miasta opustoszały. Na targowisku pozostało jedynie kilka przemoczonych kur i Świnia, przywiązana do pała, ryjąca w błocie. Handlarze i kupujący tłoczyli się pod wąskimi arkadami ratusza, czekając na przejście burzy. Zadarte głowy, oczy wpatrzone w niebo, wszystko to zdradzało niepokój zgromadzonych ludzi. Gdy błyskawica przecinała nieboskłon, tłum podrygiwał nerwo jak szturchny kijem niedźwiedź. Wszyscy zbyt dobrze mieli w pamięci ostatni wielki pożar, który strawił większość drewnianej zabudowy.

Joachim Hirsz ze swej izby na drugim piętrze miał widok na niemal cały rynek Nowego Miasta. Stojąc przy oknie, wpatrywał się w smutny krajobraz. Myśli jego krążyły wokół okrutnego morderstwa.

Z zadumy wyrwał go nieśmiałe pukanie do drzwi. Hirsz zmarszczył czoło.

- Kogo u licha niesie w taki deszcz? - mruknął pod nosem.

Odsunął zasuwę, potem następną i uchylił drzwi.

W korytarzu stał chłopak. Wyglądał jak zmokły szczur. Wokół pokrytych błotem stóp szybko powiększała się mętna kałuża.

Hirsz zerknął odruchowo na kobierzec pokrywający podłogę izby, niedawno czyszczony, prawie bez robaków. Postanowił nie silić się na gościnność.

- Ktoś ty? - zapytał obcesowym tonem. Chłopak, zanim odpowiedział, smarknął głośno w rękaw koszuli.

- Wołają mnie Marcin. Służę u imię pana Krzepickiego, kapelmistrza w orkiestrze Jego Królewskiej Mości.

- Czego chce ode mnie twój pan?

- Niczego. Hirsz uniósł brew.

- Eee... to znaczy - dodał chłopak pospiesznie - właściwie przysłał mnie jego wielmożność Marek Nekeł. Mam dostarczyć list waszmość panu.

Tego nazwiska nie trzeba było porucznikowi powtarzać. Jedyne Żyd, jaki miał prawo zamieszkiwać w Starej Warszawie. Przywilej ów nadał mu sam król Władysław, u którego Nekeł pełnił urząd faktora oraz referendarza żupy solnej. Powiadano, że stary potrafi wycisnąć złoto z kamienia, co przy ciągłych długach JKM było wielce korzystną umiejętnością.

Hirsz cierpliwie czekał, aż chłopak wyciągnie zza pazuchy skórzany futerał, chroniący papier przez zamoczeniem. Odebrał od posłańca przesyłkę. Zaskoczony, zważył ją w dłoni. Była zdecydowanie zbyt ciężka jak na sam list.

Zostawił chłopaka w otwartych drzwiach, a sam podszedł do okna, gdzie było więcej światła.

Pospieszenie rozerwał lak i otworzył wieczko rulonu.

W środku znalazł kawałek papieru oraz dwadzieścia równiutko ułożonych czerwonićców.

Przez chwilę nie mógł oderwać oczu od złota. Wreszcie umieścił monety na powrót w futerał, rozwinął papier i przebiegł wzrokiem po krótkim zaproszeniu na dzisiejszy wieczór.

Spojżał w okno. Szczęśliwie burza wyraźnie osłabła. Faktor był człowiekiem wpływowym, a takim personom się nie odmawia, zwłaszcza gdy zachęcają złotem.

Porucznik nałożył płaszcz, wciąż mokry po porannej wizycie we dworze Brodowskiego. Wychodząc, zamknął za sobą drzwi na klucz.

Zeszli po schodach do sieni.

Deszcz słabł z każdą chwilą, przechodząc w mżawkę. Zimne igiełki nakłuwały nieosłoniętą ubraniem skórę. Porucznik postawił kołnierz płaszcza.

Rozchlapując błoto, przecięli na ukos rynek i skręcili w kierunku Starej Warszawy. Zdrowaśkę później wyszli na plac targowy Freta. Ulewa i bliski zmierzch przegnały kupujących i zniechęciły większość handlarzy. Ci najbardziej wytrwali zamykali właśnie podwoje sklepów i kramy.

Zostawili po lewej wyjazd ulicy Mostowej i dotarli do Barbakanu. Po moście rozciągniętym nad fosą wkroczyli do wnętrza bastei. Padł na nich cień, gdy ceglana wieża zasłoniła słońce nisko wiszące nad horyzontem. Minęli zewnętrzny mur obronny i nie dochodząc do Bramy Nowomiejskiej, przez boczną furtę skręcili w międzymurze. Przy Baszcie Prochowej odbili w lewo, przechodząc pod łukiem Bramy Rzeźniczej. Tym sposobem znaleźli się na Szerokim Dunaju. Plac w kształcie prostokąta zapelniał jatką rzeźników i stragany rybne.

Targ otwierał się na prostopadle wytyczoną ulicę, zwaną Wąskim Dunajem. Kamienica, należąca oficjalnie do Krzepickiego, stała po skosie, żeby do okien nie docierały przykre zapachy.

Budynek wyróżniał się na tle okolicznej zabudowy. Trzypiętrowy, o dachu zwieńczonym attyką, świadczył o zamożności właściciela. Tego prawdziwego - dodał w myślach Hirsz, gdyż nikt z mieszkańców Warszawy nie wątpił, że osoba kapelmistrza jest tylko kamuflażem dla ostrożnego faktora.

Chłopak wprowadził porucznika tylnym wejściem do podwórza. Wkroczyli do niskiej sieni.

Zaraz przy drzwiach znajdował się ciasny kantor. Przy pulpitych do pisania stało trzech rachmistrzów, wszyscy młodzi i wysocy jak brzozy. Dostawali właśnie niezłą burę od niskiego, łysiejącego mężczyzny.

Hirsz z Marcinem stanęli w progu i czekali, aż starszy nad kantorem ich dostrzeże. Ten jednak najwyraźniej dopiero łapał wiatr w żagle, przechodząc do coraz barwniejszych inwektyw.

Przewodnik Joachima przestąpił parokroć z nogi na nogę, wyraźnie zbierając się na odwagę. Gdy zebrał jej dość, chrząknął nieśmiało.

Pryncypał urwał w pół słowa i zerknął przez ramię.

- Z wami dokończę później - rzucił złowroźnie w kierunku rachmistrzów.

Podszedł do porucznika, obrzucając go spojrzeniem krótkowidza.

- Szacowny Nekel oczekuje waszmość pana w gabinecie - oznajmił. - Proszę za mną.

Gabinet znajdował się na pierwszym piętrze. Przy oknie wychodzącym na ulicę stał masywny sekretarz roboty gdańskiej oraz dwa krzesła. Kasztę pomieszczenia zajmowały regały i komody.

Nekel przyjął gościa na stojąco. Był to wysoki, zażywny mężczyzna o bujnej brodzie, odziany w pozbawiony ozdób chałat. Spod gęstych brwi wpijały się w Hirsza przenikliwe oczy.

- Nie miałem dotychczas okazji poznać pana osobiście, poruczniku. Słyszałem jednak wiele dobrego o pańskiej dyskrecji.

Joachim już dawno podczas takich rozmów przestał silić się na zapewnienia. Ograniczył się wyłącznie do skinienia głową.

- Napijesz się waszmość? - spytał Nekel.

- Nie wżgardzę.



Faktor wyciągnął z kredensu butelkę wina i napełnił dwa kielichy.

- Za pomyślny bieg spraw - wzniosł toast. Porucznik posmakował napój.

- Reńskie, doprawdy wybome - stwierdził bez fałszywej uprzejmości.

Nekel osuszył kryształ do dna. Porucznik również nie zwlekał. Finansista wskazał mu krzesło przeznaczone dla interesantów.

- Siadaj waść - zachęcił Hirsza. Sam przeszedł przez pokój i usadził się po drugiej stronie sekretarza.

Hirsch zajął wskazane miejsce i czekał cierpliwie, aż gospodarz przejdzie do sedna.

- Tak jak wspominałem, cieszysz się waszmość opinią człowieka solidnego i pozbawionego uprzedzeń.

Podobne frazesy padały za każdym razem, gdy jakiś możny pan zlecał mu robotę. Im bardziej delikatna była materia, tym więcej było kręcenia i pochlebstw.

Hirsch postanowił ominąć ten etap rozmowy.

- W czym mogę pomóc, mości faktorze? - spytał nieco obcesowo.

Nekel splótł palce przed sobą i przybrał zaszponą minę.

- Doszły do mnie pogłoski o szlachcicu zmarłym w nader tajemniczych okolicznościach.

Nazywał się Paweł Brodowski. Prowadzisz waszmość tę sprawę.

- Starosta jeszcze nie przyznał mi glejtu.

- Ale przyzna - stwierdził bez cienia wątpliwości Nekel. - Stosowne pismo dostaniesz jutro rano.

Hirsch uniósł brwi.

- Wierzyś, co zarzutniku, w zarzuty stawiane przez Koptrowskiego? - Pytanie było równie niespodziewane, co zaskakujące w swym podtekście. Sugerowało bowiem, że w otoczeniu szlachcica działa informator pracujący dla Marka Nekla. Równie dobrze jednak mogła to być tylko zręczna próba uzyskania informacji.

- O jakich zarzutach mówisz? - Hirsch wywinął się od odpowiedzi.

Faktor zacisnął usta. Dotychczasowa jowialność wyparowała w mgnieniu oka.

- Poruczniku, nie traktuj mnie jak głupca. Koptrowski obarcza winą za zbrodnię Żydów z Nowego Jeruzalem.

Przez parę oddechów mocowali się na spojrzenia. Ostatecznie Hirsch opuścił wzrok. Nekel był zbyt potężny, żeby niepotrzebnie robić sobie z niego wroga.

- Skąd to wiesz?

Faktor machnął niedbale dłonią.

- Och... Koptrowskiemu i kilku innym szlachcicom od lat solą w oku siedzi kahał u granic ich majątków. Teraz, gdy z Ukrainy przybyli uciekinierzy, niechęć wzrosła. Odpowiedz jednak:

wierzyś Koptrowskiemu?

Porucznik zawahał się.

- Na razie nie przedstawił dowodów na poparcie swej tezy. Jednak rzecz jest otwarta. Sprawca poniesie karę bez względu na nację, wyznawaną religię czy też stan społeczny.

Marek Nekel wzniosł otwarte dłonie.

- Dlatego właśnie zależy mi, żebyś to ty prowadził śledztwo.

- Wobec tego wyluszczyć sprawę jasno - rzekł Hirsch.

Finansista odchylił się na krześle, splótł ręce na piersi.

- Słucham.

Hirsch wyjął z kieszeni futerał dostarczony wraz z zaproszeniem i rzucił na biurko. Czerwońce zadźwięczały w uszach porucznika żalobną muzyką.

- Panie Nekel, to śledztwo urzędowe, więc nie mogę przyjąć tego daru.

Nekel przez dłuższą chwilę zatrzymał wzrok na futerałach. Następnie pochylił się nad biurkiem, wyciągnął dłoń i wrzucił pakunek do szuflady.

- Taka pryncypialność to rzadkość w dzisiejszych czasach. Zatem postaram się pomóc waszmości w inny sposób.

- Jaki?

- Informacjami, które posiadam. Hirsz rozsiadł się wygodniej na krześle.

- Słucham.

Nekel przecesał palcami brodę, jakby zastanawiając się, od czego rozpocząć. Minęła dobra zdrowaśka, zanim przemówił.

- To nie pierwsza taka zbrodnia, poprzednia zdarzyła się trzy niedziele temu.

Hirsz rozdziawił usta.

- Widzę, że Koptrowski nie wspomniał waszmości - stwierdził z przekąsem faktor.

- Kim była ofiara?

- Przyjaciel młodego Koptrowskiego, niejaki Augustyn Kozerski.

- Jak umarł?

- Nie umarł, lecz lepiej byłoby dla niego, gdyby nie przeżył. Znalaziono go przy drodze, straszliwie okaleczonego. Stary Koptrowski trzyma go u siebie we dworze i nie dopuszcza nikogo.

- Skąd zatem ty to wiesz?

- Mam wyczulone ucho, inaczej nie przetrwałbym w tym mieście.

- Więc może też słyszałeś, co jest powodem tych crimenów.

Nekel znów pogładził brodę i wykrzywił usta.

- Jak to zwykle bywa, poszło o niewiastę.

Faktor podniósł się z krzesła i podszedł do okna. Na chwilę zastygł z dłońmi splecionymi na plecach. Porucznik czekał cierpliwie, nie ponaglając rozmówcy.

Żyd odwrócił się, wbił w porucznika twarde spojrzenie.

- Będzie miesiąc, jak Michał Koptrowski, Piotr Brodowski oraz Augustyn Kozerski zgwałcili dziewczkę, córkę rabina z Nowego Jeruzalem.

Porucznik przypomniał sobie reakcję młodego Koptrowskiego, gdy ten ujrział wykastrowanego kompana.

- Zatem jest motyw. Muszę porozmawiać z dziewczką, gdzie ona jest?

- U mnie.

Hirsz szeroko otworzył oczy.

- W tym domu? Nekel skinął głową.

- T a dziewczyna to wasza krewna?

- Nie, przygamałem nieszczęsną. Jej ojciec oszalał z bólu. Miriam była jego perłą. Trzymał ją dla rabina z Grodna. Małżeństwo miało połączyć dwa szanowane rody. Teraz, gdy Miriam zhańbiła jego, ród i całą gminę, stała się mu nienawistna. Obłożył dziewczkę cheremem w świątyni przy czarnych świecach i wygnął z kahału.

Porucznik zmarszczył brwi.

- Nie znam waszych zwyczajów zbyt dobrze, wszelako wyklęcie siłą wziętej dziewczki to chyba nadto surowa kara.

- W tym sęk, że ona wcale nie została porwana. Sama uciekła do młodego Koptrowskiego. Umówili się za wsią przy Żabim Stawie na schadzkę. Wedle wprzód ustalonego planu Michał Koptrowski obiecał przywieźć z sobą księdza, by Miriam przyjęła chrzest. Potem kapłan miał udzielić kochankom ślubu.

Hirsz zaczął się domyślać reszty.

- Naprawdę myślała, że wyjdzie za szlachcica? - spytał z niedowierzaniem.

Faktor wzruszył ramionami.

- Ano tak. Mogę to jedynie tłumaczyć krwią gorącą i tym, że młody Koptrowski wymowny wielce i postawny. Narzeczony zaś starszy z okładem dwa razy. Krótko prawiąc, głupia dziewczka

zadurzyła się w szlachcicu, a on ją wykorzystał, oddał kompanom, a potem czeladzi. Gwałcili ją całą noc, tam nad Zabim Stawem, a rąkami półżywą ostawili przy gościńcu.

- Wygląda na to, że ktoś chce krzywdę pomścić. Pierwszy narzuca się ojciec, ale po tym, coś mi powiedział, takowy koncept odpada. Braci ma?

- Jedynaczka. Tym większy żal ojca.

- To może kuzyni?

Nekel zaprzeczył ruchem głowy.

- Koptrowski chce najechać i spalić kahał, nikt o zdrowych zmysłach nie narażałby gminy dla dziewczki obłożonej cherechem.

- Ktoś jednak wyraźnie szuka pomsty.

- Był taki jeden, co się w dziewce podkochał. Chaim na niego wołali. Parobek zwykły, a do tego słabujący na rozumie. Wszędzie za nią laził. Ludzie gadali, że i tamtej nocy śledził Miriam. Kazałem rozpytać moim ludziom o tamtą noc wśród czeladzi Koptrowskiego. Wprawdzie stary zakazał sługom gadać o zajściu pod karą gardła, ale złoto rozwiązuje języki.

- Czegoś się wywiedział?

- Parobek rzeczywiście tam był. Próbował bronić dziewczki. Pojmali go jednak, przywiązali do drzewa i kazali patrzeć na zabawę. Potem obili go i nieprzytomnego wrzucili do wody.

- Przeżył?

- Chyba tak, bo ciała nie znaleziono.

Hirsz zmarszczył czoło. Wszystko układało się w jedną spójną całość.

- Zawołaj dziewczkę, chcę ją przesłuchać, jeśli nie masz pan nic przeciw temu.

- Oczywiście.

Nekel wyszedł na korytarz. Powrócił po chwili i usiadł za sekretarzem. Czekać na Miriam, wsłuchiwali się w stukot deszczu.

- Mogę zadać prywatne pytanie? - przerwał milczenie Hirsz.

Faktor pogładził brodę.

- Pytaj waść.

- Trzymasz ją u siebie pomimo klątwy? Nekel wzruszył ramionami.

- Jak widzisz.

- A co na to gmina? Ten, kto pomaga wyklętemu, sam naraża się na wyklęcie. Nie mam racji?

Nekel przez kilka oddechów przyglądał się porucznikowi z uwagą.

- Dla was, szlachty, ja jestem Żyd. Stary Nekel. Noszę chałat, brodę, chodzę do synagogi, ale to nie takie proste.

- Nie rozumiem - przyznał Hirsz.

- A co tu, panie szlachcic, jest do rozumienia? Moja matka nie była Żydówką. Wedle prawa to ja jestem taki sam Żyd jak waszmość, nie ubliżając.

- Ale inni darzą cię szacunkiem! Nekel prychnął pogardliwie.

- Szacunkiem, waszmość prawisz. - Zaciśnął dłoń w kułak i potrząsnął nią. - Wiesz, czemu? Bo miałem coś, czego oni nie mogli mieć. Łaskę króla jegomości. Bez tego interesy kahału w Warszawie nie byłyby warte złamanego grosza. Rozległo się pukanie do drzwi.

- Wejdz - polecił Nekel, łagodząc ton. Wślizgnęła się do mrocznego wnętrza niczym promień światła. Porucznik dopiero po chwili uświadomił sobie, że wstrzymał oddech. Była piękna delikatną, zmysłową urodą. Oczy owalne, błyszczące, zgrabny nosek i wydatne, lecz nie wulgane usta tworzyły urzekającą harmonię. Długie, ciemne włosy opadały na ramiona falującymi kaskadami.

Dziewczyna pokłoniła się swemu opiekunowi, a następnie gościowi. Hirsz odpowiedział zdawkowym skinieniem głowy. Miriam spuściła oczy i wbiła spojrzenie w podłogę.

Nekel odchrząknął, zanim przemówił.

- Drogie dziecko, pan porucznik pragnie porozmawiać z tobą na temat tamtej nocy. Wiem, że to

dla ciebie bolesne wspomnienie, niemniej to konieczne. Opowiedz mi wszystko, jako mi powiedziałas.

Dziewczyna jakby nie dosłyszała tych słów. Przez dłuższą chwilę stała nieruchomo. Porucznik niemal słyszał przyspieszone bicie jej serca.

Na obliczu Nekla pojawił się grymas zniecierpliwienia.

Porucznik uniósł uspokajająco dłoń, uprzedzając gniewną reakcję fatora. Wstał z krzesła. Podszedł do dziewczyny, stanął przed nią. Powoli wyciągnął rękę, końcami palców uniósł jej podbródek. Spojrzały na niego ciemne, błyszczące oczy.

Nagle pytanie dziewczki o szczegóły tamtych zdarzeń wydało się Joachimowi zbyt okrutne. Opuścił dłoń.

- Wiesz, gdzie jest Chaim? - zapytał zamiast tego.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie, panie.

Miała przyjemny, melodyjny głos.

- Jest podejrzany o popełnienie zbrodni na ludziach, którzy cię skrzywdzili. Wszystko wskazuje, że zabił pana Brodowskiego w pomście za ciebie.

- Chaim? To niemożliwe! - zaprzeczyła żarliwie. - On by muchy nie skrzywdził.

- Jednak tam nad stawem rzucił się na zbrojnych, żeby cię bronił?

- Tak - wyszeptala - ale wtedy nie był sobą. Chaim ma ciało potężnego mężczyzny, lecz umysł dziecka. Jest bardziej bezbronny wobec świata niżli ja.

Hirsz ani na oddech nie spuszczał oczu z twarzy Miriam. O ile znał się na ludziach, mówiła szczerze.

- Lubisz go?

Spod długich rzęs spłynęły łzy.

- Tak.

- Jeśli go pochwyca, umrze w mękach. Mogę go jednak ocalić, muszę tylko dotrzeć do niego pierwszy. Obiecuję ci, włos mu z głowy nie spadnie. -Kłamstwo pozostawiło w ustach porucznika gorzki posmak.

Miriam spojrzała bezradnie na Marka Nekla, jakby oczekując wsparcia z strony fatora.

- Ja nic nie wiem - szepnęła. Finansista znowu odchrząknął.

- Uspokój się, dziecko, nikt cię o nic nie podejrzewa. - Popatrzył na Hirsza. - Masz jeszcze waszność pytania?

- Nie, to już wszystko. Nekeł skinął głową z aprobatą.

- Drogie dziecko, możesz wracać do siebie - przemówił do podopiecznej łagodnym tonem.

Dziewczyna dygnęła z wdziękiem i opuściła komnatę.

Faktor odchylił się na krzesle, opierając wyprostowane ręce o blat. Spojrzenia mężczyzn się spotkały.

- Co uważasz, mości instygatorze? Hirsz potarł zarośniętą szczękę.

- Wierzę jej. Ona nie wie, gdzie jest Chaim.

- Też tak myślę. Trzeba odszukać chłopaka, nim narobi większych szkód. Jeśli dowiem się czegoś nowego, w pierwszym rzędzie powiadomię waćpana.

- Doceniam pańską pomoc, faktorze. Finansista powstał zza biurka.

- Ta sprawa ogromnie leży mi na sercu, poruczniku. Musimy pochwytać Chaima, zanim dojdzie do tumultów.

- Uczynię, co w mojej mocy - zapewnił Hirsz.

- Jeśli pojawią się koszty, oczywiście związane ze śledztwem... - Nekeł nie dokończył, tylko posłał Hirszowi porozumiewawcze spojrzenie.

Porucznik ograniczył się do nieznacznego skinięcia głową. Tak sformułowana propozycja była

do zaakceptowania. O niebo bardziej, niż wręczenie lichej gotowizny przez posłańca.

Lata służby nauczyły porucznika jednego: królewski oficer powinien dbać, by pewne szczegóły pozostawały niedopowiedziane.

Porucznik opuścił teren posesji bocznym wyjściem. Zanurzył się w wilgotną ciemność. Na szczęście przestało padać.

Hirsz skręcił w Wąski Dunaj, stąpając ostrożnie po śliskim bruku. Po kilkuset krokach wyszedł na Rynek Staromiejski.

Centralny plac miasta opustoszał o zmierzchu. Sklepy kupców i stragany przekupek pozamykano, deszczowa pogoda przepłoszyła ostatnich przechodniów.

Droga po lewej stronie prowadziła ku Nowemu Miastu, po prawej wznosiła się wysoka na sto dwadzieścia łokci wieża ratusza. Porucznik szedł, trzymając się północnej pierzei rynku, powszechnie zwanej miejską, gdyż stały tu dwa symbole sprawiedliwości: pręgierz i klatka.

Przy północno-wschodnim narożniku rynku Hirsz wślizgnął się w krótki zaułek, który dochodził do umocnień. Z pojedynczego muru wyrastała owalna bryła Baszty Białej. Furta wiodąca na drugą stronę była rozwartą. Straż miejska już dawno przestała stawiać w tym miejscu wartę. Zbyt wielu wpływowych mieszczan tą drogą wymykało się nad Wisłę, by skorzystać z gościnności tamtejszych szlumi i domów uciech.

Zaraz za furką zaczynały się kamienne schody. Szorstkie płyty opadały kilkadziesiąt metrów po stromiźnie skarpy na główną drogę Podgórze.

Ciasne przejście, obudowane zwartą, piętrową zabudową, przypominało sztuczny wąwóz. Wrażenie to pogłębiało się w dolnej części uliczki, gdzie rozsiadły się potężne spichrze.

Porucznik ruszył w dół, stawiając ostrożnie stopy.

Przy jednym z nielicznych bocznych zaułków dostrzegł leżącego na ziemi żebraka. Nagle sterta przeraźliwie cuchnących łąchów poruszyła się. Żebak podniósł głowę i wciągnął do Joachima sękatą łapę.

- Daj, panie, grosz beznogiemu weteranowi.

Hirsz minął go obojętnie, czekając na ciąg dalszy. Uśmiechnął się ironicznie, słysząc szelest sukna, gdy żebrak za jego plecami stanął na cudownie przywróconych kończynach. Jednocześnie, jak na zawołanie, z mroku zaułka wyłoniło się trzech mężczyzn. Sposób, w jaki się poruszali, nie pozostawiał złudzeń co do ich profesji.

- Możecie sobie darować - zagał porucznik. Jeden ze zbirów, niski, lecz barczysty, wyciągnął głowę wprzód i zmrużył oko.

- To pan, panie poruczniku - stwierdził z nieskrywanym rozczarowaniem.

- Pracujesz w taką psią pogodę, Ślepek. Potężne ramiona poruszyły się w górę i w dół.

- W chałupie czeka jednaście gęb do wyżywienia i takie tam, sam pan wiesz, poruczniku.

Hirsz zdobył się na błądy uśmiech.

- Wycieczka czy też w sprawie? - zagadnął po chwili milczenia jednooki zbir.

- W sprawie.

Ślepek wykonał władczy gest. Trzech mężczyzn rozplynęło się w ciemności niczym szczyzny w Wiśle.

Hirsz sięgnął do pasa i rzucił hersztowi nabitą sakiewkę. Ślepek, wbrew swemu przewiskiu, chwycił ją nadzwyczaj zręcznie. Zważył w dłoni ciężar, po czym schował zdobycz za pazuchę kaftana.

- Tyle co zwykle - zapewnił go Hirsz.

- Wiem, panie, że byś mnie nie oszukał. - Pod warstwą uprzejmej żałyłości czała się groźba.

Hirsz miał świadomość, że całkiem realna.

- Kiedy dostarczysz towar?

- Gdy przyjedzie powóz pocztowy z Lwowa. Porucznik ponownie skinął głową. Ta część rozmowy była zakończona.

- Dziś w Rakowcu zamordowano szlachcica. Wiesz coś o tym?

- To żaden z moich ludzi, panie poruczniku.

- Może to ktoś spoza miasta, na gościnnych występach.

- Rozejrzę się. Szukać czegoś szczególnego?

- Ofiara została wykastrowana.

Ślepek wydał policzki, uniósł brwi, a na koniec głośno wypuścił powietrze.

- To wygląda na sprawę osobistą.

- Mimo to spróbuj.

Herszt pożegnał się i zniknął bezgłośnie. Porucznik zszedł na Podgórze. Miał tu w okolicy umówione spotkanie.

Przywitał go smród rynsztoka, pełnego nieczystości z pobliskiej garbami.

Zanim wszedł w zaułek, rozejrzał się bacznie w tył i na boki. Nic niepokojącego nie zwróciło jego uwagi.

Nagle z przodu usłyszał kroki.

Hirsz odruchowo oparł dłoń na rękojęści pałasza. Cofnął się i skrył w załomie ściany, obserwując zbliżającą się postać. Kaptur osłaniał jej twarz, jednak sylwetka oraz chód wskazywały na młodą kobietę. Przemknęła obok kryjówki, nie zauważywszy nieruchomego mężczyzny. Porucznik trwał tak jeszcze przez zdrowaśkę, wsłuchując się w chrzęst żwiru. Ruszył dopiero wtedy, gdy kroki całkowicie uciły.

Zaułek zamykała solidna szopa z nieociosanych bali. Okna były szczelnie zawarte.

Porucznik podszedł do drzwi i kilkakrotnie uderzył pięścią wedle ustalonej kombinacji.

Józef Kuśmierz, tak z racji wykonywanego zajęcia, jak i podłej okolicy, nie lubił niezapowiedzianych gości. W wizjerze ukazało się czujne oko. Hirsz cofnął się o krok.

Szczękneły rygłe, skrzypnęły zawiasy i na próg spłynęła smuga mdłego światła.

- Wejdz, instygatorze - rozległ się mrukliwy głos.

Hirsz prześlizgnął się koło Kuśmierza, a ten natychmiast zamknął drzwi. Rygłe z trzaskiem powróciły na miejsce.

Hirsz przyjrzał się grubemu mężczyźnie.

Kuśmierz wyglądał na trzeźwego, co po prawdzie ostatnimi czasy nie zdarzało się często. Tym razem spod przetłuszczonych włosów świdrowały porucznika bystre oczy. Nerwowe przygryzanie wargi wskazywało jednak na dręczący gospodarza niepokój.

Zastanawia się, czy widziałem tę kobietę - pomyślał Hirsz. Postanowił nie trzymać go w niepewności.

- Znów to robisz? - zapytał z przyganą. Kuśmierz uciekł wzrokiem.

- Niby co?

- Wysła stąd kobieta i nie wyglądała na twoją matkę. Jestem też gotów postawić złoto przeciw jabłkom, że była w ciąży.

Kuśmierz wbił wzrok w czubki butów.

- Znajoma prosiła, panie poruczniku - burknął.

Hirsz westchnął i pokręcił głową z dezaprobatą.

- Przyjdzie dzień, gdy któraś z nich cię wyda, głupcze. Wtedy zostaniesz żywcem zakopany w

ziemi. Kurewsko paskudna śmierć, nie uważasz? Choć w twoim wypadku byłyby całkowicie zaszłona.

- Przysięgam, to była wyjątkowa sytuacja. Chodziło o spłatę dawnego długu. Chyba pan rozumie, poruczniku.

- Lepiej dla ciebie, żeby to była prawda. Jeśli cię nakryją, nie zdołam ci pomóc.

- Oczywiście, panie, oczywiście - przytaknął Kuśmierz gorliwie, lecz niezbyt przekonująco.

Hirsz postanowił przejść do sprawy, dla której się tu zjawił.

- Mroczek przywiózł ciało?

- Tuż po zmroku, panie poruczniku.

- Zatem chodźmy.

Przeszli do drugiej, większej izby. Kuśmierz stanął na środku pomieszczenia i rozgarnął butem słomę. Oczom porucznika ukazał się niewielki właz. Gospodarz pochylił się, chwycił kłapę i pociągnął w górę.

Do piwnicy prowadziły wąskie schodki, kończące się sześć łokci pod podłogą.

Zeszli na dół. Czekwały tam już na nich zapalone lampy oliwne. W pomieszczeniu śmierdziało trupem. Całą powierzchnię ścian przesłaniały regały. Na półkach stały miski i naczynia różnej wielkości. Na wielu z nich widniały ciemne zacieki.

Centralną część pomieszczenia zajmował wielki stół. Leżał tam nagi mężczyzna. Nad stołem zwisał z sufitu potrójny żyrandol.

Obok denata stała miska, w której lśniły błyszczące ostrza rozmaitych rozmiarów. Niestety ze względu na Koptrowskiego musieli ograniczyć się do zewnętrznych oględzin.

Kuśmierz podszedł do stołu. Nagle ten toporny grubas przeistoczył się w artystę. Ociężałość zniknęła bez śladu, serdelkowate palce poruszały się z nadzwyczajną biegłością.

Wpierw ostrożnie wyjął przyrodzenie z ust denata. Wyciągnął język na zewnątrz i zajrzał do gardła. Następnie sprawdził każdy centymetr skóry oraz dłonie. Gdy skończył z przodem, obrócił ciało, by obejrzeć plecy.

Zakończywszy oględziny, podszedł do miski z wodą i umył dłonie. Następnie wytarł je w lnianą ścierekę. Obrzucił porucznika zatroskanym spojrzeniem.

- Za paznokciami nie Prawdopodobnie zaskoczono go we śnie. Pod spojówkami są wybroczyny. Bezpośrednią przyczyną śmierci było uduszenie.

- Co?

- Uduszenie - powtórzył cierpliwie felczer. - Zadławił się własnym kutasem.

Hirsz wzdrygnął się.

- To znaczy, że kiedy to się stało...

Przerwał, zdjęty grozą.

- Wciąż żył - dokończył Kuśmierz.

Porucznik z sykiem wypuścił powietrze z płuc.

- To jednak nie jest najdziwniejsze - stwierdził felczer. - Po bitwie pod Lützen czy Nördlingen widziałem ludzi, którzy żyli jeszcze przez wiele godzin z gorszymi obrażeniami.

- Co zatem cię dziwi?

- Pod skórą gnieździ się masa larw. Powinny aż pękać z przeżarcia, tymczasem wszystkie są martwe. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Niektórzy medycy twierdzą, że podczas gwałtownej, bolesnej śmierci organizm człowieka wytwarza truciznę. Może to jest przyczyną.

Kuśmierz prychnął pogardliwie, a potem pokręcił głową.

- Kolejna niesprawdzona nowinka. Jak ta, że podobno gorączkę powodują małe, niewidoczne dla oka robaczki.

- A to gdzie słyszałeś? - zainteresował się porucznik.

- Jak służyłem z lisowczykami u księcia Maksymiliana Bawarskiego, poznałem dworskiego cyrulika. Przysłałi go z samego Monachium, by leczył z ran feldmarszałka Pappenheima. Ponoć studiował w Padwie i wyczytał to w jakieś starej księdze.

- Mądry człowiek. Kuśmierz wzruszył ramionami.

- Ja tam czytać nie umiem, ale swoje wiem. Mądrala nie zdołał Pappenheima wykurować i feldmarszałek wyzionął ducha.

Hirsz łatwo domyślił się dalszej części tej historii.

- Niech zgadnę: cyrulikowi przydarzyło się wkrótce nieszczęście.

Kuśmierz uśmiechnął się paskudnie.

- Było akuratnie tak, jak pan porucznik mówi. Okazało się, że niby taki uczony, a pływać nie umiał.

- Utonął podczas przeprawy?

- Nie, w studni zamkowej - odparł felczer z miną niewiniątka.

Porucznik pokiwał głową z zrozumieniem.

- Mała rzecz, a cieszy, co, Kuśmierz?

- Święte słowa, panie poruczniku. Hirsz wskazał ręką na Brodowskiego.

- Czy to wszystko, co możesz mi o nim powiedzieć?

Felczer kiwnął głową.

- Bez krojenia, tak.

- Odpada, jutro pogrzeb.

- Zatem do następnego razu, panie poruczniku.

Joachim otworzył szeroko oczy. Zwykle pożegnanie czy też mimowolna wróżba? Najbliższe dni miały przynieść odpowiedź na to pytanie.



## II

Złocisty posąg króla lśnił w porannym słońcu niczym zastygły płomień świecy. Władca dwóch królestw, dzierżąc w dłoniach krzyż i miecz, patrzył w zadumie na miasto, które wyniósł nad wszelkie inne w Rzeczypospolitej.

Hirsz zostawił za sobą kolumnę Zygmunta i ruszył stępą traktem Krakowskim.

Pomimo wczesnej pory Rynek Przedmiejski wypełniony był ludźmi. Sprzedający i kupujący targowali się o wystawione towary, głośno przy tym krzycząc, klnąc czy wzywając imion co popularniejszych świętych. Również złodzieje nie próżnowali, co nie umknęło wprawmemu oku porucznika. Krążąc grupami, bezzwłocznie rzeźbili mieszki tuż pod nosem patrolujących rynek strażników miejskich.

Stróżowie prawa niezbyt się przykładali do obowiązków. Podzieleni na dwuosobowe patrole, krążyli pomiędzy straganami. Po krótkiej wymianie zdań z rąk do rąk przechodziły monety. Nietrudno było się domyślić, że część opłat targowych nigdy nie trafi do skarbca burmistrza.

Dla uniknięcia zatorów Hirsz jechał lewą stroną traktu, bliżej pałacu marszałka Kazanowskiego i klasztoru Bernardynów. Na południowej pierzei Rynku Przedmiejskiego stał dwór Jędrzeja Gniewosza, łowczego koronnego. Okna domu, zwrócone na plac, zapewniały przedni widok podczas uroczystości i ceremonii organizowanych przez króla lub miasto.

W tym miejscu Hirsz odbił w prawo, gdyż trakt rozwił się na dwie wąskie uliczki. Obie odnogi obejmowały kilkanaście gęsto zabudowanych zaułków, by ponownie spotkać się przy klasztorze Karmelitów Bosych. Po tej samej stronie wznosił się nieukończony korpus rezydencji Koniecpolskich. Śmierć hetmana wielkiego koronnego, a także późniejsze zniszczenia w majątkach rodu na Ukrainie skutecznie wstrzymały prace budowlane.

Po zachodniej stronie traktu aż do Żupy Solnej ciągnęły się dwory Sobieskich, Denhoffów i innych mniej znaczących rodów magnackich. Spojrzenie porucznika przemknęło ponad niską zabudową szlacheckich posesji, sięgając pałacu Ossolińskich z jego pozłacanymi dachami i alkierzami.

Przy wjeździe na placik Bykowiec wstrzymał konia, by przepuścić wozy, które wytoczyły się przez podwoje Żupy Solnej. Gdy tylko ostatni kryty brezentem pojazd skręcił na drogę ku Wiśle, porucznik ruszył z kopyta.

Krakowskie Przedmieście znów się zwężyło, ściśnięte między stajnie królewskie a wystawny dwór Aleksandra Radziwiła. Po drugiej, wschodniej stronie traktu spoza domków służby dworskiej widać było drzewa oraz fontanny ogrodów królewskich. Przy wyjeździe z miasta, naprzeciw kościoła św. Krzyża, wznosiła się Kaplica Moskiewska - mauzoleum zbudowane dla zmarłego w niewoli cara Wasyla Szujskiego.

Za fortyfikacjami ziemnymi rozrastało się bujnie nowe przedmieście. Droga do Ujazdowa na odcinku ćwierci mili obramowana była domkami rzemieślników, ogrodami i sadami.

Za ostatnimi zabudowaniami Hirsz skręcił w narobią drogę ku zachodowi. Po trzech stajaniach dojrzał zabudowania Nowego Jeruzalem.

Osada, wbrew szumnej nazwie, liczyła zaledwie kilkadziesiąt chat. Na obrzeżach wsi wznoszono kilkanaście nowych domostw. Już na pierwszy rzut oka brodaci mężczyźni, pracujący przy budowie, odróżniali się od osiadłych tu Izraelitów. Porucznika przywitały pełne łęku spojrzenia.

Nie trzeba było wielkiej przenikliwości, aby odgadnąć, kim są ci ludzie.

Ostatnimi czasami rzesze wędrowców podążały na zachodnie ziemie Korony w poszukiwaniu nowych siedzib. Tysiące Żydów uciekło w panice, porzuciwszy domy, karczmy i warsztaty, zabierając tylko to, co zdołali załadować na wozy.

Opowieści uciekinierów mroziły krew w żyłach. Czem prowadzona przez Kozaków wzięła srogi odwet za lata krzywd, doznawanych ze strony dzierżawców i szlachty.

Hirsz wjechał na obszerny plac, pełniący rolę rynku. Minął synagogę i zatrzymał się przy piętrowym domu, sąsiadującym z bożnicą. Przy drzwiach stał wysoki, kościsty mężczyzna o długiej, postrzępionej brodzie. Zachmurzone oblicze przecinały bruzdy. Ciemne oczy patrzyły na porucznika nieufnie.

- Tyś jest Jakub Szor, tutejszy rabin?

- Kto pyta?

- Joachim Hirsz, instygator starościński -przedstawił się porucznik, nie zsiadając z konia.

Dopiero teraz Żyd zdjął czapkę i uklonił się nieznacznie.

- Co waszmość pana sprowadza do mnie? Hirsz zeskoczył z siodła.

- Sprawa waszej córki.

Bruzdy na twarzy mężczyzny pogłębiły się.

- Nie mam już córki. - Jego głos zazgrzytał jak rozdzierana blacha.

- A tak, słyszałem, wyklęliście ją.

Żyd zmrużył oczy, szarpnął nerwowo końcówkę brody.

- Co pana szlachcica obchodzi jakaś Żydówka?

- Obchodzi, obchodzi. Za sprawą waszej córki zamordowano szlachcica, a inszego okaleczono.

Rabin zerknął lekliwie w okno na piętrze.

Porucznik dyskretnie podążył wzrokiem za tym spojrzeniem. Dostrzegł jedynie poruszenie zasłony. Ktoś obserwował ich rozmowę. Człowiek obdarzony darem.

Ponownie wbił wzrok w oblicze Jakuba Szora.

- Nie zaprosicie mnie do domu? - zapytał z uśmiechem.

Rabin lekko pobladał.

- Ależ naturalnie, wielmożny panie, proszę, proszę.

Szor pierwszy przekroczył próg sieni i dotknął dwoma palcami drewnianego pudełeczka, przytwierdzonego do framugi po prawej stronie. Hirsz zerknął, zaciekawiony. Przez otwór w pudełeczku dostrzegł wykaligrafowaną, poziomą literę E.

Jakub Szor zauważył zainteresowanie gościa.

- To mezusa - wyjaśnił. - Zawiera zwinięty pergamin z tekstem Tory. Ma przypominać" o obecności Boga i jego przykazaniach, a także chronić przed złem.

Porucznik rzeczywiście wyczuł silną moc, emanującą z tego przedmiotu. Żaden demon nie mógł bezkarnie sforsować tych drzwi.

Następne drzwi wiodły do przestronnej, jasnej izby. Pośrodku stał długi stół, otoczony krzesłami. Na jednej ze ścian, którą porucznik ocenił jako południową, wisiał obraz przedstawiający orientalne miasto. Hirsz domyślił się, że patrzy na Jerozolimę.

Rabin zajął miejsce u szczytu stołu. Hirsz usiadł po jego lewej ręce.

- Czego zatem ode mnie oczekujecie?

- Szukam Chaima - odrzekł krótko porucznik.

Szor rozłożył ręce.

- Nie widziałem go od... - zaciął się na kilka oddechów, jakby następne słowa nie mogły mu przejść przez gardło. - Od tamtego wydarzenia -wyduślił z siebie.

- Jednak nie znaleziono ciała. Ponoć to kawał chlopa.

Szor przytaknął.

- To prawda. Najwyższy obdarzył nieszczęśnika posturą goliata, jakby chcąc mu zrekomensować niedostatki umysłu.

- Jak na wioskowego głupka, zadziwiająco chytrze się ukrywa. Nie uważasz?

Rabin wzruszył ramionami.

- Ja tam nic nie wiem - zapewnił zdecydowanym tonem.  
- Może ukrywa się u krewnych? - zasugerował porucznik, nie zamierzając tak łatwo odpuścić.  
- Tu nie ma takowych. Chaim to sierota. Jego rodziciele zabił mór. Z tego, co wiem, ma jakichś krewnych w Lublinie.

Rabin skrzyżował palce i popatrzył na porucznika z napięciem.

- Mogę wiedzieć, czemu waszmość go poszukujesz?

- Zamordowano Piotra Brodowskiego - odparł Hirsz, śledząc z uwagą oblicze rabina.

- Kiedy?! Jak?

- Onegdaj w nocy, w jego własnym łóżku. Zapadła cisza.

Porucznika zaskoczył smutek na twarzy Żyda.

- Myślałem, że ta wieść przyniesie ci ulgę -rzekł skonsternowany.

- Zemsta to ścieżka wiodąca na manowce złego. Śmierć tego człowieka nie zwróci mi córki.

- Ona przecież żyje.

- Już nie. Nie dla mnie - zastrzegł się grobowym głosem Szor.

Porucznik zamilkł. Rabin stanął dla niego zagadkę, której nie potrafił rozwikłać.

- Podejrzewasz waszmość Chaima? - zapytał Szor.

- Owszem. Słyszałem, że podkochał się w waszej córce i bronił jej tamtej nocy.

Rabin skupił na poruczniku intensywne spojrzenie.

- To absurd. Chaim nie zabił Piotra Brodowskiego - zapewnił z przekonaniem. - To dobry człowiek, mimo słabego umysłu.

- A jednak zaatakował kilku uzbrojonych mężczyzn, żeby bronić Miriam.

- Uczynił to w szale. Pewnikiem biedak nie wiedział, co robi. Zapewniam cię, panie, Chaim nie byłby zdolny do zbrodni, nie mówiąc już o jej zaplanowaniu.

Hirsz zagryzł wargę. Miriam twierdziła tak samo.

- Na razie to wszystko. Gdybyś dowiedział się czegoś nowego, to...

- Bezwzględnie powiadomię waszmość pana -wszedł mu w słowo Szor.

Hirsz odniósł wrażenie, że stary pragnie tylko jak najszybciej pozbyć się go z domu.

Porucznik wstał od stołu i skierował się do wyjścia. Tuż przed drzwiami zatrzymał się nagle i obrócił twarzą do rabina.

- Macie gości pod swym dachem? Żyd drgnął nieznacznie.

- Nie - zaprzeczył pośpiesznie. - Czemu pytasz?

- Widziałem uchodźców z Ukrainy - wyjaśnił Hirsz z niewinnym uśmiechem. - Zakładałem, że przyjełście jakąś rodzinę pod swój dach.

- Tak też było - zapewnił nerwowo Jakub Szor. - Przed kilkoma dniami przeprowadzili się do nowego domu.

Hirsz pożegnał się z gospodarzem i wyszedł na dwór. Już siedząc w siodle, ponownie spojrzął w okno na piętrze. Źródło mocy zniknęło.

Porucznik sapnął, skonfundowany. Nie był już taki pewien swych odczuć. Jego matka mawiała, że magia to złudna gra cieni. Joachim również doskonale wiedział, jak łatwo przekroczyć granicę, za którą czai się obłąd.

Zawrócił wierzchowca i kłusem opuścił osadę. Za opłotkami przeszedł w galop, pozwalając, by pęd powietrza wywiał tłukące się w głowie myśli. Pół różańca później ujrzął przed sobą zabudowania folwarku Jana Koptrowskiego.

Wjechał na plac przed dworem, rozpędzając stadko dziobiących w ziemi kur. Kilku mężczyzn, krzątających się po obejściu, przywitało go czujnymi spojrzeniami. Niby żaden z nich nie porucił

wykonywanych zajęć, lecz wprawne oko porucznika wychwyciło drobne gesty. Ten i ów poprawił broń u boku, innsy przysunął się bliżej rusznicy opartej o ścianę domu, a dwóch kolejnych zniknęło na tyłach dworu.

Porucznik zatrzymał wierzchowca przed zadaszonym gankiem. Zeskoczył z siodła. Prostując krzyż, obejrzał z zaciekawieniem domostwo pana Koptrowskiego.

Dwór był drewniany, jednopiętrowy, lecz przy tym duży i solidnej konstrukcji. Rogów budowli strzegły wyniosłe alkierze z otworami strzelniczymi.

Porucznik znał powód owych zabezpieczeń. Zadał sobie trud i przejrzał księgi jurydyczne z ostali nich lat. Stało w nich czarno na białym, że na imię Koptrowskim ciążyło kilka wyroków, a kilkanaście innszych spraw było w toku. Cztery z nich dotyczyły zatargów z kahałem.

Tradycyjnie już młyny sprawiedliwości meły w Rzeczypospolitej niezwykle powoli i nader niedokładnie. Wystarczył niewielki majątek i kompania charakterników u boku, by kpić sobie z trybunałów. Wedle spisów podymnych Koptrowski posiadał dwie ludne wsie, młyn wodny oraz kilka morgów lasu. Zrobiło to z niego na tle zagrodowej szlachty niemal magnata. Tu, na Mazowszu, gdzie szlachcic mimo herbu sam częstokroć chwycił za plug, taki majątek wystarczał, aby zdobyć wienią klientelę.

W jednym z wąskich okien pojawiła się męska sylwetka. Po chwili drzwi rozwarły się i na ganek wyszedł Jan Koptrowski.

Szlachcic zmarszczył brwi i chwycił się pod boki. Lodowate źrenice wbiły się w porucznika.

Hirsz sięgnął czapkę i pokłonił się.

- Witaj, panie Koptrowski. Gospodarz odwzajemnił ukłoni.

- Co waszmość pana sprowadza do mego domu?

- Sprawę mam.

Koptrowski zatoczył ręką w geście zaproszenia.

- Zapraszam do środka.

Hirsz wspiął się na ganek i w ślad za gospodarzem przekroczył próg dworu.

Przestronna sień dzieliła domostwo na pół. Po lewej rozmieszczono pomieszczenia gospodarcze, a po prawej mieszkalne. Z otwartej kuchni dobiegał zapach gotowanej kaszy. Hirsz poczuł ucisk w żołądku przypominający mu, że nie jadł od rana.

Koptrowski pchnął najbliższe drzwi i weszli do przestronnej izby.

Wystrój był zaskakująco bogaty. Oprócz tradycyjnych sprzętów Hirsz ujrzał kilka szaf oraz kredens elbląski. Na ścianach rzędem wisiła broń: szable, rapiery, buzdzygany, także pistolety i rusznice.

Porucznik szeroko otworzył oczy z podziwem. Szlachcic to zauważył.

- Wszystko to zdobyczne - objaśnił z dumą.

- Wieleście wojowali?

- Niemal całe życie - przyznał stary. - Nie miałem ukończonych siedemnastu wiosen, jakem zaciągnął się na wojnę. Akurat królewicz Władysław wyprawił się po carską koronę. Szczęśliwy traf chciał, że trafił pod komendę pułkownika Aleksandra Lisowskiego. Po rozejmie z Moskwą król Zygmunt wysłał nas na odsiecz cesarzowi. Przez kilkanaście lat walczyłem na Węgrzech, Śląsku, Niemczech i w Prusiech. A jak lisowczyków rozwiązano, osiadłem tu, na ojcowiznie.

Koptrowski wskazał ławę.

- Siadaj waść.

Hirsz zajął miejsce, a gospodarz sięgnął do skrzyni i postawił na stole kwartę gorzałki oraz dwa kubki.

- Napijesz się okowity?

- Chętnie.

Koptrowski przysiadł naprzeciw porucznika i połał od serca. Następnie wznosił toast.

- Twoje zdrowie, waszmość.

- Jako i wasze - odparł grzecznie Hirs. Obaj mężczyźni bez ceregieli osuszyli kubki do dna. Joachim wstrząsnął się, gdy spirytus rozlał się po gardle i ściekł do żołądka. Koptrowski nawet się nie wzdrygnął. Otarł wąsy wierzchem dłoni, po czym rozparł się na ławie.

- Mówcie, po coście zjechali. Porucznik postanowił nie owijać w płótno.

- Zataiłeś waszmość, że trzymasz u siebie naocznego świadka.

- Skąd się dowiedziałeś? - zapytał chłodno szlachcic.

Hirs zignorował pytanie. Wziął oddech, by kontynuować.

- Czytałem również księgi jurydyczne. Oskarżasz waść Żydów, a sam chcesz przejąć należące do kahału grunta.

Koptrowski nie wydawał się ani trochę onieśmielony.

- Ta ziemia była w mej rodzinie od pokoleń. Mój ojciec dał ją pod zastaw, lecz został oszukany. Skoroś czytał księgi, to wiesz, że sąd przyznał mi te grunta wyrokiem.

- To prawda, lecz druga instancja odrzuciła tę decyzję - sprecyzował Hirs.

Koptrowski wydał z siebie pomruk rozdrażnienia.

- Żydzi przekupili sędziego. Wydawał córkę i potrzebował na posag. Jawna to rzecz.

- Za to ty, waść, pierwszego sędziego najechałeś po nocy, z oddziałem zbrojnych. Ponoć biedak tak się wyląkł, że do dziś się jąka.

Stary machnął ręką.

- Podłe oszczerstwa rozsiewane przez Żydów. Dziwię się waszmości, że wierzysz w takowe bredzenia.

- W co wierzę, to moja rzecz - uciął Hirs.

- Prawda, wasza - zgodził się Koptrowski.

- Czy Augustyn Kozerski wskazał Żydów jako sprawców napaści?

Oczy Koptrowskiego zwięziły się, tworząc wąskie szparki.

- To jasne, że zemścili się za tę kurwę - stwierdził zjadliwym tonem.

- Ma na imię Miriam. Została zgwałcona również przez waszmości syna - oświadczył porucznik lodowatym tonem.

Szlachcic prychnął pogardliwie.

- To tylko Żydówka. Jak biorę sobie dziewczkę z fólwarku, to też pod sąd mam iść?

- Wolna ona, nie wasza - przypomniał różnicę Hirs.

Koptrowski zmierzył porucznika gniewnym spojrzaniem. Przez długą chwilę zmagali się wzrokiem.

- Chodź waszmość - warknął stary - pokażę ci tę twoją sprawiedliwość.

Gospodarz szybkim krokiem poprowadził porucznika do sieni. Podeszli do najbardziej oddalonych drzwi. Za nimi otwierał się ciasny korytarzyk, zakończony kolejnymi drzwiami.

Tym razem Koptrowski wyjął klucz z sakwy. Przekreślił go w zamku. Zawiasy skrzypnęły cicho.

W pomieszczeniu panował mrok. Dopiero po chwili Hirs dostrzegł ciemniejszy kształt pod ścianą.

Koptrowski podszedł do okna i jednym ruchem rozsunał zasłony. Izbę zalały ukośne promienie słońca. Hirs zmużył oczy.

Gdy dotarło do niego, co widzi, poczuł zimny ucisk w żołądku.

Błąda, wychudła twarz z wylupionymi oczami zwróciła się ku przybyszom w niemym oczekiwaniu. Mężczyzna miał nie więcej niż dwadzieścia kilka lat.

- Przypatrz się dobrze waszmość. Nawet nie tknął tej dziwki. Tylko patrzył. Ponoć nawet litował się nad nią. Jemu samemu jednak nie okazano litości.

Hirs zbliżył się do mężczyzny. Czame kraterzyki oczodołów śledziły każdy jego krok. Porucznik odniósł absurdalne wrażenie, że mężczyzna go obserwuje. Poczuł gęsią skórę na karku. Zaklął

szpetnie w myślach i wziął się w garść. Pochylił się nad okaleczonym szlachcicem.

- Augustynie, słyszysz mnie? - wyszeptał miękko.

Mężczyzna przechylił głowę w bok i otworzył usta. Hirsz wzdrzgnął się, nie widząc języka.

Nagle młodzieniec szarpnął się do przodu, zawodząc bełkotliwie. Porucznik bezwiednie cofnął się pół kroku i otarł twarz z płwociny.

- Oszałał z bólu i przerażenia - dobiegł go zza pleców beznamiętny głos Koptrowskiego. - Widywałem już coś takiego.

Hirsz pytająco spojrzął przez ramię.

- Na wojnie. W chorągwi mieliśmy jednego Ruska. - Szlachcic zmarszczył brwi. - Wołali go Miszka. Wcześniej był oprawcą na dworze Łże-Dymitra. Po śmierci cara przystał do lisowczyków. Pułkownik cenił go nadzwyczaj, gdyż potrafił wydrzeć z człowieka najbardziej skrywaną tajemnicę. Często, gdy brał kogo na spytki, przesłuchiwany tracił zmysły.

Porucznik nic nie rzekł, bo też nic nie było do powiedzenia. Sam również był na wojnie i czynił rzeczy, o których pragnął zapomnieć.

- Ojciec Augustyna był moim przyjacielem - ciągnął z goryczą Koptrowski. - Służyliśmy w jednej chorągwi. Pod Smoleńskiem dostał odłamkiem w trzewia. Dokonał żywota na moich rękach. Przysiągłem mu, że zaopiekuję się jego synem jak własnym. Zawiodłem jego i chłopaka.

Przez chwilę trwało ciężkie milczenie.

- Michałowi nie dam tak skończyć. - Głos szlachcica stwardniał. - Prędkiej Żydków najadę i wytnę do nogi, a niech mnie obłożą infamią. W Rzeczypospolitej droga od wyroku do kata długa.

Hirsz nie wątpił w powagę wypowiedzianych groźb.

- Daj mi waszmość kilka dni, nim uczynisz podobne głupstwo.

Brwi starego zbiegły się jeszcze mocniej.

- Zgoda, kilka dni, potem niech się dzieje wola Boża.

•

Hirsz powrócił do Warszawy późnym popołudniem. Zostawił wierzchowca w przydomowej stajni i pieszo ruszył do Starej Warszawy.

Był w podłym nastroju, do tego wściekle głodny. Najbardziej jednak tęsknił za kobiecym towarzystwem. Postanowił odwiedzić Katarzynę Tarską. Piękna metresa wiele mu zawdzięczała i nigdy nie skąpiła swego towarzystwa.

Z ulicy Świętojańskiej skręcił w Dunaj, a potem w Piwną. Choć ulica leżała nieco na uboczu, panował tam ożywiony ruch. Pomiedzy licznymi piwiarniami i szynkami przetaczały się grupki mężczyzn, przybyłych nasycić głód i ugasić pragnienie. Tutejsze szynki nie były tak wytworne jak te przy rynku, ale przez to wiele tańsze. Gościli się w nich głównie mieszcianie pośledniejszego stanu, choć przecież nie gołota.

Kamienica należąca do Tarskiej stała przy rogu ulicy. Najbliższy wyszynk znajdował się pięćdziesiąt kroków dalej, dzięki czemu gwar i hałas tak bardzo nie dokuczały mieszkańcom. Hirsz zamierzał skręcić do bocznej furty, gdy jego uwagę przykuł wielki, korpulentny mężczyzna. Nosił czarny żupan obszyty srebmną nicią. Człowiek ten nie wyglądał na rzemieślnika czy kupca, bynajmniej nie z powodu ubioru, bo mieszcianie chętnie nosili żupany. To raczej instynkt podpowiadał porucznikowi, że ów człowiek para się ciężką profesją. Cała jego postawa, hardość oblicza, zimne oczy wskazywały na charakteremika.

Nieznamomy stał w bramie wiodącej do najbliższej piwiarni. Z rękami skrzyżowanymi na szerokiej piersi wpatrywał się w okna kamienicy Katarzyny Tarskiej.

Hirsz przez chwilę obserwował mężczyznę. Ten jakby wyczuł, że jest śledzony. Leniwie przeniósł wzrok na róg ulicy, gdzie przystanął porucznik, a potem obrócił się na pięcie i wszedł do

lokalu.

Hirsz odczekał chwilę, czy tamten nie pojawi się ponownie. Nic takiego się nie wydarzyło. Po kilku pacierzach porucznik zrezygnował, skrzył za róg i przeszedł na zaplecze kamienicy.

Wyjął klucz i otworzył furtę w ogrodzeniu. Przeciął podwórze ze studnią i stanął u tylnych drzwi do kamienicy. Były zawarte. Załomotał kilkakrotnie pięścią w drewno. Po chwili usłyszał pospieszne kroki i trzask rygli. W progu stała Urszula, pokojówka Katarzyny Tarskiej.

Przelotne spojrzenie przemknęło po jego obliczu, zanim długie rzęsy zakryły czeń oczu.

- Jaśnie pani nie ma, panie poruczniku.

Hirsz skrzywił się, nieco zawiedziony. Ostatnimi czasy młodą wdówkę ciężko było zastać w domu.

- Nie szkodzi, zaczekam - odparł. - Daj mi tylko wina i coś na ząb.

- Zaprowadzę cię, panie, do alkowy pani, potem przyniosę jadło.

Skinął głową.

Wprowadziła go po schodach na piętro. Idąc tuż za dziewczką, miał doskonałą okazję podziwiać jej wąską talię, kołyszące się hipnotycznie biodra i zgrabne łydki.

Dziewczyna zostawiła go w komnacie, a sama zeszła do kuchni. Joachim rozejrzał się po alkowie. Choć nie był tu od miesiąca, niewiele się zmieniło. Na podłodze leżał gruby turecki kobierzec, pośrodku stał stół, krzesła i wyściełany ałasem fotel. Dwa olbrzymie kuфы, hebanowa komoda i łóżko z baldachimem dopełniały całości. Hirsz zdjął buty, przy okazji sprawdzając, czy sztylet umocowany za wysoką cholewą gładko wychodzi z pochwy. Następnie wyciągnął się w miękkiej pościeli.

Po kilkunastu pacierzach rozległo się pukanie do drzwi. Do komnaty wsunęła się Urszula, niosąc na tacy dzban wina i pieczonego kapłona.

Hirsz podniósł się z poduszek i zasiadł nad potrawą.

Porucznik zauważył, że zapinki przy dekolcie sukni służącej są rozpięte. Gdy pochyliła się nad stołem, krągłe piersi lekko zafalowały.

Hirsz nalał sobie kubek wina i spróbował maleńki łyżeczek. Miało odrobinę cierpki smak, lecz mimo to było wyborne. Zadowolony, osuszył naczynie do dna.

- Przygotuj mi kąpiel. Cały dzień spędziłem w siodle.

- Zaraz będzie. Woda już jest gotowa. Pani lubi obmyć się po przyjeździe do domu. Wystarczy tylko napalić pod balią.

- Zuch dziewczyna. - Porucznik posłał jej uśmiech.

Urszula skromnie spuściła oczy, dygnęła i zamknęła za sobą drzwi.

Joachim bez zwłoki rzucił się na kapłona. Gdy na talerzu zostały jeno ogryzione kosteczki, rozparł się na krześle i poluzował pasa.

Niedługi czas potem znów pojawiła się Urszula.

- Kąpiel gotowa, panie - oznajmiła słodkim tonem.

Porucznik wstał ciężko od stołu i zszedł na parter, do pomieszczenia łaźiebego. Niewielka izdebka wyglądała czysto i schludnie. Centralne miejsce zajmowała głęboka balia. Tuż obok, w zasięgu wyciągniętej ręki, ustawiono stolik. Okna były zamurowane, jednakże lampy zawieszane na kandelabrze dawały dość światła.

Dziewczka wyszła, zostawiając Joachima samego.

Porucznik zrzucił ubranie, wszedł do balii i powoli zanurzył się w gorącej wodzie. Czuł miłe pieczenie na skórze i już po chwili zapadł w półsen. Myśli w jego głowie krążyły ospale wokół Katarzyny. Poczul, jak jego meszkość twardnieje.

- Wielmożny panie... - usłyszał dźwięczny głos za plecami.

Odwrocił się i spojrzał na Urszulę stojącą w drzwiach. Widać nie usłyszał pukania.

Na pełnych wargach dziewczyny rozkwitł zachęcający uśmiech. W ciemnych oczach migotały

ogniki.

- Przyniosłam wino - wyjaśniła, unosząc lekko tacę z butelką i pucharem.

Hirsz zmarszczył brwi. Z pewnością nie prosił o napitek. Niemniej musiał przyznać, że dziewczka wykazała się przednim pomysłem.

- Doskonale. Postaw tu - wskazał na stolik. Podeszła do balii, kołysząc biodrami. Odstawiła tacę, a następnie obróciła się twarzą do Hirsza. Patrzyła śmiało, oparta wyprostowanymi rękami o brzeg balii, wygięta nieco w tył. Suknia z cienkiego materiału przylgnęła do jej płaskiego brzucha i łączyła.

- Czy mogę jeszcze w czymś pomóc, panie? Joachim zawahał się, trzymany na wodzy przez ostatki rozsądku. Przystąpił tu przecież dla Katarzyny. Jednak nabrzmiały boleśnie członek miał za nic podobne ograniczenia.

Urszula rozpuściła włosy i potrząsnęła głową. Porucznik jęknął w duchu.

- Pani może nie wrócić na noc. Ostatnio jest wielce zajęta.

Ta ostatnia uwaga ukłuła głęboko dumę Hirsza i przeważyla szalę.

- Chodź tu! - wychrypiął.

Urszula oderwała się od stołu, zgięła nad balią. Zerknęła w taflę wody i uśmiechnęła się pięknie. Płynnym ruchem zsunęła ramiączka sukienki. Dwie wspaniałe kule uwiecznione ciemnymi sutkami zafalowały, uwolnione od nacisku materiału.

Suknia opadła na podłogę, odsłaniając ponętne ciało. Dziewka przełożyła nogi nad krawędzią bali i wsunęła się w wodę.

Przyciągnął ją ku sobie i zachłannie wpił się wargami w jej słodkie usta. Kochali się gwałtownie i namiętnie. Dziewczyna знаła się na rzeczy.

Kiedy skończyli, pocałowała go gorąco jeszcze raz. Wyszła z wystygłej już wody i ociekając wilgocią, pochyliła się, by podnieść suknię.

Rozleniwiony patrzył, jak materiał zakrywa ciemny trójkąt łona, kształtne biodra i piersi.

- Podobało ci się, panie? - spytała, poprawiając drobnymi dłońmi fałdy sukienki.

- Bardzo - przyznał szczerze. - A tobie? Urszula roześmiała się.

- Pani na jotę nie przesadziła.

Hirsz zmarszczył brwi i spojrzał nieufnie.

- A co to ma niby znaczyć? Przyłożyła mu palec do ust.

- Nic, panie. Tak tylko mi się rzekło. Jednak kpiące ogniki w ciemnych oczach przeczyły owym zapewnieniom. Porucznik nagle odniósł wrażenie, że stał się ofiarą jakiejś perwersyjnej gry.

Tuż przed zmrokiem Urszula rozpalila w kominku. W alkowie zapanowała przytulna atmosfera.

Hirsz wyciągnął się na łożu, rozleniwiony i nieco senny. Z tego błogostanu wyrwał go odgłos pospiesznych kroków i trzaśnięcie drzwiami. W progu ujrzał długo wyczekiwana gospodynię. Młoda wdówka nie sprawiała wrażenia szczególnie zadowolonej z jego widoku. Wpadła do alkowy jak stado furii. Przez chwilę miotala się po komnacie. Ostatecznie chwyciła butelkę stojącą na stoliku i napełniła kielich.

Joachim przez moment obawiał się, że Urszula zdradziła szczegóły ich wspólnej kąpieli. Zerknął niespokojnie na pokojówkę, która stała krok za Katarzyną. Dziewka chyba domyśliła się zawartego w spojrzeniu pytania, gdyż zaprzeczyła ruchem głowy.

Spojrzasz Katarzyna odstawila opróżniony puchar i obróciła się twarzą do porucznika. Piękne zielone oczy iskrzyły się gniewnie.

- Widzę, żeś się już rozgościł.

Hirsz nie zdołał powstrzymać uśmiechu.



- Bardziej, niż myślisz, moja droga. Katarzyna dała znak pokojówce, by ta zdjęła z niej suknię i gorset. Chwilę trwało, zanim sznurki oraz zapinki podały się zręcznym palcom służącej. Potem Urszula zebrała ubranie z kobierca i zostawiła ich samych.

Katarzyna, uwolniona z więzów mody, odetchnęła głęboko. Oswobodzone piersi, okryte jedwabną koszulką, zakotyły się sprężysto. Hirsz nie mógł oderwać wzroku od dwóch okazałych krągłości.

Oczywiście zauważyła to spojrzenie. Na zmysłowych ustach rozkwitł uśmiezek. Uniosła ręce, zanurzyła dłonie w gęstwinie rudych, falujących włosów. Potem usiadła w fotelu i powoli rozchyliła nogi.

Hirsz opuścił wzrok wzdłuż płaskiego brzucha przez krzywiznę bioder do ciemnorudego runa. Poczuł, że spodnie robią się ciasne.

- Parszywe życie - odezwała się Katarzyna głosem pełnym gorczy.

Joachim przełknął ślinę i spojrzał z udawanym zainteresowaniem w szmaragdowe oczy.

- Co się Wydarzyło?

- Przecież nic cię to nie obchodzi - stwierdziła oskarżycielskim tonem. - Przychodzisz tu tylko wtedy, gdy nadchodzi cię chęć.

- Ty również jesteś niezmiennie zajęta - odparował, poirytowany.

Zacisnęła wargi.

- No, mów wreszcie - poprosił łagodnie. -Wiesz przecież, że zawsze możesz na mnie liczyć.

- Wiem, Joachimie, przepraszam za ten wybuch. Czasami tak mi ciężko. Ci wszyscy mężczyźni... - pokręciła głową. - Może powinienm rzucić to wszystko. Zamieszkać gdzieś w małym domku na prowincji, gdzie nikt mnie nie zna. Sama nie wiem.

- I mieć piątkę rozwrzeszczanych bachorów - zakpił.

Spojrzała na niego jakoś dziwnie.

- Czemu nie?

- A bale, ploteczki, intrygi na zamku, a kosztowne prezenty od panów senatorów? Potrafiłabyś żyć bez tego blichtru i naprawdę być szczęśliwa?

- Może... - Wbiła w Joachima przeciągłe spojrzenie. - Gdybym tylko miała przy sobie odpowiedniego mężczyznę.

- A ta kolia? - Wskazał palcem na klejnoty oplatające jej szyję. - Ile jest warta?

Metresa przesunęła palcami po kolii.

- Prawie tysiąc złotych. Hirsz gwizdnął z podziwem.

- Tysiąc, nieźle. Większość mieszczan nie zaoszczędza takiej sumy przez pół życia. Znam cię, Katarzyno, i wiem, do czego się posunęłaś, by zdobyć to wszystko. Nie zrezygnujesz z takiego życia, póki jesteś piękna i masz mężczyzn u swych stóp. Przez pierwsze miesiące może byłoby nam dobrze, lecz potem stworzylibyśmy sobie piekło.

Zagryzła dolną wargę, przez co wyglądała jak nadąsana dziewczynka.

- Zapewne masz rację, Joachimie, lecz czasem miło jest pomarzyć.

- Zatem cóż tak cię rozłościło? - zmienił temat.

- Pani d'Vertees z fraucymeru królowej.

- Charlotta? - zawołał ze zdumieniem, zanim zdążył ugryźć się w język.

Zielone oczy zmrúżyły się po kociemu.

- Znasz tę sukę?

Hirsz wydał policzki, wypuścił powietrze z sykiem.

- Raz czy dwa widziałem ją na dworze. Całkiem ładna. Oczywiście gdzieś tam jej do ciebie - zastrzegł przezornie.

Katarzyna przez kilkanaście uderzeń serca nie spuszczała z jego twarzy zjadliwego spojrzenia.

- Ładna - powtórzyła cierpko. - Niektórzy powiedzieliby, że to prawdziwa piękność. Szesnaście

wiosen, oliwkowa skóra, oczy koloru włoskiego orzecha i te jej zachłanne francuskie usteczka.

Hirsz wzruszył ramionami.

- Co kto lubi. Dla mnie jest nieco zbyt płaska. No, ale do rzeczy, cóż ona ci zawiniła?

- Odbiła mi pana Sapiechę.

Hirsz ledwie pohamował rozbawienie. Rozłożył dłonie w geście zdziwienia.

- Przecież i tak cię nudził. Zamyślałaś go porzucić.

- Waśnie! - wybuchła. - To ja miałam odejść pierwsza. Co za afront! I to dla kogo! Dla tej głupiej Francuzeczki! Na Najświętszą Panienkę, ta mała zapłaci mi za to upokorzenie.

Hirsz nie wytrzymał. Roześmiał się na cały głos.

- Co cię tak bawi? - fuknęła.

- Charlotta jest młodsza i piękna. To rzeczywiście niewybaczalne - odparł Joachim, wycierając łzy z kącików oczu.

- Ty draniu! - zasyczała. - Po czyjej stronie jesteś?

Hirsz bezwstydnie szczyrzył zęby, nie potrafiąc ukryć rozbawienia.

- Ależ kochanie, zawsze po twojej. Ta kolia to prezent pożegnalny?

Westchnęła ciężko.

- Dar od kniaziewicza Czetwertyńskiego i mój następny kłopot.

Porucznik ściągnął brwi.

- Przecież szczeniak ma niespełna siedemnaście wiosen. Co na to jego ojciec? Czetwertyńscy, choć kniaziowie, nie są nadzwyczaj bogaci.

- Kniaź wyjechał na Wołyń, by dołączyć do reszty panów koronnych. Stronnictwo wojenne chce zgnieść bunt, zanim rozpocznie się elekcja, i nie dopuścić, by kanclerz i królowa porozumieli się z Chmielnickim. Ponoć takowe tajne rozmowy są już prowadzone.

Hirsz poderwał się, usiadł na krawędzi łoża.

- Skąd te wieści?

- Przyjaźnię się z panią Kalarą de Mailly. To jedna z zaufanych dworek królowej. Ponoć najjaśniejsza pani wielce się zaangażowała w sprawę ustanowienia rozejmu.

- Wiesz coś więcej?

Pokręciła przecząco głową. Widać było, że myślami jest przy innych sprawach. Wykonała rozpaczliwy gest dłonią.

- Próbowalam go zniechęcić, Joachimie, przysięgam. Szczeniak niechybnie się zakochał. Śledzi mnie, pilnuje na każdym kroku. Boję się, że posunie się do jakiegoś szaleństwa. Zwłaszcza teraz, gdy zabraknie nade mną protekcji pana Sapiechy. Dziś rano przysłał do mnie kolejne prezenty przez swego przybocznego. Nie wpuściłam go za próg.

- Ten przyboczny jest tegiej budowy i nosi czamy kontusz?

Drgnęła nerwowo.

- Skąd wiesz?

- Widziałem go dziś pod twoją kamienicą. Katarzyna załamała rękę.

- Ten chłopak mnie przeraża.

- Spałaś ze smarkaczem? Wydęła usteczka.

- Raz czy dwa. Żeby się odczepił.

- No to teraz miej pretensje do siebie. Katarzyna pochyliła się ku niemu, jej piersi zafalowały pod jedwabiem.

- Joachimie, pomóż mi, proszę.

- A co ja mogę?

Wstała z fotela zwinnym ruchem i podeszła do łoża. Uklękła między jego kolanami i spojrzała błagalnie.

- Przecież twoi Kozacy mogą się tym zająć. Hirsz pokręcił głową.

- Birkut i Hańcza ostatnio znów ubili jakiegoś szlachetkę. Sekretarz koronny przez swych szpicli się o tym zwiadał. Zrobił mi dużą awanturę, że własnych ludzi przypilnować nie potrafię, i takie tam dyrdymały. Boga chwalić, ciała nie znalezione, więc i zbrodni jakby nie było. Jednakowoż zapowiedział mi solennie, że jeśli ponownie taka sprawa się przydarzy, to mnie odeśle z miasta, a ich w wieży osadzi.

- Porozmawiaj więc ze Ślepekami - poddała propozycję. - Niech jego zbiry załatwią sprawę. Dobrze zapłacę. Proszę.

Hirsz westchnął.

- Zgoda. Poproszę go, by postawił człowieka pod twoją kamienicą.

Rozchyliła wargi, ukazując równiutkie zęby.

- A jak mogę odwdziżyć się tobie, poruczniku? Joachim zanurzył dłoń w gęstych, pachnących włosach i przyciągnął jej głowę do siebie.

- Jakoś wspólnie rozwiążemy ten problem.

Leżeli wtuleni w siebie, ciężko oddychając.

Joachim niechętnie spojrział w okno. Na dworze zagościła noc. Zaklął w duchu. Był już spóźniony. W gospodzie „Pod Basztą” czekali na niego Mroczek, Birkut i Hańcza.

Wysunął się z ramion kochanki. Usiadł na brzegu łóżka i zebrał rozrzucone po podłodze ubranie.

Zerknął na Katarzynę. Jak zwykle w takich sytuacjach, przyglądała mu się spod przymkniętych powiek.

- Idziesz już?

W jej głosie brzmiał szczerzy żal.

- Muszę, zlecono mi paskudną sprawę. Usiadła, pozwalając, żeby kołdra zsunęła się jej z piersi.

- Zawsze takie ci przypadają. Och, trama uwaga.

- Tym razem rzecz jest wyjątkowo nieprzyjemna. Kilku szlachciców zgwałciło córkę rabina z Nowego Jeruzalem. Teraz ktoś mści się za dziewczkę i morduje ich w okrutny sposób. Panowie bracia obarczają winą Żydów. Szykuje się tumult, Katarzyno. Sekretarz koronny i Marek Nekel chcą mu zapobiec.

- Jeśli Żydzi są bez winy, udowodnisz to -stwierdziła z przekonaniem.

Porucznik wykrzywił usta. Z Katarzyną mógł być całkiem szczerzy.

- Nie jestem pewien, czy powinienem. Ściągnęła brwi.

- Jak to?

- Zbliży się elekcja i nikt nie będzie chciał zadzierać z mazowiecką szlachtą. Na elekcji ich głosy i szable są na wagę złota. Niejeden z senatorów, żeby zdobyć przychylność szaraczków, bez żalu poświęci żywot kilkudziesięciu Żydków. Nie wspominając już o moim własnym. Łacno mogę skończyć w zaułku z rozprutą gardzielią.

W pięknych, zielonych oczach odbił się niepokój.

- Więc zostaw to! Ci Żydzi nie należą do żadnego z wielkich panów. Dwór królewski, a zatem i Marek Nekel, rychło pogrzebią ofiary w imię wyż szych racji. Nikt nie będzie miał do ciebie żalu.

Joachim zmarszczył brwi. Katarzyna trafnie wyraziła tłukące się w jego głowie myśli.

- Tak, to prawda. Nikt nie będzie miał żalu - mruknął bardziej do siebie niż do kochanki. - Nikt poza mną samym.

Wyszedł od Katarzyny przed północą. Mżył lekki deszczyk, nad ziemią zalegała mgła.

Porucznik przeszedł kilkanaście kroków, gdy usłyszał ciche trzaśnięcie za plecami. Zanim

pomyślał, zadziałal instynktownie. Rzucił się na ziemię, robiąc przewrót przez bark. Brzęknęła cięwa, belt świsnął nad Hirszem i wbił się w mur kamienicy.

Zanim porucznik dokończył przewrót, przypomniał sobie rozkład uliczki. Dziesięć kroków od niego stała drewniana przybudówka, oparta o mur przeciwpożarowy. Tam musiał przycząć się strzelec. Hirsch chwycił rękojeść króciicy i skoczył ku szopie. Zabójca również nie czekał beczynnin. Zeskoczył na ulicę i rzucił się na Hirsza ze sztyltem w dłoni.

Porucznik nie dążył do zwarcia. Z dwóch kroków wypalił prosto w przerażoną twarz.

Przewidując, że to jeszcze nie koniec, obrócił się na pięcie i zerwał do biegu, żeby wy dostać się z zaułka. Niestety nie zdążył. Kilkanaście kroków przed skrzyżowaniem wyrosło przed nim dwóch drabów o kanciastych sylwetkach. Tarasowali wejście na Piwną. Poza tym nie wykazywali chęci do walki. Co dziwne, kilka kroków po lewej otwierało się wąskie przejście na sąsiednie podwórze. Zupełnie nie pilnowane.

Hirsch nie uwierzył w takie niedopatrzenie.

Sklął się w duchu za lenistwo, przez które zostawił pałasz przy kulbace. Z drugiej strony długie ostrze tylko zawadzałoby w tej ciasnocie.

Sięgnął po drugą krócięcę i ruszył prosto ku drabom. Ta decyzja wyraźnie ich zaskoczyła. Porucznik wybrał tego po lewej. Nacisnął spust. Z tej odległości nawet nie celował. Ogień i ołów pluły w środek piersi przeciwnika. Ten zachwiał się, jęknął i padł na ziemię. Drugi z siepaczy błyskawicznie otrząsnął się z zaskoczenia. Z wściekłym krzykiem natarł na Joachima. W rękę trzymał tasak o długim trzonku. Wywiął nim jak pijany rzeźnik. Porucznik rzucił w zbira pistoletem, drugą ręką dobywając nóż. Drab uchylił się, doskoczył i wyprowadził zamasyście cięcie.

Hirsch skrócił dystans, wchodząc za przeciwnika, kantem prawej dłoni uderzył w łokieć ręki z tasakiem. Lewą ręką pchnął nożem. Ostrze rozcięło tylko kaftan, gdyż siepacz wyrwał się w przód, wykonał półobrót i uderzył sierpowym, jednocześnie tnąc tasakiem na odlew w brzuch porucznika.

Hirsch przyjął cios. Silne uderzenie pięścią odrzuciło jego głowę do tyłu. Zdołał jednak zablokować przedramieniem rękę z tasakiem i kopnął kolaniem w pachwinę zbira. Ten jęknął, zgął się i cofnął o krok. Hirsch doskoczył do niego, wietrząc szansę. Siepacz uderzył, celując w nogę. Porucznik zrobił unik, obrócił się i wykorzystując siłę rozpędu, pchnął przeciwnika na mur, Lewa ręka, ściskająca nóż, uderzyła pod mostek. Długie na dłoń ostrze wbiło się aż po kościaną rękojeść. Drab zacharczał, tasak zabrzączał na bruku. Z rozwartych ust pociekła strużka gęstej krwi. Wszystko trwało nie więcej niż dwadzieścia uderzeń serca.

Nagle od strony prześwitu rozległ się ciężki tupot. To musiał być ktoś wielki. Hirsch domyślił się, kogo zaraz ujrzy. Oddech później, zgodnie z jego przypuszczeniem, z mgły wypadł mężczyzna w czarnym kontuszu. W prawej dłoni trzymał szablę husarską.

Spojrzał na Hirsza jak na karalucha, uporczywie umykającego spod buta. Doskoczył do niego z niewiarygodną szybkością i ciął na odlew.

Joachim szarpnął się w tył, unikając ostrza o włos. Lewą ręką zerwał zapinkę płaszcza, z półobrotu rozpostarł okrycie i zarzucił na napastnika. Wielkolud nie dał się jednak zaskoczyć. Pomimo ciasnoty obrócił ostrze i odrzucił płaszcz szychem.

W tej sytuacji Hirsch zachował się, jak przystało na zawodowca: rzucił się do ucieczki.

Gdy tylko wy dostał się z zaułka, popędził ku Bramie Pobocznej. Biegł szybko, lecz za plecami wciąż słyszał ciężki oddech i głuche uderzenia podeszew o bruk. Co gorsza, miał wrażenie, że ścigający zbliża się do niego.

Joachim spojrzał przez ramię. Wielkolud pomimo tuszy zbliżał się niebezpiecznie. Jeszcze łokieć i wystarczyłoby jedno cięcie szabli.

Kto to, kurwa, jest?!!!

Była to ostatnia myśl, jaka przemknęła przez głowę Joachima, zanim czubkiem buta zaczęli O wystający kamień. Tracąc równowagę, z rozpędu przeleciał dwa kroki i runął jak długi. Targnął nim

ból. Nóż wypadł z jego dłoni i zadźwięczał na nierównym warszawskim bruku.

Szczęśliwie upadek zaskoczył jednakowo obu uczestników gonitwy. Wielkolud stęknął i spróbował wyhamować na śliskiej nawierzchni, jednocześnie wyprowadzając cięcie w kierunku leżącego Hirsza. Joachim przetoczył się na bok. Ostrze przemknęło ze świstem kciuk od jego barków i skrzesało iskry na kamieniach.

W odpowiedzi porucznik wyprowadził kopnięcie, podcinając nogi wielkoluda.

Charakternik ryknął zaskoczony, wykonał rozpaczliwego młyńca rękami i grzmotnął o glebę z impetem, ale nawet taki upadek nie zdołał wyrwać szabli z jego dłoni. Potrząsnął tylko rozbitym łbem, zamruczał coś wściekle i począł się dźwigać na łokciach.

Hirsz zadrżał. W panice zacisnął palce na łańdżach czarnego żupana. Wpełzł na szerokie jak szafa plecy, podciągnął kolano, sięgnął do cholewy i wyszarpnął sztylet. Uderzył od góry, wkładając w to resztkę sił. Wąskie ostrze zazgrzytało na kręgach i znalazło drogę do rdzenia.

Góra mięśni i tłuszczu zadrżała w śmiertelnych konwulsjach.

Hirsz otarł mokre od potu czoło. Zlustrował wzrokiem pustą ulicę. Jak zwykle w takich przypadkach, nikt z mieszkańców nie kwapił się z pomocą bliźniemu.

To i lepiej - pomyślał porucznik. Gospoda, gdzie bawili się Mroczek i kozacy, znajdowała się ledwie kilka zaułków dalej.

Porucznik podniósł się chwiejnie i spiesznie pokuśtykał w kierunku Bramy Pobocznej.

•

Niebo jeszcze nie pojaśniało, choć nadeszła już godzina przedświt.

Trzech mężczyzn stało nad Wisłą, przypatrując się, jak czwarty obmywa się na płyciźnie.

- Nie wypłynął? - zapytał Birkut, przerywając długotrwałą ciszę.

- Nigdy nie wypływają - mruknął Mroczek.

Przeniósł wzrok ze stojącego w wodzie porucznika na praski brzeg. Gdzieś z tamtej strony dochodziły niesione wodą porykiwania bydła, pędzonego na Wołowy Targ.

Rozległ się plusk. Oficer wyszedł na kamienisty brzeg. Otarł wodę z twarzy i naciągnął koszulę na szerokie barki. Wskazał leżący pod nogami wachmistrza pakunek.

- Tomaszu, zadbaj, by kniaziewicz dostał to jeszcze przed rankiem.

Mroczek skinął głową.

Pochylił się i sięgnął po zawiniątko. Widocznie źle chwycił, bo na kamieniste podłoże wytoczyła się masywna, okrwawiona głowa.

Okrutne oczy, choć martwe, wciąż patrzyły równie hardo jak za życia. Tylko gdzieś w głębi żrenic czaiło się zdumienie.

Mroczek przez chwilę wpatrywał się w te oczy z fascynacją. Następnie chwycił głowę za włosy i schował do worka.

### III

Przez koronkowe firany prześwitywało poranne słońce, rozświetlając drobinki kurzu, wirujące w komnacie.

Porucznik po raz wtóry zerknął na mechaniczny zegar gdańskiej roboty. Wskazówki w kształcie miniaturowych papierów wskazywały ósmą.

Hirsz oparł się plecami o krzesło, rozważając przyczynę, dla której wezwano go do pałacu o tak wczesnej porze. Gdy dotarł na miejsce, zaspany kancelista otworzył przed nim drzwi gabinetu sekretarza koronnego i polecił czekać. Jak wyjaśnił, Jan Gembicki wkrótce miał zjawić się osobiście.

W głębi ducha Hirsz obawiał się, że przyczyną tak nagłego zaproszenia było zajście sprzed trzech dni. Pod wpływem tej myśli bezwiednie rozmasował obolały bark. Mięśnie i ścięgna wciąż odczuwały skutki nocnej potyczki.

Pocieszał go tylko fakt, że przybicie do drzwi dworu Czetwertyńskich głowy odniosło pożądany skutek. Kniaziewicz w pośpiechu, pod silną eskortą opuścił Warszawę. Porucznik nie sądził, by młokos komukolwiek zwierzył się ze zleconej przez siebie zbrodni. Co do zbirów, głębia Wisły skryła ich ciała na zawsze.

Każda zbrodnia pozostawia jednak ślady, a sekretarz koronny miał szpiegów i w Warszawie trudno było cokolwiek przed nim ukryć. Porucznik, targany niepokojem, ćwiczył więc cierpliwość, błędząc wzrokiem po komnacie.

Naprzeciw miał masywne biurko z dębowego drewna i wysokie krzesło, gdzie zwykle zasiadał Jan Gembicki. Nad rzeźbionym oparciem wisiał portret zmarłego przed trzema miesiącami Władysława IV Wazy. Elekcją nowego monarchy Sejm Konwokacyjny zarządził dopiero na jesień. Do tego momentu podobizna zmarłego monarchy wciąż miała zdobić ściany urzędów państwowych. Choć dzieło namalowano ledwie kilka miesięcy wcześniej, artysta był dla Jego Wysokości nadzwyczaj łaskaw. Monarcha, odchudzony o pięćdziesiąt kilo i odmłodzony o lat dwadzieścia, prezentował się na płótnie niczym bóg wojny.

Wiadomo było powszechnie że zmarły król lubił wspominać tamten okres swego życia. Hirsz doskonale go rozumiał.

Opromieniony zwycięską wojną z Moskwą, zdrowy i kipiący pomysłami na zreformowanie Rzeczypospolitej, zapewne we własnym wyobrażeniu dorównywał swemu kuzynowi Gustawowi Adolfowi. Król Szwecji, syn uzurpatora, który pozbawił ojca Władysława tronu w Sztokholmie, w tym czasie był u szczytu sławy i potęgi. Armie pod jego wodzą pustoszyły katolickie krainy Rzeszy, gromiąc kolejne armie cesarskie.

Jakież to wielkie nadzieje musiały rozkwiąć w umyśle młodego Władysława w tamte dni. Po latach z owych nadziei pozostał jeno gorzki popiół. Gustaw Adolf wprawdzie poległ młodo pod Lützen, zostawił jednak po sobie potężną Szwecję i pamięć! godną Aleksandra Macedońskiego.

Tymczasem gwiazda Władysława Wazy zaczęła blednąć.

Postępująca choroba, opór szlachty wobec reform oraz uległa polityka wobec Wiednia naznaczyły skazą kolejne lata rządów. Rzeczpospolita była niewdzięcznym krajem do rządzenia i król jegomość, podobnie jak jego ojciec, przekonał się o tym na własnej skórze. Teraz zaś choroba i zły los zabrały go z tego świata w chwili, gdy Rzeczpospolita najbardziej go potrzebowała. Firany zaśladowały w przeciagu. Porucznik z roztargnieniem spozjrzał na panoramę za oknem. Przez szpalery drzew rosnących przy ulicy Senatorskiej prześwitywała fasada pałacu prymasowskiego.

Z zamyślenia wyrwał Hirsza dźwięk otwieranych drzwi.

W progu stał Jan Gembicki. W dłoniach trzymał kilka kartek papieru, połączonych bursztynową zapinką.

Hirsz na widok sekretarza wielkiego koronnego poderwał się z krzesła. Jan Gembicki, jeszcze w drzwiach, machnął ręką z serdeczną łaskawością.

~ Siadaj, poruczniku.

Przeszedł przez komnatę i zajął miejsce po drugiej stronie biurka. Trzymane w dłoni kartki odłożył na blat.

Jego Wielmożność nie wyglądał najlepiej. Napuchnięte powieki i cienie pod oczami wskazywały na nieprzespaną noc. Choć był osobą duchowną, nosił się z francuska. Zgodnie z wymaganiami Ich Królewskich Mości dwór ubierał się według paryskiej mody, oczywiście ku głośno wyrażanemu oburzeniu panów szlachty.

Mimo swych prawie pięćdziesięciu lat Jan Gembicki był człowiekiem pełnym energii i ambicji. Dzięki protekcji swego krewnego, prymasa Wawrzyńca Gembickiego, studiował w Bawarii, Rzymie i Padwie. Już w wieku dwudziestu lat został kanonikiem gnieźnieńskim, a potem krakowskim i warszawskim. Wszechstronnie wykształcony, a przy tym gorliwy rojalista, stał się podporą planów królewskich. Szybko też zwrócił na siebie uwagę nowej królowej. Kilka miesięcy po koronacji mianowała go kanclerzem swego dworu. Wybór ów okazał się nadzwyczaj korzystny dla obu stron. Maria Ludwika Gonzaga jak mało kto potrafiła dostrzec potencjał tkwiący w człowieku.

Jego Wielmożność wbił w porucznika przenikliwe spojrzenie.

- Pamiętasz waść Franciszka Hoppego? Porucznik przywołał z pamięci wszystko, co wiedział o pomorskim kupcu.

- Deputant z Elbląga. Parokroć był wysyłany przez tamtejszą radę na sejmy. Oficjalnie nic nie mogliśmy mu zarzucić, lecz były podejrzenia, że szpieguje dla elektora lub Szwedów. Ponoć kilka lat temu za jego sprawą do Berlina trafił plan umocnień warszawskich.

Gembicki skinął z uznaniem głową.

- Tak, mieliśmy go na oku. Musiał jednak coś wyczuć i przez kilka lat przestał węszyć. Teraz znów się pojawił i jak donoszą agenci, wykazuje niezdrowe zainteresowanie ludwisamią i Arsenalem.

- Co mam robić?

- Na początek dowiedz się, z kim się spotyka. Chcę znać każdy jego krok. Potem zadecyduję.

- Znamy jakieś szczegóły?

- Ktoś z ludwisami przekazuje informacje o produkcji artylerii koronnej. To są ostatnie informacje, jakie zdołał przekazać agent śledzący Hoppego.

- Co z nim się stało?

- Znaleziono go dziś rano w fosie.

- Znałem go?

- Tak, to Kacper Trybański.

Joachimowi stanął przed oczyma chudy młodzieniec o czujnych oczach, spoglądających sponad krzywego nosa. Lubili się, choć nie byli przyjaciółmi.

- Kacper nie należał do ludzi, których łatwo utopić - stwierdził Hirsz.

Sekretarz zagryzł dolną wargę.

- I to mnie właśnie niepokoi, poruczniku. Zapewne Hoppe nie działa sam. W kancelarii dostaniesz resztę potrzebnych informacji.

Hirsz chciał wstać z krzesła. Gembicki powstrzymał go gestem.

- Starosta zlecił ci sprawę mordu na szlachcicu. - Było to stwierdzenie, nie pytanie.

- Tak, okoliczności zbrodni są mocno niejasne.

- Rozmawiałeś też o tej sprawie z Markiem Neklem?

Hirsz zastanowił się pospiesznie, na ile powinien być szczery z przełożonym.

- Owszem - przyznał ostrożnie - zamieniliśmy kilka zdań na ten temat.

Sekretarz wyduł wargi.

- Nekel to hojny człowiek... - zawiesił znacząco głos.

- Zapewniam waszą wielmożność, że nigdy bym nie...

Gembicki przerwał mu ruchem dłoni.

- Zatem rozumiemy się, instygatorze. Co do onej sprawy, to i ja nie chcę tu tumultów przed elekcją.

Sekretarz koronny pochylił się na łokciach ku Hirszowi.

- Między nami mówiąc, Nekel znów pożyczył królowej okrągłą sumkę. Zatem masz w tej sprawie wolną rękę. Pamiętaj jednak, Hoppe ma pierwszeństwo. Zginął mój agent i nie puszcze tego papiera.

Uderzył ręką o blat, w ciemnych oczach rozbłysły iskry.

- Książę elektor robi się coraz bardziej hardy. Trzeba mu nieco przytrzeć nosa i przypomnieć, że mimo bezkrólewia wciąż jest lennikiem Korony.

Gembicki umilkł, ponownie wyprostował się na krześle. Rozmowa dobiegła końca.

Hirsz wstał, pokłonił się i przeszedł do kancelarii.

Na miejscu przejrzał raporty dotyczące Franciszka Hoppego. Już po krótkiej lekturze zorientował się, że nie znajdzie w nich żadnych rewelacji. Brakowało kluczowych sprawozdań z ostatnich dwóch dni. O ile znał Kacpra, ten postanowił jak najdłużej działać na własną rękę.

Hirsz nie zamierzał popełniać tego błędu.

Mroczek wraz z Birkutem i Hańczą przetrząsali podwarszawskie trakty w poszukiwaniu Chaima. Sprowadzało się to głównie do odwiedzania kolejnych austrii i wypytywania o przyglupiego wielkoluda. Na razie bilans poszukiwań nie wyglądał zachęcająco. Składały się nań: zdemolowana gospoda i kilkanaście rozbitych szlacheckich łbów. Wedle opowieści wachmistrza poszło o honor. Ba, o cóż innego mogło pójść w gospodzie?

Po przekroczeniu progu zdrożeni poszukiwacze ponoć przywitali się grzecznie z goszczącą w gospodzie szlachtą. Ponoć następnie równie grzecznie zapytali o Chaima. Ponoć w celu stopienia lodów na stole wyładował gamiec warki. Oczywiście na koszt Marka Nekla (w to ostatnie porucznik uwierzył bez zastrzeżeń).

Problem w tym, że szlachta mazowiecka, choć biedna, jest dumna z posiadanego herbu. Zatem panowie bracia z chłopami pić nie chcieli. A wiadomo, Kozak to cham i to jeszcze zbuntowany. Taka postawa, rzecz jasna, nie spotkała się ze zrozumieniem z strony Birkuta i Hańczy. Porucznik podejrzewał w głębi ducha, że ci dwaj w ten sposób rekompensują sobie brak udziału w powstaniu. Mroczek zaś nigdy nie potrzebował powodu, by przywalić komuś po gębie.

Krótko rzecz ujmując, cała trójka miała ubaw po pachy.

Hirsz dziękował Bogu, że po wszystkim nie spalili zabudowań, jak to miało miejsce kilka lat wcześniej na Podolu. Tylko on sam i starosta Barski wiedzieli, ile poszło wówczas na łapówki, by zatuszować zajście.

Porucznik uśmiechnął się do siebie. Sprawa Franciszka Hoppego była doskonałym pretekstem, żeby przykrócić im cugle. Jeśli ci narwańcy mają kogoś ubić, niech przynajmniej będzie z tego publiczny pożytek.

•

W urzędzie pocztowym panował tłok. Działo się tak zawsze, gdy przyjeżdżała nowa korespondencja. Tym razem ze Lwowa.

Wielka karetą z godłem królewskim przybyła po zmroku, z dwudniowym opóźnieniem. Jak zwykle, u przyczyn spóźnienia leżał fatalny stan koronnych dróg. Wprawdzie kolejne sejmy próbowały zaradzić temu stanowi rzeczy, ale zawsze kończyły się tylko na dobrych chęciach,

Joachim Hirsz dzięki znajomości z zastępcą poczmistrza nie musiał stać w długiej kolejce.



Przesyłka, zamówiona za pośrednictwem Ślepaka, mieściła się w niewielkim kuferku podróżnym.

Porucznik wziął skrzyneczkę pod pachę i opuścił urząd, kierując się do domu. Maszerował szybkim krokiem, nie zwracając uwagi na nielicznych przechodniów. Przy kościele Dominikanów, by skrócić drogę, skręcił w uliczkę biegnącą na tyłach zabudowań klasztornych.

Po kilkunastu krokach kątem oka dostrzegł ruch w zaułku, zamkniętym między kaplicą a ścianą kościoła. Przeciętny człowiek wziąłby to za grę cienia i księżycowego światła. Porucznik różnił się jednak od większości ludzi. Tym razem wyczuł gwałtowną śmierć.

Przystanął.

Zmrużył oczy. Po chwili odnalazł to, czego szukał.

W głębi uliczki leżał człowiek. Ciemność zacierała wszelkie szczegóły. Mogła to być ofiara porachunków wśród żebraków lub pobity podczas napadu przechodzień. Hirsza mało to obchodziło. To nie trup zwrócił uwagę porucznika.

Obok ciała, w załomie muru, mrok gęstniał w nienaturalny sposób. Zza tej zasłony ktoś go obserwował.

Hirsz sięgnął po pałasz i zrobił krok naprzód. Ostrzeżenie, które rozległo się wewnątrz jego głowy, brzmiało jak warknięcie bestii. Porucznik zastygł w pół ruchu i ostrożnie się cofnął.

Istota czająca się za zasłoną ciemności nie była człowiekiem ani zwierzęciem.

Zimny dreszcz przeszył Joachima. Porucznik spojrział na ciało leżące na ziemi. Temu nieszczęśnikowi nie mógł już pomóc. Zresztą nie był pewien, czy powinien.

To coś, czające się w mroku, wykazywało się zastanawiającą determinacją. Zwykle podobne istnienia unikały ludzi o jego talentach. Chyba że były bardzo głodne lub zdeorientowane po przejściu do tego świata. W obu przypadkach bezpieczniej było zejść im z drogi.

Hirsz obrócił się i szybkim krokiem wyszedł z zaułka. Serce waliło mu jak młot. Wspomnienia powróciły z bolesną wyrazistością.

Widował te stwory, odkąd tylko pamiętał. Różniły się wyglądem, wzrostem i usposobieniem, bywały tchórzliwe lub groźne, wszystkie jednak miały jedną wspólną cechę: żarłoczność.

Pamiętał dzień, w którym powiedział o nich matce.

Siedziała pochylona nad kociołkiem, mrużąc coś pod nosem. Bulgocząca zawiesina wypełniała pracownię mieszaniną odurzających zapachów.

Gdy skończył mówić, matka długo patrzyła na niego smutnymi szarymi oczami.

- Prosiłam Boga, żebyś nie był taki, jak ja - westchnęła z żalem. - Widać nie posłuchał mych prośb. Joachimku - przybrała ton, jakim zwykle karciała go za nieposłuszeństwo - nauczę cię, jak sobie z tym radzić. Obiecuje, że te stwory będą się trzymały od ciebie z daleka. Teraz jednak musisz przysiąc, że nigdy, ale to nigdy nikomu o nich nie powiesz.

- Nawet babci? - zapytał niepewnie.

- Nawet jej - przytaknęła.

- Przysięgam, mamó.

To była ich ostatnia rozmowa, a z demonami musiał radzić sobie sam.

Do rzeczywistości przywróciło go ciche syknięcie. Hirsz odruchowo sięgnął po broń i rozejrzał się badawczo. Stał pod swoim domem.

Marcin, posłaniec od Marka Nekla, wyłonił się z bramy niczym zjawa.

- Co tu wystajesz po ciemku? - zapytał Joachim ostrzej, niż zamierzał.

Wyrostek skulił się, jakby spodziewał się razów.

- Przyniosłem wiadomość od wielmożnego Nekla - odparł, pociągając nosem i wyjął za pazuchy list.

- Długo czekasz?

- Od południa, panie.

Hirsz domyślił się, że chłopak zapewne nic nie jadł od tego czasu.

- Mogłeś zostawić gospodarzowi.

Wyrostek pokręcił przecząco głową. Pod lewym okiem miał wielki siniak.

- Wielmożny nakazał oddać list do rąk waszych, panie.

Hirsz chwycił papier. Tym razem list nie był zapieczętowany.

W sieni nad schodami wisiała lampa. Joachim otworzył drzwi, stanął w mdłym blasku i zmużył oczy, by odcyfrować drobne pismo. Dwukrotnie przeczytał krótką wiadomość.

Zamyślony, schował papier do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Sięgnął do mieszka i rzucił wyrostkowi srebrną monetę. Chłopak schwył ją ze zreżuciością cyrkowej małpki. Zerknął na metal i jego twarz pojaśniała.

- Tylko nie roztrwoń od razu - mruknął Hirsz.

- Zawsze do usług jaśnie pana - zapewnił wyrostek. - Jakby co, wystarczy powiedzieć - rzucił przez ramię, zanim pochłonęła go ciemność.

Hirsz spojrział na zegar na wieży ratusza Nowego Miasta. Czas gonił, a on musiał szybko odnaleźć Birkuta lub Hańczę.

Śledzili go od trzech dni, na zmianę, żeby nie rzucić się w oczy. Przez cały ten czas Franciszek Hoppe zachowywał się jak zwykły kupiec, który zjechał do stolicy. Odwiedził ratusz, kilku rajców z konfraterni kupców zbożowych, a także parę siedzib magnackich. W ogóle nie interesował się ludwisarnią i tylko raz widziano go przy Arsenale. Z nikim tam jednak nie rozmawiał.

Tomasz Mroczek z irytacją podrapał się po głowie.

Tego wieczoru elblążanin odwiedził winiamię Kacpra Waltera.

Hoppe usiadł samotnie w rogu sali, twarzą do wejścia. Zdawał się nie zwracać uwagi na pozostałych gości. Wachmistrz dostrzegł jednak, że wzrok kupca co kilka chwil kieruje się ku drzwiom, może tylko z zawodowego nawyku.

Przy trzecim kufiu Mroczek zaczął się zastanawiać, czy Hoppe nie przyszedł tu tylko po to, żeby zalać robaka.

Z nudów przyglądał się czwórce mężczyzn, grających w karty przy sąsiedniej ławie. Już po chwili nabrał przekonania, że dwóch graczy to wspólnicy, a przy tym zawodowi szulerzy. Młodszy z oszustów wyglądał jak luteński kupiec z Pomorza lub Prus. Miał na sobie czarny, obszywany srebrną nicią kaftan i tegoż koloru spodnie. Za jego plecami wisiał przewieszony przez oparcie krzesła płaszcz, wart ładnych kilka florenów. Z pasa zwisał długi sztylet o fantazyjnie splecionym kabłąku. Jego cichy współnik, starszy o jakieś piętnaście lat, dla odmiany nosił się jak bogaty kmiot z Czerska czy Grójca.

Jednym słowem, czysta gratka dla wytrawnych warszawskich hazardzistów. Przynajmniej tak musieli myśleć dwaj pozostali gracze, gdy zasiadali z nimi do rozgrywki.

Spotkało ich rozczarowanie. Całkiem bolesne, wnosząc po stosiku monet piętrzących się przed starszym z szulerów. Za każdym razem, gdy zagamiał kolejną wygraną, potrząsał w zdumieniu łusą jak kolano czaszką, wytrzeszczał oczy i sapał z niedowierzaniem, głośno błogosławiąc Najświętszą Panienkę. Wypisz, wymaluj, prowincjusz obdarzony uśmiechem fortuny.

Sądząc po minach, dwaj frajerzy wyczuli już, że są robieni w wała. Mieli jednak do czynienia z prawdziwym wirtuozem. Również młodzieniec po mistrzowsku odgrywał swoją rolę. Pozornie to właśnie on przegrał najwięcej. Teraz nabzdyczył się, zerkając złowrogo na boki. Wachmistrz oceniał, że młodziak pozwoli na jeszcze trzy rozdania, zanim wywoła awanturę, która pozwoli szulerowi bezpiecznie ulotnić się z pulą.

Spojżenie Hoppego, do tej pory unoszące się i opadające w stałym rytmie, tym razem znieruchomiło na nieco dłuższą chwilę. Wachmistrz porzucił obserwację karciarzy, uniósł szklanicę

i mał krawędzi szkła spojrzął na wejście.

W progu stał mężczyzna około czterdziestki. Wachmistrz rozpoznał w nim podmajstra pracującego w ludwisarni.

Rzemieślnik zszedł po schodkach do sali. Nawet nie spojrzął w kął zajmowany przez Hoppego. Minął obojętnie kupca i zajął miejsce kilka ław dalej. Mroczek nie dostrzegł żadnej wymiany spojrzeń czy gestów wskazujących, że tych dwóch coś łączy.

Nagle ni stąd, ni zowąd młodszy oszust rzucił wiązaną przekleństw i wyrzucił ławę. Oczywiście stosik monet zdążył trafić przedtem do rąk łysego szulera. Chwilę potem awantura rozkręciła się na całego.

Wachmistrz, tknięty przecuciem, spojrzął w róg sali. Miejsce Franciszka Hoppego było puste.

Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi. Oczy skoczyły do drzwi, próbując w rogardiaszu wypatrzeć czarny kapelusz. Bez skutku. Mroczek zerwał się na równe nogi i bezceremonialnie roztrącając gości, ruszył do wyjścia.

Za drzwiami rozejrzył się po opustoszałym rynku. Szczęście mu sprzyjało. Hoppe maszerował żwawo wzdłuż wschodniej pierzei.

Wachmistrz, wyciągając nogi, ruszył za kupcem. Hoppe zmierzał ulicą św. Jana w stronę cmentarza farnego. Minął kamienicę biskupów poznańskich i dotarł do dwóch kamiennych słupów, wyznaczających grunta kościelne. Po prawej stronie pięła się ku niebu bryła katedry św. Jana, oblana mętną poświatą księżycy. Wzdłuż szczytowej północnej ściany biegła ścieżka.

Cmentarz znajdował się na placu za świątynią. Otaczał go parkan. Wachmistrz skrył się pod portykami, łączącymi kamienicę kanoników z cmentarzem. Wychylił głowę zza kolumny, obserwując poczynania Hoppego.

Elblążanin odbił w bok i ruszył wzdłuż parkanu, aż doszedł do miejsca, gdzie zaczynała się podmurówka katedry. Tam przystanął. Rozejrzył się na boki i do tyłu. Potem przykucnął i zaczął szperać przy ścianie.

Mroczek spał mięśnie do biegu, gdy nagle wyczuł czyjąś obecność za plecami. Wstrzymał oddech, żeby lepiej słyszeć.

Niemal nieuchwytnie szuranie podeszew o żwir nie pozostawiało wątpliwości. Dwóch mężczyzn, cięższy i lżejszy, stawiało ostrożne kroki, starając się podkraść niepostrzeżenie.

Mroczek obnażył zęby i obrócił się przodem do napastników. Rozpoznał sylwetki dwóch szulerów.

- Witaj, szczurze - wyszczał łysy, przybierając postawę doświadczonego nożownika.

Młodszy zajął pozycję przy jego lewym boku, unosząc długi sztylet. Cholera, mańkut!

Wachmistrz sięgnął pod płaszcz, wy dobył dwa noże.

Kątem oka dostrzegł trzy kolejne postacie, które pojawiły się w przejściu między dwoma rzędami domów kanonicznych. Mężczyźni zerwali się do biegu.

Łysy był niższy i o połowę lżejszy od wachmistrza. To zadecydowało. Mroczek błyskawicznie skoczył ku niemu. Szybkość, z jaką to uczynił, zaskoczyła mężczyznę.

Szuler pchnął sztychem, jednocześnie odchylając się, żeby umknąć zderzenia. Ruch ten wytrącił go z równowagi. Wachmistrz zablokował ostrze przeciwnika rękojęścią swojego lewaka i wbił drugi nóż w szyję staroego. Gdy wyrwał ostrze, strumień krwi tętniczej trysnął w twarz młodzieńca. Ten jednak zdążył wyprowadzić cięcie, którego Mroczek nie mógł już uniknąć.

Wachmistrz przekreślił się w bok i odchylił na tyle, żeby cios nie był śmiertelny. Ostrze sztyletu przecięło gruby płaszcz, kaftan i ze zgrzytem zahaczyło o żebra.

Szuler przesunął nogę wykroczną w przód i uderzył prawym łokciem, celując w szczękę. Elegant zdołał na czas schylić głowę, przyjmując cios na czoło. Mimo to siła uderzenia zamroczyła go na dwa oddechy. To wystarczyło wachmistrzowi.

Nóż w lewej ręce ciął od dołu, wbijając się w pachwinę.

Mężczyzna jęknął z bólu i osunął się na ziemię. Całe starcie nie trwało dłużej niż pięć oddechów. Wachmistrz przeskoczył nad ciałem, by przywitać kolejnych napastników.

Nie musiał. Z głębi ulicy Jezuickiej błysnął ogień.

Biegący na przdzie zbir grzmotnął o bruk. Zanim jeszcze ucichł huk wystrzału, z wylotu ulicy wyskoczył Birkut, wywijając obuchem. Pędzący wzdłuż muru cmentarnego mężczyźni znaleźli się w pułapce. Wyhamowali, nie wiedząc, komu wpierw stawić czoło.

Birkut przeciął ich dylemat. Wpadł między nich niczym szarżujący tur. Zbir z lewej, traiony barkiem w twarz, poleciał z impetem na parkan. Ostatni z elektorskich zamachnął się rapierem w próbie rozpaczliwej obrony. Zbyt późno. Obuch opadł ze świstem, przerwał gardę i wbił się z plaśnięciem w czaszkę.

Ten, który wylądował na parkanie, potrząsnął głową i wyciągnął przed siebie nóż.

- Żywcem - rzucił Mroczek.

Birkut zrobił krok ku mężczyźnie, zablokował rozpaczliwy cios, chwycił go za gardło i uderzył czołem w nos. Elektorski zalał się krwią i opadł bezwładnie, gdy tylko Kozak cofnął dłoń.

Z zadymionego wylotu Jezuickiej wysunął się Hańcza. W dłoniach dzierżył rusznicę.

- Co tu robicie? - burknął Mroczek. Hańcza wzruszył ramieniem.

- Porucznik nas przysłał, żeby cię zmienić. Coś pilnego mu wypadło. Już mieliśmy wchodzić do Waltera, ale zaciekało nas tych trzech.

- Sam bym sobie poradził.

Birkut posłał wachmistrzowi krzywy uśmiech.

- No to bez potrzeby poplamiałem sobie juchą ubranie.

- Gdzie Hoppe? - zapytał Hańcza. Wachmistrz spojrzał w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą klęczał szpieg. Oczywiście nikogo tam już nie było.

- Zwiął psubrat.

Mroczek oparł się dłonią o płot. Świeża rana paliła jak diabli przy każdym oddechu. Spojrzał na skulonego na ziemi elektorskiego.

- Sprawdź, czy dycha - polecił Birkutowi. Czubek buta wbił się pod żebro leżącego. Rozległ się jęk.

- Dycha - zameldował Kozak. Mroczek splunął zamasyżycie na bruk.

- No to teraz sobie pogadamy z kurwisynem.

# IV

Porucznik dotarł pod Nowe Jeruzalem tuż przed północą. Zatrzymał się w sadzie na skraju wsi. W wilgotnym powietrzu unosił się słodki zapach dojrzałych jabłek i gruszek.

Hirs przywiązał wierzchowca do drzewa. Zrzucił ubranie i wyjął z sakwy flakonik. Wysmarował dokładnie całe ciało płynem z flaszeczki. Resztką płynu spryskał ubranie. Specyfik ten, choć bezwonnny dla nozdrzy człowieka, niezawodnie dezorientował psy.

Potem Joachim stanął nagi w bladym świetle księżyca i czekał, aż płyn wchłonie się w skórę. W głowie wciąż tłukła mu się wiadomość, którą otrzymał od Marka Nekla. Wedle tej informacji Chaim ukrywał się w Nowym Jeruzalem. Co najbardziej zaskakujące, schronienia udzielił mu Jakub Szor.

Po kilkunastu pacierzach Joachim wdział ubranie, sprawdził broń, a następnie opuścił kryjówkę. Idąc na przełaj przez pola, wkroczył do wsi.

Przemknął bezszelestnie obok opłotków, ignorowany przez zaspane psy, aż dotarł na tyły domu rabina. Stała tam obszerna szopa. Porucznik obszedł ją dookoła, żeby sprawdzić, czy nie ma drugiego wyjścia. Potem bezszelestnie podkrał się pod drzwi. Były zamknięte od zewnątrz. Hirs sięgnął do wewnętrznej kieszeni kaftana i na wyczucie wybrał odpowiedni wytrych. Bacząc, by zachować kompletną ciszę, dobre trzy zdrowaśki mocował się z zamkiem. W końcu zapadka odsłodziła bezgłośnie.

Porucznik sięgnął pod płaszcz, po okutą pałkę. Ostrożnie uchylił drzwi, jednocześnie nasłuchując. Z egipskich ciemności nie dobiegał żaden dźwięk.

Płynnym ruchem prześlizgnął się przez próg.

Wyczuł ruch powietrza i uchylił się w ostatniej chwili. Coś długiego, chyba drąg, walnęło z trzaskiem o framugę drzwi. Hirs wykonał błyskawiczny półobrót i uderzył napastnika pałką w zębra. Trafił czysto. Jednak, ku jego zdumieniu, przeciwnik tylko jęknął i zamiast zgiąć się w pół, wyprowadził potężny cios.

Impet rzucił Hirsza na ziemię. Upadek wybił mu powietrze z płuc i zamroził. Pałka potoczyła się gdzieś w ciemność.

Wielki jak góra cień ruszył ku niemu z uniesionymi rękoma.

Joachim z jękiem przetoczył się przez prawy bok. Drąg opadł ze świstem, by odbić się od klepiska w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się porucznik.

Hirs, wciąż leżąc, wyprowadził kopnięcie w kolano. Ciężki, okuty but trafił w cel, tym razem ze spodziewanym efektem. Gardłowy okrzyk bólu przeszył ciemności. Olbrzym zachwiał się i runął na ziemię, wyciągając przed siebie ramiona. Jedna z mięsistych dłoni zacisnęła się na kostce porucznika i powlokła go po klepisku z siłą konia pociagowego.

Hirs wyszarpnął z bandoletu pistolet, przytknął do przedramienia mężczyzny i nacisnął spust. Huk wystrzału zmieszał się z rozdzierającym krzykiem.

Uwolniony z uścisku, porucznik odpełzył tyłem pod ścianę. Chwiejnie wstał na nogi i wy dobył drugi pistolet. Wycelowwał w olbrzyma leżącego na ziemi.

- Rusz się tylko, to rozwalę ci łeb! - wrzasnął, wyrzucając z siebie strach i napięcie.

Chaim nie odpowiedział. Leżał bez ruchu, chlipiąc niczym pobite dziecko. Wyglądało na to, że ma dość walki.

Porucznik, zaskoczony, zmarszczył brwi. Obszedł wielkoluda i stanął nad nim, celując z pistoletu. Zwróciła się ku niemu płaska, zaśliniona twarz idioty.

Hirs ścisnął kolbę pistoletu i trzasnął przeciwnika w skroń. Chaim stęknął, zanim rozpląszczył się bezwładnie na klepisku. Porucznik przez dłuższą chwilę stał nieruchomo z opuszczonymi

rękoma, oddychając głęboko.

Z zewnątrz dobiegły podekscytowane głosy. Zbudzeni przez huk wystrzału mieszkańcy przybywali w pośpiechu.

Porucznik wyszedł z szopy i obrzucił spojrzeniem zgromadzonych. Mężczyźni ściskali w dłoniach pochodnie, widły, siekiery. Dostrzegł również kilka rusznic w rękach przybyszów z Ukrainy. Tłum gęstniał, otaczając Hirsza zwartym półkolem. Szczęśliwie zanim ktoś zrobił głupstwo, na placu pojawił się Jakub Szor. Z lampą w rękę przepychał się przez ciżbę, wzywając mieszkańców, żeby rozeszli się do domów. Ludzie, choć z oporami, posłuchali wezwania. Wpierw pojedynczo, potem całymi grupami wracali do chat.

Joachim odetchnął z ulgą. Oparł się o ścianę szopy i cierpliwie czekał, aż plac opustoszeje. Chciał porozmawiać z rabinem na osobności. Kierowała nim zawodowa dociekiliwość, lecz pamiętał też o obietnicy danej Markowi Nekłowi. Sprawa była bowiem nadzwyczaj delikatnej natury. Oskarżenie rabina o współudział w rytualnym mordzie mogło wywołać pogromy Żydów nie tylko tu, w Warszawie, ale i na całym Mazowszu. Wszędzie co dzień giną dzieci, zdychają zwierzęta czy choćby tylko kwasi się mleko. Ludzie zaś chętnie składają winę na obcych: Żydów, czarownice czy arian. Porucznik sam najlepiej o tym wiedział. Ostatecznie w podobnych okolicznościach spalono jego matkę.

Jakub Szor podszedł do drzwi szopy.

Migotliwy blask lampy oświetlał ascetyczną twarz rabina. Ku zaskoczeniu Joachima, nie było to oblicze człowieka schwytanego na gorącym uczynku.

Rabin uklonił się nisko, lecz z godnością. Ciemne, czujne oczy zdawały się świdrować Hirsza na wylot.

- Padam do nóg waszmość pana - rzekł cierpkim tonem. - Zakładam, że miałeś waszmość słuszny powód, by strzelać po nocy.

Oczy Hirsza utraciły wszelki wyraz. Ach, tak chcesz pogrywać?

- Odnalazłem Chaima. - Porucznik wskazał ruchem głowy szopę. - Jak to powiadają: najciemniej jest pod latarnią.

Rabin zerknął w otwarte drzwi, nerwowym gestem pogładził brodę.

- Żyje?

- Owszem, i wkrótce będzie mógł mówić - wycedził złowróźnie Hirsch.

Żyd przymknął oczy, przybierając zamyślony wyraz twarzy.

- Ależ tak, to jedyne wytłumaczenie - wyszeptał jakby do siebie.

Uniósł powieki, patrząc na porucznika z niewinnością jagnięcia.

- Chłopak jest nieporadny jak dziecko. Pewnikiem do tej pory ukrywał się w lesie i głód go przygnał do wioski. Gdybyśmy odnaleźli go rankiem, bez zwłoki powiadomilibyśmy o tym pana starostę.

Hirsch z rozdrażnieniem zmarszczył brwi. Nie taki nieporadny, skoro o mało nie rozwalili mi łba, pomyślał.

- Czyja to szopa? - zapytał od niechcienia.

- Wspólnoty, całego kahału.

Porucznik szybkim ruchem chwycił mężczyznę za brodę i przyciągnął do siebie. Szor zapiszczał z bólu, młócąc powietrze rękami dla utrzymania równowagi.

- Czyli chcesz winą za ukrywanie mordercy obarczyć całą gminę - warknął złowieszczu Hirsch. - Zastanów się, Żydzie. Oj, dobrze się zastanów. Koptrowski tylko czeka na pretekst, żeby was najechać i spalić. A wierz mi, on nie żartuje.

Ciemne oczy rabina spochmurniały. Spod pomarszczonych powiek wypłynęły łzy.

- Przyznaję, ukrywałem Chaima - wyjęczał, gdyż porucznik nie zwolnił chwytu. - Inni nic nie wiedzieli.

- Wytlumacz mi jedno - zaszczał Hirsch. - Wyrzekasz się córki, a potem udzielasz schronienia człowiekowi, który ją pomścił. Gdzie tu sens?

- Bo on jest bez winy - wydyszał Szor.

Joachim zrobił głęboki wdech. Takiej odpowiedzi nie spodziewał się usłyszeć. Zaskoczony, puścił brodę mężczyzny. Starzec, pozbawiony oparcia, upadł w błoto.

Hirsch stał nieruchomo z opuszczonymi rękoma, wpatrując się w drżącego u jego stóp człowieka.

- Skąd ta pewność?

Szor uniósł głowę. Wyraźnie toczył jakąś wewnętrzną walkę.

- Tamtej nocy, gdy napadnięto na Augustyna Kozerskiego, Chaim był w moim domu. O mało go nie ubili wtedy nad stawem. Przez dwie niedziele nie wstawał z siennika. Tylko Bóg wie, jakim cudem nie utopił się i zdołał dotrzeć aż tutaj.

- Skoro jest niewinny, to czemu zataiłeś tę informację? - spytał sceptycznie Hirsch.

W oczach Żyda błysnęła drwina.

- Okaleczono szlachcica, a wkrótce ubito inszego. Obaj brali udział w gwałcie na Miriam. Znasz waszność sąd w Rzeczypospolitej, który dałby wiarę moim słowom?

Hirsch musiał przyznać rację takiemu rozumowaniu.

- Czyli Brodowskiego również nie ubił? Rabin przytaknął, nie odrywając oczu od ziemi.

- Tak, panie. Noc w noc zamykałem go w szopie.

Hirsch zasepił się. Instykt podpowiadał mu, że Jakub Szor mówi prawdę. Z drugiej strony zawodowa ostrożność nakazywała potwierdzić te rewelacje w obecności oprawcy.

Jakby nie patrzeć, tracił właśnie jedynego podejrzanego. Żaden śledczy nie przyjmuje takiego faktu z radością.

Upłynęła dłuższa chwila, nim Joachim powziął decyzję.

- Każ przygotować wóz z woźnicą - polecił. - Zabieram Chaima do Warszawy.

Jakub Szor podniósł się chwiejnie. Otarł dłonią czoło, zostawiając na skórze brudną smugę.

- Mogę pożegnać się z żoną? - zapytał spokojnie.

- Nie musisz. Zabieram tylko chłopaka. Rabin spojrzął na oficera z niedowierzaniem.

- Nie pójdę do więzienia? Hirsch wzruszył ramionami.

- Tego nie mogę obiecać. O tym zadecyduje starosta. Musisz też potwierdzić swoje zeznania przed sędzią grodzkim.

- Co będzie z Chaimem? - W głosie rabina brzmiał szczerzy niepokój.

- Póki nie odnajdę mordercy, będzie bezpieczniejszy w więzieniu. Pan Koptrowski to wielce niebezpieczny człowiek. Gdyby się dowiedział, żeś ukrywał chłopaka, twe życie nie byłoby warte złamanego...

Przerwało mu bolesne kwilenie, dochodzące z wnętrza szopy. Jakby przebudziło się olbrzymie, głodne niemowlę.

A ja mam być jego cholewą niańką.

Spojrzął na Szora. Niemy wyrzut, wyzierający z oczu rabina, bynajmniej nie poprawił mu nastroju.

- Dobra, znajdź mu jakiegoś medyka.

.

Wyjechali z osady o świcie, kierując się na północ.

Porucznik celowo wybrał boczną, mniej uczęszczaną drogę. Zamyślał dojechać do traktu Sochaczewskiego i przy mostku nad Dmą odbić w kierunku Warszawy.

Zgodnie z oczekiwaniami, po drodze napotkali tylko kilku parobków, pędzących stada na

pastwiska. Po dwóch kilometrach gliniana droga opuściła grunta ome Woli i wsunęła się w las; własność folwarku starościńskiego.

Otwarty wóz kolebał się na boki, koła grzęzły w błocie aż po osie. Chaim leżał na dnie, obwiązany sznurami niczym połów szynki. Wprawdzie medyk nieco go opatrzył, lecz i tak z każdym mocniejszym podrzutem spod ławki woźnicy dobiegało żalosne pojękiwanie.

Porucznik jechał wierzchem z tyłu. Przez całą drogę rozmyślał nad dalszym postępowaniem.

Wciąż był zdecydowany poddać Chaima torturom, lecz w głębi ducha uwierzył już w niewinność chłopaka.

Niespodziewanie woźnica szarpnął za lejce, zatrzymując wóz. Hirsz zdziwiony poderwał głowę.

Z chaszczy porastających pobocze traktu wypadło pięciu zbrojnych. W jednym z nich Joachim rozpoznał Jana Koptrowskiego.

Poczuł zimy ucisk w żołądku.

Pochylił się w siodle, sięgając do olster po pistolety. Było jednak za późno.

- Ostaw to - powstrzymał go chrapliwy głos zza pleców.

Hirsz zastygł w pół ruchu. Następnie powoli obrócił się w siodle. Ujrzał draba, mierzącego do niego z rusznicy. Nie wyglądał na takiego, co chybia z kilku kroków. Porucznik rozłożył ręce tak, by strzelec widział puste dłonie.

Koptrowski podszedł do wozu.

Przez dłuższą chwilę w zaciętą twarzą wpatrywał się w Chaima. Następnie spojrzał na porucznika. Zmierzyli się wzrokiem.

- To więzień pana starosty. Tylko on ma prawo do niego - oznajmił Hirsz.

Szlachcic wykrzywił twarz.

- Sram na to, mości instygatorze. Prawo jest tam, gdzie siła. Ta zaś, jak widzisz, jest przy mnie. Zsiadaj z konia, oddaj broń i nie rób głupstw, a nie stanie ci się żadna krzywda.

Hirsz zagryzł wargi. Propozycja była kusząca.

- Słowo szlachcica, mości Koptrowski?

- Słowo.

Porucznik zeskoczył z siodła i pozwolił się rozbroić. Odwrócił wzrok, żeby nie widzieć przerażonej twarzy Chaima.

W tym czasie pacholek Koptrowskiego usadowił się obok woźnicy. Wskazał ostrzem szabli leśną dróżkę odchodzącą od traktu.

- Skręcaj tam - polecił.

Porucznik chwycił wodze i pociągnął za sobą wierzchowca. Nim upłynęły dwa pacierze, cała kolumna zanurzyła się w las.

Przesieka prowadziła do polanki. Pośrodku wolnej przestrzeni stał dąb o szerokim pniu i grubych konarach. Obok drzewa uwiązane konie skubały trawę.

Wokół wozu zgromadzili się zbrojni. Kilku mężczyzn chwyciło Chaima i ściągnęło go brutalnie na ziemię. Posypały się razy i kopnięcia.

Porucznik odwrócił wzrok.

- Skąd waszmość wiedziałeś? - zwrócił się do Koptrowskiego.

Stary chytrze zmużył oczy.

- A co myślałeś acan, żeś kiep ostatni? Przekupiłem paru parobków, chrześcijan, co u Żydów się zajmują do roboty.

- Urząd, który piastuję, nie pozwala mi być świadkiem tego, co tu nastąpi.

- Rozumiem - odparł z sadystycznym uśmiechem szlachcic. Machnął ręką do zbrojnych dręczących chłopaka. - Walery, Grzegorz, odprowadźcie pana instygatora na bok.

Obaj wywołani nie kryli zawodu. Wyglądali jak wilki, którym właśnie zabrano jagnię.

Walery chwycił porucznika za ramię. Joachim wyrwał się szarpnięciem.



- Puszczaż, chامية, sam pójdę - wycedził.

Przedarli się przez krzaki okalające polanę i odeszli kawalek duktem wydeptanym przez samy. Hirsz naliczył ponad sto kroków, gdy ciszę rozdarło wycie Chaima.

Walery obrócił głowę i westchnął żałośnie.

Joachim zatrzymał się nagle i uderzył z łokcia w skroń mężczyzny. Walery nawet nie jęknął, gdy padł na ściółkę.

Grzegorz sięgnął po szablę, choć pistolet byłby w tym przypadku lepszym rozwiązaniem. Zdołał wydobyć żelazo na piędź. Hirsz bowiem nie zawsze grał honorowo. Z półobrotu wyprowadził kopniak w krocz Grzegorza. Ten pobałdł, wybałuszył oczy, a na koniec skurczył się jak worek, z którego wypuszczono powietrze. Kolejne kopnięcie w głowę rozpląsało pacholka na ziemi.

Porucznik zabrał szablę, dwa pistolety i rusznicę, resztę broni rozrzucił po krzakach. Pospiesznie zawrócił w kierunku polanki.

Podkrał się do ściany zieleni. Pochylił się do przodu i rozsunął lufą rusznicy plątaninę gałęzi. Ogarnął spojrzeniem polanę.

Niemal sapnął z zadowolenia. Miał wszystkich jak na talerzu. Stali odwróteni plecami, obserwując, jak Koptrowski osobiście oprawia nożem ofiarę. Chłopak kwiczał jak zarzynana Świnia.

Hirsz przyłożył kolbę do barku. Musiał zabić kogoś na postrach. Poszukał wzrokiem draba, który go podszedł od pleców na trakcie. Nagle poczuł skurcz w dołku. Brakowało go wśród patrzających.

Bardziej wyczuł, niżli usłyszał człowieka za plecami.

Potężny cios w głowę zbił go z nóg, gorąca krew zalała kark. Odruchowo napiął mięśnie brzucha i skulił się, chroniąc czaszkę ramionami.

Chwilę potem seria kopnięć odebrała mu dech w piersiach. Niemal słyszał trzask pękających żeber. Okrzyki i tupot nóg nadbiegających mężczyzn docierały do niego jak z oddali.

- Nie ubijcie go tylko - rozpoznał władczy głos Koptrowskiego. - Choć głupi, to przecie szlachcic.

Hirsz uniósł głowę, by spojrzeć w twarz starego lisowczyka. Nie zdołał, ciemność dopadła go wcześniej.

•

Ocknął się z potwornym bólem czaszki. Gorzki smród uświadomił mu, że leży we własnych wymiocinach. Walcząc z omdlałymi mięśniami, podparł się na łokciach i kolanach. Zastygł w tej pozycji, dysząc chrapliwie. Trwało kilka długich minut, zanim zdecydował się na dalszy ruch. Powoli wstał z klęczek na równe nogi.

Niebo wirujące nad koronami drzew przybrało szary odcień. Nadchodził zmrok.

Joachim wnętrzem dłoni dotknął miejsca z tyłu czaszki, skąd rozchodził się pulsujący ból. Włosy sklejone krwią i błotem tworzyły twardy pancerz. Krzywiąc się, pomacał guza wielkości śliwki. Odetchnął z ulgą. Czaszka wytrzymała uderzenie. Kilka dni odpoczynku i będzie jak nowy.

Spojrzął na Chaima leżącego na ziemi, od pasa w dół umazanego we własnej krwi.

Koptrowski wyraźnie wyznawał dewizę: Oko za oko, ząb za ząb. W ustach chłopaka tkwił krwawy strzęp. Najbardziej wstrząsające były jednak oczy. Wciąż otwarte, patrzyły na porucznika z wyrzutem.

Hirsz odwrócił głowę i splunął.

Po lewej stronie wśród chaszczki rozległo się znajome rżenie. Porucznik zmarszczył brwi i ruszył powolutku w kierunku dźwięku.

Został tam swojego wierzchowca. Zwierzę spokojnie skubało trawę, uwiązane do drzewa.

Jedno trzeba było Koptrowskiemu przyznać: złodziejem nie był i na swój własny sposób

pojmował szlachecki honor.

Hirsch, zaciskając zęby, wspiał się na siodło.

Na skraju drogi napotkał wywrócony wóz. Po woznicy nie było śladu. Hirsch miał nadzieję, że udało mu się ująć cało z opresji.

Lekkim pchnięciem łydek dał znać zwierzęciu, by ruszyło stępa. Czekala go powolna, bolesna droga.

# V

Gorączka ustąpiła trzeciego dnia.

Cyrulik orzekł wstrząśnienie mózgu i nakazał bezwarunkowy wypoczynek. Hirsz, stosując się do tych wskazań, leżał w łóżku czytając *La Gazette*: tygodnik wydawany w Paryżu. Nowinkę ową sprowadziła do Warszawy królowa.

Maria Ludwika wraz ze swymi francuskimi dworzanami łaknęła najnowszych wieści z ojczyzny. Wkrótce czytanie owego periodyku stało się modne także wśród Polaków. Hirsz, jak większość panów braci nieufny wobec nowinek z Zachodu, tę akurat przyjął z ukontentowaniem. Zwłaszcza że najnowsze wieści z Francji były nader ciekawe.

Paryż spłynął krwią. Powstanie mieszczan, skierowane przeciw polityce kardynała Mazariniego, zostało brutalnie stłumione przez wojska księcia Kondeusza.

Porucznik napawał się właśnie barwnym opisem wjazdu księcia do upokorzonego miasta, gdy od lektury oderwało go natarczywe pukanie do drzwi.

- Wejść, otwarte.

Do izby wszedł Mroczek. Wachmistrz sprawiał wrażenie poruszonego. Kilkoma długimi krokami podszedł do łóżka oficera.

Porucznik wskazał mu krzesło.

- Siadaj, Tomaszu. Stało się coś? Wachmistrz przysiadł ze stęknięciem, rozprostowując nogi w kolanach.

- Ubito młodego Koptrowskiego. Właśnie dostałem wiadomość.

Porucznik, choć w głębi duszy obawiał się takich wieści, usiadł gwałtownie. Przyplącił to bólem czaszki. Skrzywił się z wściekłością.

- Jak, gdzie, do cholery? - warknął.

- W burdelu na Rybakach, u starego Kosina.

- Pochwycono kogoś?

Mroczek zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie.

- Podaj mi strój, ten cudzoziemski - poprosił Joachim.

Stęknął, gdy opuścił stopy na podłogę. Z pomocą wachmistrza wstał na nogi, nałożył spodnie, kaftan, pas z olstrami. Całość okrył płaszczem. Zerknął w lustro, ukontentowany.

- Co z Hoppem? - zapytał. Mroczek pokręcił głową.

- Wciąż nic. Wsiąkł psi syn jak kamfora. Straż marszałkowska wprawdzie obstawiła drogi, ale tak sobie miarkując: na nic to się zda. Dziś rano z poselstwa brandenburskiego wyjechała poczta dyplomatyczna do Królewca. Strzegło jej dwa razy więcej dragonów niż zwykle. Założę się, że Hoppe był w środku.

- W takim razie to już nie nasza rzecz, Tomaszu. Na najbliższym sejmie szykuje się niezła chryja.

- Wątpię, by sejm rozdmuchiwał tę sprawę, Joachimie. - Senatorowie i szlachta myślą już tylko o wolnej elekcji. Obaj bracia Władysława pragną dla siebie tronu i żaden nie myśli ustąpić drugiemu. Kanclerz Ossoliński i królowa popierają Jana Kazimierza, lecz może to nie wystarczy, by ten uzyskał tron. Chodzą słuchy, że kanclerz Ossoliński szuka dla tej kandydatury poparcia u Chmielnickiego. Ponoć obiecał hetmanowi, że Jan Kazimierz po koronacji zatwierdzi przywileje dla Kozaków.

Hirsz przypomniał sobie słowa Katarzyny Tarskiej sprzed kilku dni. Zmarszczył z troską czoło.

- Też słyszałem o tych rozmowach. Jak widać, nie takie one tajne. Do złego to wszystko

zmierza, Tomasz. Na Wołyniu stoi trzydzieści tysięcy żołnierza, głównie pospolitego ruszenia, i wojsko nadworne. Może być z tego rokosz. Wiśniowiecki już kilka lat temu groził, że Warszawę z wojskiem najedzie.

Wachmistrz pokiwał głową.

- Coś w tym jest. Od kilku dni jacyś ludzie rozpuszczają po gospodach pogłoski, jakoby kanclerz Ossoliński wydał instrukcję oficerom królewskim, żeby unikali walki z Kozakami. Wieści takowe wielki zamęt czynią w umysłach panów braci.

Zesli po schodach do sieni i skorzystali z tylnych drzwi. Przecięli na ukos podwórze, okrążyli stajnie i przez zaułek na tyłach warsztatu dekarckiego wyszli na kościół św. Anny. Dalej ścieżka prowadziła wzdłuż niskiego kamiennego murku. Minęli furte otwartą na plac świątynny i znaleźli się na skraju skarpy.

W dole Wisła toczyła wartko ciemne wody. Na skutek ostatnich deszczów rzeka nieco wylała. Szczęśliwie jednak od trzech dni pogoda się poprawiła i Rybakom oraz Podgórzom nie groziło podtopienie.

W dół prowadziła ścieżka wryta w pochyłości.

U podnóża skarpy stanęli na niebrukowanej drodze, upstrzonej licznymi kałużami. Nadbrzeże przywitało ich odorem zgniłych ryb i suszących się na palach sieci. Ruszyli w kierunku placu Mostowego przez szpaler parterowych, drewnianych budynków.

Zostawiwszy za plecami osadę rybacką, po kilkuset krokach dotarli do kwartału kupieckiego. Domy tam stojące były lepszej konstrukcji, często piętrowe. Po wąskich zaułkach przewalały się tłumy handlujących i kupujących.

Przeskoczyli rynsztok i zanurzyli się w labiryncie kramów, warsztatów i tawern. Mroczek szedł pierwszy, torując drogę oficerowi. Potężna sylwetka wachmistrza rozgarniała tłum niczym lemiesz ziemię. Dzięki temu już po paru pacierzach stanęli w cieniu tawerny „Pod Bykiem”. Rzeczywiście nad drzwiami wisiał kawałek drewna, przypominający z grubsza owo stworzenie.

Budynek był dwupiętrowy, osadzony na solidnych fundamentach. Porucznik znał to miejsce.

Karczmarza cieszyła się dużą popularnością na Rybakach. Podawano tu nieźle żarcie oraz napitek, a i dziewczki usługujące przy stołach nie należały do najcnotliwszych. Były też minusy. „Pod Bykiem” zbierał się kwiat tutejszego półświatka i ten, co tu wchodził, nie zawsze stąd wychodził.

Porucznik poprawił broń, zanim wszedł do wnętrza. Pchnął dwuskrzydłowe drzwi, stanął w progu i zlustrował obszerną salę. Tawerna świeciła pustkami. Niezwykła rzecz, nawet zważywszy na wczesną porę dnia. Domyślił się, że tutejsi bywalcy woleli unikać przedstawicieli sprawiedliwości. Przy ławach siedziało tylko paru pacholków w barwach straży miejskiej. W łapskach ściskali kufle piwa.

Mroczek podszedł do chudego rudzielca. Młodzian na ich widok poderwał się na nogi, rozlewając napitek.

Porucznik specjalnie się nie dziwił tej nerwowej reakcji. Wachmistrz cieszył się zasłużenie opinią gwałtownika.

- Kto tu komenderuje? - warknął Tomasz Mroczek tonem, który zastraszyłby pruskiego grenadiera.

Rudzielec pociemniał na twarzy.

- Hutman Szymura, waszmość - jęknął.

- Gdzie on teraz, psi synu?

- Pacholek drżącym paluchem wskazał na wnękę za szynkwasem.

- W kantorze przy sieni, przesłuchuje karczmarza.

Hirsz dał znak, by wachmistrz mu towarzyszył. Korytarz za szynkwasem prowadził obok kuchni i spiżarni do przestronnej sieni, wychodzącej na podwórze. Przez otwarte drzwi Hirsz dojrzał okna sutereny po drugiej stronie placu. W jednym oknie stał chłopiec o kręconych blond włosach. Po

łobuzerskiej buźce wyrostka błąkał się grymas, którego znaczenie wymykało się porucznikowi. Nagle kobieca ręka chwyciła cherubinka za drobne ramie i odciągnęła od parapetu.

Wachmistrz tymczasem bezceremonialnie pchnął drzwi do kantoru. Wkroczyli do załanej światłem izby. Pomieszczenie pomimo krat w oknach było przytulne i czyste. Centralną część izby zajmował stół, odgradzający od siebie Kosina i Szymurę. Łączył ich natomiast bez wątpienia dzban wina. Sądząc po czerwonych gębach, mocno już napoczęty.

Hirsz zmrzył oczy, mierząc mężczyźn surowym wzrokiem.

Zażyłość hutmana z niektórymi członkami półświatka była powszechnie znana. Józef Szymura posiadał dom przy kościele Franciszkanów i parę kramów na rynku Nowego Miasta. Szeptano też, że przymierza się do kupna kamienicy za murami Starej Warszawy, a tam grunta były horrendalnie drogie. I to wszystko z lichego uposażenia hutmana Nowego Miasta.

Starszy nad strażą nie wydawał się szczególnie przejęty faktem, że go nakryto w dwuznacznej sytuacji.

- Czekaliśmy na waszmościów, - Przechylił kubek, dopił do dna. - Dołączcie - dodał beczelnie, wskazując na dzban.

- Jesteśmy na służbie, podobnie jak ty - przypomniał Hirsz, kątem oka dostrzegając grymas rozczarowania na twarzy Mrocza.

Szymura wzruszył obojętnie ramionami.

- Co tu się dokładnie stało? - zapytał Hirsz. Mężczyźni przy stole wymienili ukradkowe spojrzenia.

- Ciężko rzec. Ciała znalezione nad ranem. -Hutman zamilkł, jakby zmagał się ze wspomnieniem. - Chłopak wygląda naprawdę paskudnie -dodał po chwili ochrypłym głosem.

- Ciała? - zapytał Hirsz.

Szymura uniósł oczy. Wyzierał z nich strach.

- Tak, prócz szlachcica ubito jeszcze dziewczkę. W życiu czegoś takiego nie widziałem. To musiał zrobić sam diabeł.

Hutman otrząsnął się jak mokry pies. Chwycił gašior, napełnił swój kubek i opróżnił jednym haustem.

Zimny dreszcz przebiegł Hirszowi po plecach. Szymura zaciągnął się do milicji jeszcze za panowania króla Zygmunta, a hutmanem był od lat z górą dziesięciu. Takiego człeka nie przerażało byle morderstwo.

- Gdzie są ciała? - zapytał porucznik.

- Na piętrze - odparł Szymura raźniejszym głosem. Podniósł się niechętnie z krzesła. - Chodźmy, sami obaczycie, w czym rzecz.

Wrócili do głównej sali. Kosin został za szynkwasem, a Hirsz, Mroczek i Szymura wspięli się po schodach na małą galeryjkę. Dalej biegł krótki korytarz, z którego prowadziło czworo drzwi. Stanęli przy ostatnich po lewej.

- Mam nadzieję, że jeszcze nic nie jedliście - mruknął Szymura.

Przekreślił klucz i weszli do izby.

W pomieszczeniu unosił się duszący smród. Na podłodze, kilka kroków od drzwi, leżała naga dziewczyna. Ładna, choć nieco zbyt chuda. Miała złamany kark. Innych obrażeń porucznik nie dostrzegł.

Porucznik podniósł głowę i spojrział na młodego Koptrowskiego. Kilka dni temu widział niemal identyczną scenę. Denat leżał na łożu, skrepowany i wykastrowany, z własnym przyrodzeniem w ustach. Po jego ciele krążyły setki tłustych much.

Morderca właśnie przekazał im wiadomość.

- Kurwi syn powiadomił nas, że żyje i ma się dobrze - zza pleców rozbrzmiał wściekły głos Mrocza.

- Czyli to nie pierwszy raz? - wypalił zaskoczony hutman.

Hirsz nie odpowiedział. Czuł, że zaraz omdleje. Podszedł do okna i szarpnął okiennicę. Owiął go podmuch oczyszczającego powietrza. Porucznik zrobił parę głębokich oddechów, wpatrując się w panoramę Starej Warszawy. Kościoły, baszty i kamienice, osadzone na koronie skarpy, tonęły w słonecznym blasku.

Po kilku chwilach porucznik doszedł do siebie. Odwrócił się i wbił wzrok w Szymurę.

- Czy w nocy ktoś był w sąsiednich pokojach?

- Za ścianą używał sobie kompan Koptrowskiego.

- Gdzie on? - spytał, choć domyślał się odpowiedzi.

- Kosin mówi, że to on odkrył ciała. Zaraz potem zbiegł na dół z wrzaskiem, wskoczył na konia i popędził, jakby gonił go sam diabeł.

Porucznik przeniósł spojrzenie na wachmistrza.

- Poślij go Hańczę i Birkuta. Niech wezmą broń. Będziemy mieli gości.

- Już to uczyniłem, zanim przyszedłem do pana, instygatorze.

Hirsz z aprobatą skinął głową. Ponownie skupił uwagę na Szymurze. Intuicyjnie wyczuwał, że hutman coś zataja. Nagle pojął, gdzie tkwiło niedomówienie.

- Co z trzecim pokojem?

Twarz hutmana stężała na jeden oddech.

- Tej nocy był tam pewien mieszczanin - przyznał niechętnie.

- Znaczy kto?

Szymura przybrał fałszywie strąpioną minę.

- Kosin nie chce zdradzić.

- A ty nie nalegałeś - zakpił Hirsz. Józef Szymura wysunął zaczepnie szczękę.

- Imputujesz coś waszmość? Porucznik uśmiechnął się paskudnie.

- Bynajmniej, Szymura, bynajmniej. Dziwię się jeno.

Hutman zmierzył go twardym spojrzeniem.

- Znam Kosina od dwudziestu lat, poruczniku. Jeśli nie wyjawiał mi nazwiska, oznacza to jedno:

chodzi o kogoś z ratusza. - Pochylił się konfidencjonalnie ku Hirszowi. - O człowieka, z którym le piej nie zadzierać.

Joachim łypnął na Szymurę rozeźlony, choć rozumiał ostrożność hutmana. System prawno-sądowy Warszawy przypominał pajęczą sieć. Trzeba było uważać na każdy ruch, żeby nie potrącić niewłaściwej nitki. Obecność w jednym miejscu króla, marszałka koronnego, starosty, burmistrzów nowej i starej Warszawy, rad miejskich, instygatora oraz kilku rodzajów sądów tworzyła koszmarną kompetencyjny. Wzajemne przenikanie się i rozmywanie uprawnień tyłu potężnych graczy zmuszało do daleko posuniętej rozwagi.

Porucznik przez dłuższą chwilę zastanawiał się, czy nie posłuchać dobrej rady. Tajemniczy męczyszna prawdopodobnie nie miał nic wspólnego z morderstwami. Zapewne znalazł się po prostu w nieodpowiednim czasie i niewłaściwym miejscu. Ot i wszystko.

Porucznik postanowił odłożyć na później sprawdzanie tożsamości owego człowieka. W skrytości ducha żywił nadzieję, że dowie się wystarczająco wiele bez potrzeby drażenia tego tematu.

- Przejmuję tę sprawę z mocy nadanego mi urzędu - wyrecytował zgrabną formułkę. - Wpierw chcę przesłuchać dziewczyny pracujące na pięttrze, potem Kosina.

- Twoja wola, waszmość. - Hutman zamilkł, potarł ze złością czoło. - Ubity szlachcic to nie moja rzecz - podjął po chwili, wskazując palcem na dziewczynę - jednak mord dokonany na tej nieszczęsnej podlega miejskiej jurysdykcji, chyba że... - znacząco zawiesił głos.

Hirsz doskonale wiedział, co uwiiera hutmana. Nad tą sprawą unosiło się widmo czarów. Szymura był zaś człkiem ostrożnym, niechętnie mieszającym się w sprawy, których nie pojmował.

- Sprawę dziewczki również biorę na siebie - zadeklarował się porucznik. - Ty i twoi ludzie może

cie wracać do swoich obowiązków.

Na mięsistej twarzy hutmana odmalowała się ulga. Nie pozostało już nic do dodania. Zeszli na parter do głównej sali. Kosin stał za szynkwasem. Wysoki, barczysty,

O rzadkich, przetłuszczonych włosach, bardziej przypominał zbira niżli karczmarza. W łapskach międlili nerwowo brudną szmatę.

Szynkarz obrzucił chytrym spojrzeniem hutmana. Najwyraźniej to, co wyczytał z jego oblicza, zaniepokoiło go, gdyż pobladł.

Porucznik zaczękał, aż Szymura z pachółkami opuści gospodę.

W drzwiach wychodzący minęli się z Birkutem i Hańczą. Kozacy taszczyli ze sobą tyle broni, jakby wybierali się na łupienie Krymu. Obaj też wyglądali na mocno zmęczonych. Nietrudno było się domyślić przyczyn owego stanu rzeczy.

- Spaliśmy - mruknął oskarżycielsko Hańcza w stronę wachmistrza.

- Łeb mi pęka - zawtórował mu Birkut, zanim usiadł całym ciężarem na ławie. Rozeschnięte drewno zatrzeszczało boleśnie.

Olbrzymi Kozak rozejrzał się otepiałym wzrokiem po szynkwasie, zatrzymując spojrzenie na beczce z winem. Hańcza podążył za jego spojrzeniem i obliznął się wymownie.

Porucznik nie pozostał nieczuły na ten niemy apel.

- Nalej im po jednym kuflu - rozkazał Kosinowi. - Teraz chcę przesłuchać dziewczki pracujące wczoraj na piętrze.

- Przywołać je? - zapytał gorliwie Kosin.

- Sam pójdę, gdzie są?

- W suterenie na podwórzu. Pewnikiem odsypiają noc.

Hirsz zwrócił się do wachmistrza:

- Tomaszu, dopilnuj, by nikt nie wchodził ani nie opuszczał budynku.

Kosin załamał rękę.

- A co z klientami? Kto zapłaci za straty?

- Wystawimy ci pokwitowanie - zakpił Mroczek.

Kosin zaklął pod nosem, nerwowym ruchem chwycił za kuflę i zajął się nalewaniem wina.

Hirsz opuścił salę i wyszedł przez zaplecze na podwórze. Plac zastawiony był pustymi beczkami i skrzynkami. Porucznik dotarł do drzwi suterenu, pchnął je dłonią i wkroczył do ciemnej sieni. Drugie drzwi prowadziły do obszernej, słabo oświetlonej izby.

Wewnątrz przywiał go zapach wilgoci i ziół.

Na podłodze leżały równo ułożone sienniki. Nad kominkiem suszyły się niewymowne części kobiecego ubioru.

Sześć kobiet obrzuciło porucznika wystraszonymi spojrzeniami. Wszystkie zgromadziły się wokół prowizorycznego kominka. Nad ogniem wisiał kociołek, w którym bulgotała jakaś ciecz. Kobiety przysunęły się do siebie i zasłoniły ogień. Uczyniły ten ruch bezwiednie, wszystkie naraz, jakby nie chciały, żeby coś zobaczył.

Joachim pociągnął nosem, żeby się upewnić. Rozpoznał mieszaninę ziół zapobiegających ciąży i posmak magii. Podobny zapach unosił się w pracowni jego matki, gdy przyjmowała młode kobiety o czerwonych policzkach i wzburzonych oddechach.

Nagle wspomnienie wywołało ucisk w okolicach mostka.

- Które z was pracowały w nocy na piętrze? - zapytał ostrym tonem.

Odpowiedziało mu głucho milczenie.

Hirsz zauważył, że kobiety zerknęły na jedną z towarzyszek. Sprawiała wrażenie przywódczyni. Porucznik właśnie na niej skupił nieruchome, ciężkie spojrzenie.

Dziewka była całkiem ładna, choć nieco za pulchna jak na gust Joachima. Kruczoczone włosy splecione w warkocze opadały na dekolt sukni. Pod lnianym materiałem rysowały się ciężkie, obfite

piersi. Minęła dobra chwila, zanim Hirsz zdołał podnieść wzrok. Napotkał pobłażliwy uśmiech. Niewątpliwie ta niewiasta znała swe atuty.

- Byłyśmy tam we trzy, panie. Ja, Marta - wskazała palcem na stojącą u jej boku wysoką kobietę - no i oczywiście Mańka. To ta, którą ubito, wielmożny panie - dodała ku wyjaśnieniu.

Hirsz przeniósł wzrok na Martę. Na oko dobiegała trzydziestki, choć dzięki kręconym złotystym włosom, zgrabnej figurze i miłej aparycji wciąż mogła wzburzyć krew w mężczyźnie.

- Która z was była w izbie za ścianą?

- Ja, panie - odparła kruczowłosa.

Joachim ponownie skupił wzrok na ładnej twarzy, walcząc z chęcią opuszczenia oczu.

- Widziałaś kogoś lub słyszałaś jakieś odgłosy? Ciemne oczy zaiskrzyły wyzywająco.

- A jakże, panie, słyszałam. Robili to tak głośno, aż ściany trzeszczały. Mańka krzyczała, jakby chędożył ją jakowyś Bachus czy inszy czort. Mężczyźni lubią myśleć, że są w tym najlepsi.

Porucznik nie skomentował, a czarnulka przywołała na twarz zdawkowy uśmiech.

- Mańka jednak przesadzała, rozumiesz, panie. Pewnikiem dlatego, że zanim tu trafiła, grała z komediantami po targach. Za aktorkę się miała, głupia.

Hirsz westchnął. Nietrudno było odgadnąć, że te dwie niezbyt za sobą przepadały.

- Długo tak się zabawiali?

- Było dobrze po północy, jak ucihło. Widać chłopak miał siły za kilku. Prawdziwy mężczyzna, nie to, co mój wymoczek. Schlał się okrutnie i raz jeno dzióbnął, a potem zasnął. Chrapał przy tym straszliwie, więc nawet oka nie mogłam zmrudzić.

- Nie wychodziłaś z pokoju?

- Nie, panie. Klient zapłacił za całą noc, więc musiałam być obok, jakby się ocknął. Kosin dba o klienta, a ma ciężką rękę.

W to ostatnie akurat porucznik nie wątpił.

- Nikt się nie kręcił po korytarzu?

- Ja żadnych kroków nie słyszałam. Pewnikiem przez to chrapanie, bo ktoś tam jednak musiał się zakraść. Inaczej nie byłoby trupów -stwierdziła rezolutnie.

Porucznik przeniósł uwagę na Martę. To ona była z tajemniczym klientem. Niewiasta uciekła spojzeniem, wbijając wzrok w podłogę.

- A ty możesz coś dodać do tego, co tu powiedziano?

- Nie, panie.

- Słyszałaś coś, widziałaś?

- Nie, panie.

- Znasz mężczyznę, który był z tobą?

- Nie, panie, widziałam go pierwszy raz w życiu.

Czuł, że kłamała. Przymknął powieki, wyobraził sobie, jak dopada tę głupią dziewczkę, wykręca jej rękę. Niemal słyszał w uszach bolesny krzyk.

Otworzył oczy, wypuściłzymane w płucach powietrze. Dziewczyna zbyt się bała Kosina, żeby cokolwiek powiedzieć. Przez chwilę zastanawiał się nad oddaniem tych dwóch dziwek w ręce oprawcy. Z ociąganiem odrzucił tę pokusę. Zapewne niewiele wiedziały i tylko strażnicy więzienni mieliby przez kilka nocy darmowe używanie.

Kobiety jakby podskórnym wyczuwały miotające nim uczucia. Dwie pary oczu patrzyły błagalnie na porucznika. Doskonale znały podstawową prawdę ulicy: Mężczyzna mający władzę czy pieniądze może z nimi zrobić, cokolwiek zechce.

Uciekały do miasta, by znaleźć wolność od okrutnych ojców, zapijaczonych mężów czy chutliwych dziedziców. Czasem też szukały po prostu lepszego życia. Powodów było wiele, lecz historia zazwyczaj kończyła się tak samo.

Miasto to okrutna bestia. Tak brzmiała pierwsza lekcja dla zbiegów.



Słaby krwioobieg gospodarczy Warszawy nie był w stanie wchłonąć tylu niewykwalifikowanych robotnic. Pracy nie brakło tylko przez miesiąc czy dwa w czasie obrad sejmowych, gdy zjeżdżała się szlachta z całego kraju. Przez resztę roku kobiety musiały toczyć ciągłą walkę o przeżycie. Pozbawione oparcia we wspólnocie, bez grosza przy duszy, kończyły w takich lub gorszych miejscach. Ich dzieci również.

Ostatnie skojarzenie naprowadziło myśli Hirsza ku chłopcu z okna.

- Widziałem tu wyrostka. Kto to?

- Mój siostrzeniec - odrzekła czamulka. - Sierota, oboje rodziców zabrała zaraza. Pomaga w kuchni, czasem przy gościach.

- Mieszka tu z wami?

- Śpi w komórce.

- Chcę z nim pomówić.

- To niemożliwe, panie.

- Czemu to?

- Kosin posłał go do miasta z jakimś pismem. Chłopak pobiegł, jakby się paliło.

Porucznik domyślił się, dokąd zmierzał wyrostek. Tożsamość tajemniczego klienta mogła się jednak okazać kluczowa dla sprawy,

Hirsch obrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia.

- Panie, jest coś - zatrzymał go nieśmiały głos Marty.

Hirsch zastął w progu, spojrzął przez ramię na kobietę.

- Mów - uśmiechnął się zachęcająco.

- Czulał zapach.

- Zapach?

- Tak - przytaknęła niepewnie. - Kręcił w nosie - zawałała się - jak w kościele, tylko ostrzej.

Hirsch potarł szczękę. Dziewczyzna mówiła o kadzidle. To była zaskakująca informacja.

- Coś jeszcze?

- Nie, panie - powróciła do poprzedniej formułki.

Skinął głową na pożegnanie i wyszedł na oślepiający blask. Miał ochotę splunąć, ale się powstrzymał. Szybkim krokiem wrócił do głównego budynku.

Kozacy siedzieli nad pustymi kufkami, zabijając czas. Hańcza nożem wycinał w drewnie skomplikowane wzory. Birkut wsłuchiwał się w brzęczenie jakiegoś owada, miotającego się w lufie pistoletu. Kosin zmierzył porucznika zalekzionym spojrzeniem.

- Chodźmy do ciebie - nakazał karczmarzowi Hirsch.

Skinął na Mrocza, żeby poszedł z nimi.

W kantorze usiadł na miejscu zajmowanym wcześniej przez Szymurę. Odchylił się do tyłu i oparł ręce na blacie.

- Siadaj. - Wskazał miejsce po przeciwnej stronie stołu.

Kosin z ociąganiem zajął wolny stołek.

- Kiedy przyszedł ten szlachcic?

- Przed zmrokiem. Tęgo pił z kompanem, widać coś świętowali. Potem zażądali dziewczek.

- Zauważyłeś kogoś podejrzanego, obcego w gospodzie?

Kosin wzruszył barkami.

- Sami stali bywalcy, głównie tutejsi ludzie i kilku flisaków.

Hirsch zamilkł, zbierając siły, żeby przekroczyć Rubikon.

- Z kim spędziła noc Marta? - zapytał ostro. Szykarz wytrzymał spojrzenie porucznika. Widać było, że spodziewał się tego pytania.

- Tęgo waszmości rzecz nie mogę.

- Pod twoim dachem ubito szlachcica. To jest teraz twój największy kłopot, Kosin.

- Gardłowa ?prawa - wtrącił z boku mrukiwie Mroczek.

Kosin zerknął z ukosa na stojącego nad nim wachmistrza i pochylił się ku porucznikowi.

- Znaczna to persona, panie - wyszeptał konfidencjonalnym tonem. - Zezwolenie na wyszynk mi odbiorą, a może i z miasta przyjdzie mi na stare lata uchodzić.

Hirsz zmarszczył brwi z udawanym niedowierzaniem.

- Rajca miejski w twojej budzie?

W oczach Kosina błysnęła uraza. Wyraźnie taka ocena lokalu ubodła dumę zawodową karczmarza.

- Nic nie powiem - rzekł hardo. Porucznik odchylił się na krześle, spojrzął na Mroczka.

Wachmistrz zrozumiał bez słów. Chwycił Kosina za włosy i przycisnął do blatu. Rozpłaszczona twarz przybrała groteskowy wyraz. Kosin jęknął, z rozwartych ust spłynęła na drewno krwawa ślina.

Porucznik odczekał kilka chwil, dając mu czas na ponowne przemyślenie decyzji. Gdy szynkarz wyglądał już na dostatecznie przekonanego, Hirsz wykonał gest przyzwolenia.

Wachmistrz zacisnął palce w rzadkich włosach i brutalnie szarpnął głowę Kosina ku górze. Porucznik uniósł brew.

- Więc? Kto to jest? Do kogo posłałeś chłopaka z wiadomością?

W odpowiedzi Kosin roześmiał się szyderczo, odsłaniając okrwawione dziąsła.

- Tylko na tyle was stać, kozojeb...

Nie zdołał dokończyć. Mroczek kopniakiem wytrącił spod niego stołek. Kosin grzmotnął o podłogę całym potężnym ciężarem. Zanim Hirsz zdołał zareagować, czubek buta wachmistrza trafił w krocze ofiary. Kosin zgiął się jak scyzoryk.

Joachim mimowolnie wzdrygnął się, zaciskając nogi pod stołem.

- Czekaj! - krzyknął, powstrzymując Mroczka. Szeroki obcas zawisł pół cala nad twarzą szynkarza. Wachmistrz obejrzał się zdziwiony.

Gdy chwilę wcześniej Joachim napomknął O chłopcu, w jego umyśle pojawiło się paskudne przecucie. Nic oczywistego. Uwierało jak niewielka drzazga wbita pod skórę. Musiał się dobrze naszukać, żeby odnaleźć źródło dyskomfortu.

Złotowłosa Marta okłamywała go, lecz nie tak, jak myślał.

Wtedy, gdy po raz pierwszy stał w sieni przy drzwiach kantoru Kosina, chłopak musiał go widzieć. Stąd ta mina, tak niepasująca do twarzy dziecka. Nagle porucznik doznał olśnienia.

Chłopak brał go za nowego klienta.

Hirsz uśmiechnął się zjadliwie.

- Tomaszu, posadź gospodarza do stołu - polecił zwodniczo łagodnym tonem.

Następnie oparł łokcie na blacie, ciepłowie czekając, aż wachmistrz na powrót postawi stołek I umieści na nim trzymającego się za krocze karczmarza.

Oczy mężczyzn się spotkały. Kosin bynajmniej nie wyglądał na gotowego do współpracy. Twardziel. Porucznik mimowolnie poczuł uznanie.

Karczmarz zacisnął usta, otarł dłonią juchę z brody.

- Nic nie powiem, choćbyście dalej bili - wycharczał. - Wiedźcie wszelako, że przed starostą dochodził swych praw będę.

- Dochodził praw, powiadasz. - Joachim zdobył się na obojętny ton. - Miarkuję zatem, że wspomnisz również o ohydnych procederze, którego dopuszczano się pod tym dachem.

Kosina zdradził nerwowy tik w kąćku ust.

- Nie wiem, o czym prawisz, waszmość.

- O sodomii - odpowiedział ochozo Hirsz. -Przywołaj tu chłopaka, tego cherubinka. Mam przecucie, że to będą wstrząsające zeznania. Za przymuszanie do sodomii i czerpanie z tego procederu zysku karzą stosem - przypomniał porucznik, choć człowiek pokroju Kosina musiał to wiedzieć.

Karczmarsz skurczył się w sobie, jakby uleciało z niego całe powietrze. Porucznik zamilkł, dając mu czas na przemyślenie nowej sytuacji.

- Litości - stęknął. - Chłopak nic nie robił pod przymusem, przysięgam.

Porucznik wycelował w Kosina groźne spojrzenie.

- Masz tu gdzieś przybory do pisania?

- W sekretarzu.

- Przynieś.

Karczmarsz, zanim podniósł się ze stołka, obdarzył porucznika spojrzeniem zaszczutego zwierzęcia.

Posłusznie podreptał do trzykondygnacyjnego kredensu pod ścianą. Wyjął z niego drewniane pudełko. Następnie powrócił na miejsce i postawił szkatułkę przed Hirszem.

Porucznik otworzył wieczko. Wewnątrz leżały kartki papieru, kałamarz oraz przycięte gęsie pióra.

Hirsz przysunął przybory do Kosina.

- Pisz nazwiska. Wszystkich, którzy odwiedzali chłopaka.

- Zabiją mnie -jęknął rozpaczliwie.

- Pomyśl, co ja ci mogę zrobić.

Karczmarsz drżącą ręką zanurzył końcówkę pióra w kałamarzu i zaczął wypełniać papier niekształtnymi literami. Na koniec złożył podpis i podał zeznanie porucznikowi.

Porucznik i wachmistrz popatrzyli po sobie zaskoczeni.

- Ciekawe - mruknął Tomasz.

- Tak - przyznał lakonicznie Hirsz, rozważając liczne korzyści wynikające z tych informacji.

Zerknął na Kosina podejrzliwie.

- To wszyscy?

- Innych nie znam. Ci tu brali chłopaka wieczorem, a oddawali rano, czasem po kilku dniach.

Ponoć byli tam inni chłopcy oraz dziewczęta, lecz nie wypytywałem o szczegóły. Nie jestem zbrojenciem, panie poruczniku.

Tak, zbrojenciem nie jesteś. Tylko bezwzględny, zimny skurwysynem.

Porucznik chuchnął na atrament, uniósł oczy znad krawędzi kartki.

- Od dzisiejszego dnia szpiclujesz dla mnie, Kosin. Wiem, że sprzedajesz informacje Szymurze.

Niech tak dalej zostanie, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Pamiętaj jednak, od tej pory to ja mam pierwszeństwo.

Kosin przytaknął, wyraźnie przybity.

- Jeśli ujawnisz tych ludzi, panie, skończę w Wiśle, podobnie jak chłopak - stwierdził pośepnie.

Możliwe zresztą, że ty również - dodał nieco weselszym tonem.

- Nie aresztuję żadnej osoby z tej listy - uspokoił go porucznik. - Wsadzę cię do wieży na kilka dni, tak na pokaz. Rozgłoszę też, że wytrzymałeś bicie i nie sprzedałeś nikogo. W to akurat uwierzą, bo rozbita gęba wystarczająco cię uwiarygodni.

- Co mam powiedzieć, gdy zapytają o chłopaka?

- Powiesz, że chłystek przestraszył się i uciekł z miasta. Teraz zostaw nas samych.

Kosin ciężko wstał od stołu.

- A, jeszcze jedno. - Hirsz zatrzymał go przy drzwiach.

Kosin zwrócił ku niemu zbolwały wzrok.

- Odprawisz chłopaka do szkoły przyklasztowej. Daleko stąd. Będziesz też co miesiąc łożył na jego naukę. Dość chyba na nim zarobiłeś.

Kosin skinął głową; widać zawnazusa pogodził się z taką opcją. Jednocześnie na jego wargach zagościł ironiczny uśmiešek.

Joachim poczuł ukłucie niepokoju. Zastanowił się, czy nie pomówić z chłopakiem. Jeśli Kosin

nie łąał i cherubinek naprawdę miał skłoność do sodomii, to właśnie sprawił klerikom niespodziankę.

Po chwili namysłu stwierdził, że to już nie jego problem. Teraz musiał poczynić z Mroczkiem niezbędne przygotowania.

Wkrótce spodziewał się przyjazdu gości.

.

Hirsz zajął pozycję niemal przy samych schodach. Za plecami miał Birkuta i Hańczę.

Drzwi rozwarły się na oścież i z trzaskiem rąbnęły o ścianę.

Koptrowski wpadł do wnętrza z czwórką rębajłów za plecami. Wyglądał niczym rozjuszony odyniec. Hirsz ledwie opanował chęć zrobienia kroku w tył.

Szlachcic wbił w porucznika zimne źrenice.

- Gdzie mój syn? - wychrypiął.

- Na górze, nie ruszaliśmy ciała. Koptrowski obrócił się ku schodom. Porucznik zastąpił mu drogę.

- To nie jest przyjemny widok.

- Odstap, waszmość - warknął Koptrowski, sięgając po szablę.

Hirsz chwycił go za nadgarstek, blokując obnażone na dłoń ostrze.

Przybocznici szlachcica zareagowali bez wahania. Zabrzęczało dobyte żelazo. Kozacy natychmiast odpowiedzieli tym samym. Zanościło się na krwawą jatkę.

Porucznikowi bynajmniej nie o to chodziło. Zwolnił chwyt.

- Zgoda - rzekł. - Ustąpię drogi waszmości, lecz pójdziemy tylko my dwaj.

W oczach starego błysnęła podejrzliwość.

- Żeby nie zadeptać śladów - dodał pospiesznie Joachim.

Po krótkim namyśle Koptrowski kiwnął głową. Spojrzył przez ramię na swych ludzi.

- Zostańcie tu i miejcie oko na tych dwóch. - Wskazał palcem Kozaków. - Gdyby co... - zawiesił głos.

Odpowiedział mu gorliwy pomruk. Hirsz wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Birkutem i Hańczą.

- Chodźmy - ponaglił Koptrowski.

Ruszył pierwszy, nie czekając na porucznika. Pokonał schody, przeskakując po parę stopni naraz. Skręcił w galerię i przystanął u wylotu korytarza. Porucznik domyślił się, że stary jest tu nie pierwszy raz.

Szlachcic obrzucił spojrzeniem czworo drzwi.

- Które to?

- Ostatnie z prawej.

Koptrowski otworzył drzwi i zatrzymał się w progu. Znieruchomiały, wpatrywał się w martwego syna. Wyglądał, jakby zaraz miał omdleć.

Porucznik zrobił krok ku niemu, chwycił pod ramię. Koptrowski szorstko odtrącił pomocną dłoń. Po chwili ruszył chwiejnym krokiem do łoża.

Porucznik stanął z boku, z ukosa obserwując oblicze szlachcica. Ten zaś milczał i patrzył. Surowa twarz przypominała maskę jakiegoś pogańskiego bożka. Tylko oczy płonęły jak dwie pochodnie, gotowe podpalić cały świat.

- Muchy, wciąż to robactwo, nieczystość - wymamrotał. - To ich sprawka, antychrystów.

Hirsz poczuł, jak włosy jeżą mu się na karku.

- Brak dowodu, by za tą zbrodnią stali Żydzi - rzekł ostrym tonem. - Przypominam ci również, waćpan, raz już zabiłeś niewinnego człowieka.

Koptrowski obrzucił go niewidzącym spojrzeniem. Obwisłe policzki wciąż drżały, lecz stary wyraźnie odzyskiwał panowanie nad sobą.

- Jeden Żyd mniej, jeden więcej, kogo to obchodzi. Zabili mi syna. Okaleczyli, pohańbili pogańskimi czarami. Zapłacą za to psie syny, oj, zapłacą do ostatka. Żywa noga tam nie ostanie.

Głos starego, spokojny, a przez to straszny, brzmiał jak dźwięk klingi. Jego opanowanie bardziej niż wypowiedziane słowa wstrząsnęły porucznikiem. Hirsz nie miał złudzeń: Koptrowski spełni swą groźbę, prawdopodobnie jeszcze tej nocy.

- Śmierć tyłu niewinnych, choćby i Żydów, nie ujdzie ci płazem.

- Niewinnych? - parsknął wściekle stary. -Wszyscy są w zmowie. Mszczą się za tę przeklętą dziwkę. Powinna zdechnąć tam nad stawem. Wszyscy muszą zginąć, wszyscy - powtórzył obłąkańczym głosem.

- Opanuj się, waszmość, nim uczynisz błąd. Przysięgam, pojme sprawcę i postawię przed katem.

- Nie, to ty posłuchaj - wychrypiał szlachcic. -Ostrzegam, nie wchodź mi w drogę, bo drugi raz zapomnę, żeś szlachcic, i ubiję. Zabieram ciało, moi ludzie zniosą je na dół - zakończył z naciskiem.

Porucznik uciekł spojrzeniem. Stary musiał uwierzyć, że wygrał.

Zwykły grymas pogardy powrócił na usta Koptrowskiego. Szlachcic odkręcił się na pięcie, wyszedł na korytarz.

Hirsz usłyszał głucho uderzenie i jęk. Pięć oddechów później w progu ukazał się Mroczek, podtrzymujący starego pod pachami. Podgolony łeb Koptrowskiego przecinała wilgotna czerwona kreha.

Hirsz spojrział z niepokojem na wachmistrza. Tomasz nie miał lekkiej ręki.

- Dycha, dycha - uspokoił go Mroczek, kładąc starego na podłogze. - Ciężki sukisyn - sapnął, prostując krzyż.

Hirsz sięgnął pod komodę, po uprzednio przygotowany na tę okazję sznur. Mroczek obrócił Koptrowskiego na brzuch. Spętali mu nogi i ręce, po czym obrócili na plecy. Hirsz wymierzył mu kilka policzków.

Szlachcic zakrzusił się śliną, otworzył oczy. Skupił na twarzy porucznika błędny wzrok. Minęło trzy oddechy, zanim pojął nową sytuację. Porucznik obserwował z przyjemnością grymas gniewu, malujący się na obliczu starego charakternika.

- Zapłacisz za to - ostrzegł Koptrowski słabym głosem.

- Wstawaj, nie mam czasu na czcze pogroźki.

Hirsz dał znak wachmistrzowi i razem postawili szlachcica na nogi. Mroczek bezceremonialnie pchnął więźnia do drzwi. Koptrowski szedł chwiejnie, skrępowany przez pęta.

Za progiem porucznik dobył króciwą, wyprzedził więźnia i zatrzymał się przy wylocie korytarza. Wychylił głowę za róg, upewniając się, że na galerii i schodach nikogo nie ma. Korytarz od bariereki dzieliło pięć kroków. Z tego miejsca widać było tylko fragment sali.

Hirsz gestem nakazał wachmistrzowi ruszać. Sam przesunął się pod ścianą i doskoczył do filaru. Jednocześnie wachmistrz przyparł Koptrowskiego do bariereki i zasłonił się nim jak żywą tarczą. W dłoni Mroczka błysnęło ostre noża, żelazo oparło się o grdykę zakładnika.

Czwórka rębajłów poderwała głowy. Z ich gęb wyzierało całkowite zaskoczenie. Birkut i Hańcza, przygotowani na to, co się stało, wywrócili ławę i skryli się za tą prowizoryczną barykadą.

Hirsz wycelował pistolet w draba dzierżącego rusznicę. Tego, który pokonał go już dwukrotnie. Tym razem jednak porucznik był górą.

- Rzućcie broń - zagrział Mroczek - inaczej zarżnę go jak świnię.

Dla podkreślenia groźby szarpnął Koptrowskiego za włosy, żeby strażnicy lepiej widzieli ostrze.

- Czyńcie, co każę - krzyknął Koptrowski. Przybocznicy z niechęcią odłożyli broń.

- Teraz jazda pod ścianę - rozkazał Hirsz. Birkut z Hańczą zebrali uzbrojenie i złożyli żelastwo pod schodami. Hirsz zrzucił im sznur.

- Zwiążcie ich - polecił.

Kozacy sprawnie skrepowali mężczyzn, nie siląc się przy tym na delikatność. Po chwili Koptrowski dołączył do swej czeladzi.

Porucznik z wachmistrzem odeszli na bok, żeby omówić sytuację.

- Mamy go, i co teraz? - zapytał Mroczek.

- Zyskaliśmy czas, by pochwycić mordercę. Mroczek przybrał sztywną minę.

- Przypominam ci, Joachimie, że właśnie uwięziliśmy szlachcica bez nakazu sądowego. Za coś takiego można stanąć przed trybunałem. Zapewne marszałek zrozumie motywy, którymi się kierowałeś, jednak oficjalnie umyje ręce. Sekretarz koronny również nas nie wybroni. Pogwałcenie wolności szlacheckiej to śliska sprawa, zwłaszcza w tak napiętej sytuacji jak obecnie. Lepiej, żebyś miał jakiś plan, jak z tego wybrnąć, bo inaczej tkwimy po uszy w gównie.

- Wiem, ale nie mieliśmy wyjścia. Zbyt wiele ludzi by zginęło z powodu ślepej nienawiści tego sukinsyna.

- Co zatem zamierzasz?

- Odwiedzę ją.

Wachmistrz zmarszczył pochmurnie czoło.

- Ostatnim razem dziwka o mało cię nie dopadła.

- Byłem wtedy osłabiony.

Mroczek wycelował palcem w jego głowę.

- A teraz niby nie jesteś?

- Racja - przyznał Hirsz - ale jak sam przed chwilą powiedziałeś, grozi nam trybunał.

- Gdzie chcesz ich trzymać do północy? Hirsz wykrzywił wargi.

- Tu, na miejscu, w gospodzie. Kosin na pewno wykaże daleko idącą chęć współpracy.

Klepnął dłonią kieszeń, gdzie spoczywało zeznanie karczmarza. Ponownie spojrzął na więźniów.

- Będę potrzebował świec, świeżego serca i krwi, dużo krwi.

Kwaterę Joachima Hirsza oświetlało kilka lamp. W migotliwym świetle dwóch mężczyzn przygotowywało się do rytuału.

W powietrzu unosił się mdły zapach krwi.

Porucznik, zgarbiony, malował na podłodze krąg. Długimi, dokładnymi pociągnięciami tworzył lśniącą szkarłatem, nieprzerwaną linię. Z każdym pociągnięciem pędzla mruczał pod nosem łacińskie formułki. Co kilka stóp rysował dodatkowo starożytne symbole.

W tym czasie Tomasz Mroczek zatrzasnął okiennice. Następnie zajął miejsce obok Hirsza, zanim ten całkowicie zamknął krąg.

Joachim odłożył pędzel, klęknął przed szkatułką z ciemnego, wygładzonego drewna. Tą samą, którą Ślepak sprowadził dla niego ze Lwowa.

Wachmistrz stanął krok za jego plecami.

Porucznik sięgnął po srebrny walec, stojący na podłodze obok szkatułki. Podważył wieko i wysunął z wnętrza świecę, grubą jak męskie przedramię. W białym jak śnieg wosku wycięto zachodzące na siebie symbole. Świeca była tak zimna, że jej dotyk parzył dłonie. Hirsz postawił ją na stojaku.

Następnie wyjął z kieszeni cienki sznurek i obwiązał nim swój nadgarstek. Drugi koniec przywiązał do nadgarstka Mroczka.

- Jeśli coś będzie nie tak, przetnij nić. Gdybym nie wrócił lub przybędzie coś innego, wiesz, co masz robić.

Wachmistrz skinął głową. Oparł dłonie na sztyletach, tkwiących w pochwach za pasem.

- Powtarzasz to za każdym razem. Hirsz przytaknął z roztargnieniem.

- Tak, wiem. Już czas, Tomaszu. Podniósł wieko szkatułki.

Wewnątrz znajdowało się kilka smukłych flakonów z grubego szkła. Porucznik wyjął jeden z nich. Przez chwilę przyglądał się pod światło mętnej, ciemnej substancji.

Ostrożnie wyciągnął korek. W nozdrza uderzył go aromat anyżu, hizopu, piołunu i mieszanki kilkunastu ziół. Nad wszystkim dominowała jednak nuta laudanum.

Porucznik sięgnął po przygotowany wcześniej srebrny kieliszek, napełnił go po brzegi. Jak mawiał Paracelsus: dawka czyni truciznę. Jeśli wypije zbyt mało, brama się nie otworzy i cała rzecz skończy się na sennych majakach. Gdyby jednak przyjął za mocną dawkę, niechybnie umrze.

Zadrżał mimo woli.

Przechylił naczynie i wlał zawartość do ust. Nie czekając, aż przykry posmak ustąpi, zaczął wypowiadać inkantacje.

Knot świecy zapłonął samoistnie po stu oddechach. Hirsz poczuł znajome mrowienie w palcach i zimno spływające wzdłuż nasady kręgosłupa.

W kątach izby pojawiły się pierwsze cienie. Z początku nieśmiałe, zagubione, z każdą chwilą sięgały bliżej kręgu. Ciemność gęstniała, połykając światło.

Porucznik poczuł przenikliwy chłód owiewający skórę. Przy każdym oddechu przed twarzą rozkwiłał pióropusz pary. Migotliwe płomienie lamp obumierały, jakby gasiła je niewidzialna dłoń, jeden po drugim.

Cienie zgęstniały, otoczyły krąg złowrogim pierścieniem. Obraz pomieszczenia zamazywał się, falował. Hirsz odczuwał to w taki sposób, jakby patrzył przez taflę wody. Ostatnim widokiem, jaki zarejestrował, była zbliżająca się szybko podłoga.

Otaczało go pustkowiem, bezkresne i kompletnie jałowe. Niebo barwy kutego żelaza przesuwawało się zbyt szybko, by dłużej skupić na nim wzrok. Wszędzie wirowały cienie, rzucane przez tańczące w obłędnych układach chmury. Daleko na horyzoncie widać było olbrzymią kryształową iglicę, nad którą unosił się dym.

Z jednego cienia wyłoniła się kobieta. Pojawiła się nagle kilkadziesiąt kroków przed Hirszem. Czarna, długa szata spływała po jej posagowych kształtach. Szła wpatrzona w ziemię, stąpając z gracją. Rzucasz włosy opadały luźno na ramiona, zasłaniając oblicze. Zatrzymała się trzy kroki przed Hirszem. Dokładnie przed miejscem, gdzie w realnym świecie znajdował się krąg ochronny.

Rozległo się natarczywe węszenie. Cienie po obu stronach kobiety zgęstniały i z fald sukni ukształtowały się dwa brytany. Wąskie szparki całkiem nie psich oczu skierowały się na porucznika.

Również kobieta podniosła głowę. Nieludzkie, czerwone źrenice wbiły się w Hirsza.

- Witaj, Joachimie. Ostatnio rzadko się widzujemy.

Hirsch poczuł dreszcz. Zawsze wypowiadała jego imię w taki sposób, jakby to słowo pieściło jej wargi,

- Uwięziłem cię tutaj nie bez przyczyny.

- Och... - uśmiechnęła się leniwie, - Znowu powracamy do tej zajmującej kwestii. Wciąż łudzisz się, że jestem twoją niewolnicą. - Wyduła drapieżne usta. - Ta męska próżność.

Wspomnienia wypełzły z zakamarków niczym dżdżownice po deszczu. Odegnął je i zmusił umysł do maksymalnego skupienia.

- Jeśli tak nie jest, czemu wciąż tu tkwisz, demonie?

- Wyjdź z tego niemądrego kręgu, a sam się przekonasz. - W jej głosie zabrzmiała złowieszcza obietnica.

- Wybacz, nie skorzystam.

Prawie niedostrzeżalnie wruszyła ramionami. Brytany, nie odrywając od Hirsza oczu, zaczęły obchodzić krąg. Joachim spojrział na sukuba z przyganą. Odpowiedziała wzrokiem dziewczynki przyłapanej na psocie.

- Wybacz, Joachimie, stare przyzwyczajenia.

Porucznik skinął łaskawie głową. Krąg ochronny łatwo można było opuścić, lecz do środka nie dało się wejść bez pozwolenia twórcy.

- Czego chcesz tym razem? - zapytała tonem sugerującym obojętność.

- Wizji. Szukam mordercy.

- Oczywiście, że szukasz, inaczej byś mnie przecież nie odwiedził. - Znowu zabrzmiało to jak wymówka zaniedbywanej kochanki. - Opowiedz mi coś więcej, Joachimie, jak to robiłeś dawniej.

- Nie potrzebujesz tego. Nie mam czasu na takie gierki.

- Jesteś wciąż taki niecierpliwy - stwierdziła z zadumą. - Pamiętam, że jako chłopiec...

- Dość tego - warknął wściekle. Kobieta wzdrygnęła się.

- Dobrze już, dobrze. Masz coś dla mnie? Porucznik sięgnął pod poły płaszcza i wyciągnął otwartą dłoń.

Leżało na niej kobiece serce.

- Należało do jednej z ofiar - wyjaśnił Hirsch. - Zginęła przypadkiem, lecz na pewno widziała mordercę.

Purpurowe oczy zwięzły się w dwie szparki. Zasłona rzes nie zdołała skryć zachłannego błysku.

Rzucił serce w jej stronę. Chwyliła je w locie z gracją. Powiewne rękawy cofnęły się, odsłaniając tatuaże na dłoniach i nadgarstkach. Dziesiątki miniaturowych węży wijących się na skórze. Kobieta wpiła się zębami w zdobycz z łapczywością wygłodzonego drapieżcy. Krew, gęsta i ciemnoczerwona, pociekła strużkami z kąćków ust na brodę.

Hirsch uprzejmie poczekał, aż kobieta dokończy posiłek.

Opuściła ręce i pozwoliła brytanom, które ponownie zmaterializowały się u jej stóp, zlizać krew



z dłoni.

- A teraz pokaż mi tego skurwysyna - -zażądał Hirsz.

Sukub westchnęła tak, jak potrafi westchnąć kobieta po spełnieniu. Przymknęła oczy, obliżała wilgotne wargi i otworzyła usta, choć nie popłynęły z nich żadne słowa.

Jedynie w czasie Hirsza rozległa się cicha, narastająca aż do granic bólu pieśń.

Przestronna izba tonęła w migotliwym blasku świece.

W izbie przebywało dwóch Żydów. Młodszy był wysoki, chudy, odziany w czarną kamizelkę z szerokimi połami i płaszcz. Długie pejsy, sięgające kościstych ramion, kołysały się przy każdym ruchu głowy. Orli nos i zaciśnięte w grymasie wąskie wargi nadawały mu wygląd zeloty. Nosił szeroki pas, przy którym wisiał sztylet. Od broni biła moc - widomy znak, że potężny kapłan niedawno pobłogosławił to ostrze.

Mężczyzna chodził nerwowo po pokoju, zaciskając dłoń na rękojeści sztyletu. Pomimo pajawkowatej postury poruszał się z gracją tancerza. Hirsz bezwiednie określił go jako strażnika.

Porucznik skupił uwagę na drugim mężczyźnie.

Był bardzo stary i nosił ciemne szaty. Siedział przy owalnym stole, zgarbiony nad grubą księgą. Chwiejne światło świec padało na wychudłą, lecz szlachetną twarz, gdy pochylał głowę nad linijkami pisma. Długa śnieżnobiała broda opadała luźno na karty księgi.

Pojawił się kolejny mężczyzna. Wszedł przez tylne drzwi. Niósł tacę z jadłem i dzban. Hirsz rozpoznał Jakuba Szora.

Rabin powiedział coś do strażnika. Porucznik niestety nie słyszał słów. Tamten pokręcił przecząco głową i podszedł do okna. Odsunął kotarę, by przez kilka oddechów wpatrywać się w wilgotną noc.

Na zewnątrz padał deszcz. Ciężkie, gęste krople spływały meandrami po nierównej tafli szyby.

Porucznik rozpoznał to podwórze.

Szor podszedł do stołu, postawił tacę. Tajemniczy starzec podniósł oczy znad manuskryptu. Na jego obliczu malował się ból i zmieszanie. Wyrzekł kilka zdań do Szora.

Oblicze rabina wykrzywiło się w niemym przerażeniu, a następnie wygładziło w wyrazie rezygnacji. Po kilku oddechach niechętnie skinął głową.

Nagle Hirsz wyczuł jeszcze czyją obecność. Ktoś stał za drzwiami, na korytarzu.

Mężczyźni w pomieszczeniu chyba nie zdawali sobie sprawy z tej obecności.

Starzec rzucił krótkie słowo strażnikowi. Wysoki mężczyzna kiwnął głową. Siegnął po owalny, czarny kapelusz spoczywający na skrzyni i nałożył go na głowę. Ruszył do drzwi pewnym krokiem, otworzył je i wyszedł na korytarz.

Nie zdołał nawet sięgnąć po sztylet, gdy dopadła go śmierć.

Z bolesnym zdziwieniem spojrział w dół, na drobną zakapturzoną postać. Jej prawa dłoń zaciskała się na rękojeści sierpa, którego ostrze tkwiło w piersi strażnika, wbite tuż pod mostkiem.

Strażnik próbował coś powiedzieć, lecz zamiast słów z jego ust wypłynęła tylko strużka ciemnej krwi. Postać przytrzymała ofiarę wolną dłonią i szarpnięciem uwolniła z ciała ostrze.

Białobrody starzec poderwał się od stołu. Uniósł ręce i wykrzyknął krótkie zdanie.

Potężna moc eksplodowała w pomieszczeniu niczym wybuch szrapnela, zrywając gwałtownie wszelkie magiczne więzy. Ból rozbił umysł porucznika na setki płonących kawałków. Krzyk cierpienia uwiązał w nieistniejących płucach. Szarpnięcie węzła na nadgarstku - i ciemność zassała go z głośnym plaśnięciem.

Gdzieś blisko kłapnęły potężne szczęki, owiał go smrodliwy oddech bestii.

Gdy ocknął się na zarzyganej podłodze, w uszach dźwięczał mu wciąż jego własny krzyk.

Ostatnią rzeczą, jaką dojrzał, była zbliżająca się pięść wachmistrza.

- Wybacz, nie byłem pewien. Darłeś się jak opętany.

Hirsz spojrział znad spuchniętego nosa na Mroczkę. Wachmistrz z głupawą miną drapał się po głowie.

- Nic nie szkodzi - mruknął Joachim. - Jutro będę miał dwie śliwy pod oczami.

Na dworze zaszumiało, zastukało o parapet. Znow zaczęło padać.

Zgonione zwierzęta drżały z wysiłku i parskały w proteście. Jeźdźcy jednak nie zwolnili, pędząc ku zabudowaniom widocznym w błyskach piorunów. Wpadli pomiędzy zaciemnione chaty, zmierzając wprost do centralnego placu.

Grzmoty i ulewa skutecznie zagłuszyły tętent kopyt i nikt z mieszkańców nie wyszedł na spotkanie przybyszów.

Hirsz zatrzymał wierzchowca i spojrzął na dom Jakuba Szora. Błyski odbijające się od mokrych szyb nadawały mu złowrogi wygląd zbudzonej bestii.

Strumyczki wody spływające z ronda kapelusza spadały małymi wodospadami na skórzany płaszcz, okrywający barki i ramiona porucznika. Joachim zeskoczył z siodła, otrząsnął się, gdy jeden ze strumyczków wlał się za podniesiony kołnierz płaszcza.

Wbiegł na ganek i szarpnął za uchwyt drzwi. Były otwarte.

Porucznik wydobyl sztylet. Rękojeść broni oraz ostrze pokrywały skomplikowane znaki. Wpadł do środka ciemnej sieni. Wachmistrz podązał krok za nim.

Hirsz najpierw zajrzał do głównej izby, w której kilka dni wcześniej rozmawiał z Szorem. Okazała się pusta.

- Co ze służbą? - zdziwił się wachmistrz. - Ktoś już powinien nas usłyszeć.

Hirsz zastygł nieruchomo, nasłuchując. W domu panowała grobowa cisza.

- Pewnie nie żyją - odparł.

Ruszyli dalej ku schodom. Weszli na górę. Korytarz na piętrze tonął w ciemności. Drzwi do izby były otwarte. Na progu leżał człowiek. Wizja nie kłamała.

Choć Joachim spodziewał się tego widoku, poczuł nieprzyjemny dreszcz na karku.

Podszedł do ciała, kucnął i wolną dłonią obrócił mężczyznę na plecy. Sukinsyn mimo kościstej postury był zaskakująco ciężki. Pod mostkiem ziała wilgotna, głęboka rana.

Hirsz wstał, przekroczył ciało i wsunął się do izby. Poczł smród moczu i ekskrementów.

Mdłe światło lampy stojącej na stole oświetlało niewielką część pomieszczenia. Resztę okrywał mrok.

W kręgu jasności leżał tajemniczy białobrody Żyd. Ciało starca było dziwacznie wykręcone, jakby skonał w konwulsjach. Prawą rękę wyciągał w kierunku przeciwległej ściany. Zapewne przed śmiercią sięgał po coś lub rzucał zaklęcie. Również jego oczy, otwarte mimo śmierci, były skierowane w tamtą stronę.

Hirsz poderwał głowę. Za granicą cienia majaczył zaskakujący kształt.

Porucznik zrobił trzy kroki w przód. Gdy dotarło do niego, co widzi, wstrzymał oddech. Jakub Szor wisiał ukrzyżowany na ścianie, dwa łokcie na podłogę. Był całkiem nagi. Zakrwawione ciało przecinały długie nacięcia. W boku ziała głęboka, rozszarpana rana. Do pełnego obrazu brakowało tylko korony cierniowej.

- Ktoś ma ciekawe poczucie humoru - mruknął Mroczek zza jego pleców.

- Powinniśmy go zdjąć - stwierdził z niechęcią porucznik.

Wachmistrz splunął zamazyście na deski.

- Skoro tak uważasz.

Zajął im kilka zdrowasiek, zanim za pomocą noży i kolb pistoletów odczepili mężczyznę od ściany. Po wszystkim Mroczek usiadł na krześle i otarł pot z czoła.

- Mówiłeś, że był tylko jeden morderca. Jakim cudem zdołał go przybić?

Hirsz wzruszył ramionami.

- Wizje nigdy nie są jednoznaczne. Wprawdzie widziałem tylko jedną osobę, ale równie dobrze mogło ich być więcej.

Mroczek uniósł brwi, rozejrzał się po zdemolowanym pomieszczeniu.

- Więc co? - rzucił kpiącym tonem. - Mamy do czynienia z jakąś cholerną sektą? Zbierają się wieczorami i krzyżują rabinów?

Hirsz wykrzywił wargi w wąłym uśmiechu.

- Miałeś rację, Tomaszu, to wszystko śmierdzi czarną magią.

Przykucnął przy ciebie białobrodego Żyda i otwartą dłonią zamknął mu oczy.

Nagle spojrzenie porucznika zatrzymało się na wybrzuszeniu pod szatami mężczyzny. Sięgnął pod materiał i wyczuł pod palcami twardą, wyprawioną skórę. Domyślił się, co to za przedmiot. Serceabiło mu żywiej. Przytrzymał nieboszczyka wolną ręką i wydobył wolumin.

Okładka książki nie miała tytułu ani żadnych oznaczeń. Wyglądała jednak na bardzo starą.

Wachmistrz podniósł się z miejsca.

- Co tam masz?

Hirsz uniósł w górę znalezione.

- Białobrody czytał tę książkę tuż przed wtargnięciem zabójcy - wyjaśnił Mroczkowi.

- Dawaj ją tutaj Porucznik podniósł się i podszedł do stołu. Położył wolumin na blacie. Przesunął lampę. Ostrożnie, zostawiając ślady krwi na oprawie, otworzył książkę. Zmrużył oczy.

Niestety tekst napisany był w obcym języku, prawdopodobnie po hebrajsku. Zamieszczono również odnośniki w grece. Hirsz przekartkował kilkanaście kolejnych stron.

- Umiesz to przeczytać, Joachimie?

- W kolegium uczyli nas łaciny i podstaw greki, ale nie hebrajskiego.

- Trzeba poszukać po wsi kogoś piśmiennego - zaproponował Mroczek.

Hirsz uniósł głowę, przez moment rozważając propozycję. Jednocześnie w bezmyślnym odruchu przełożył na raz kilkadziesiąt kartek. Opuścił wzrok i wybałuszył oczy.

Całą lewą stronę wypełniała rycina.

Siedem nagich dziewcząt i siedmiu nagich chłopców kłęczą w półokręgu przed ciemnoskórym mężczyzną. Za jego plecami unoszą się dwa cienie w kształcie skrzydeł. Mroczek sapnął.

- Cóż to jest, do diaska?

- Nie wiem. Wygląda jak obrzęd religijny. Bez rabina nie dowiemy się więcej.

- Może to jakiś kolejny żydowski bóg? - podsunął wachmistrz.

- Żydzi wierzą w jednego Boga. Tak jak my. Wprawdzie Pismo Święte wspomina o królach bałwochwalcach zwiedzionych przez kobiety z rodu Jezabel, ale...

Joachim przerwał, gdyż odniósł wrażenie, że skrzydła zdrząły. Wizja trwała krócej niż mrugnięcie powieki.

Hirsz chwycił lampę i zmrużył oczy. Teraz, gdy wiedział, czego wypatrywać, obraz nabrał przejrzystości.

Zarys skrzydeł tworzyły roje much. Tysiące miniaturowych insektów, oddanych z drobiazgową szczegółowością.

Przeniósł spojrzenie na prawą stronę. Tam, gdzie znajdowały się odnośniki w grece. Po chwili odnalazł szukane słowo.

Niebo po stronie praskiej szarżało, zapowiadając rychle nadejście świtu. Dwaj jeźdźcy przemknęli ulicą Długą i dotarli przez Podwale do Bramy Pobocznej.

Wrota wciąż były zatrzaśnięte, podobnie jak furta prowadząca na międzymurze, gdzie znajdowała się gospoda.

Hirsz zeskokczył ze zgonionego wierzchowca. Podbiegł do furty, chwycił kołatkę i opuścił ją parokroć. Po kilkudziesięciu oddechach, nie doczekawszy się odpowiedzi, ponownie zakołatał. Dopiero wówczas z pięterka dobiegło pojękiwanie oraz bełkotliwe przekleństwa. W wąskim okienku ukazała się biała gęba.

- Jeszcze nie świta. Brama prawem miejskim zawarta. Czekałta na świt, jak insze ludzie - odezwał się opryskliwy głos.

- Mówisz do instygatora królewskiego, chamie - warknął wściekle Mroczek. - Otwieraj zaraz, bo pasy każe drzeć.

Ostatni argument odniósł spodziewany skutek. Rozległo się człapanie na schodach, a potem szcęk przesuwanych rygli. Furta otworzyła się z jękiem zawiasów, ukazując chwiejącego się na nogach strażnika. Bijący od mężczyzny odór zawstydziłby niejedną gorzelnię.

Hirsz uczynił krok, żeby przejść, lecz pacholek zaparł się dłońmi o ściany i z zaciętością łypał spode łba na intruza.

- Pokaszsz glilleejt - wyseplenił, uśmiechając się chytrze.

Tego było porucznikowi za wiele. Zdzielił ochlapusa za nos, wyładowując frustrację. Trysnęła krew, pacholek padł jak ścięty na ziemię.

Hirsz chwycił wodze i przeprowadził wierzchowca nad znieruchomiłym strażnikiem. Wachmistrz uczynił podobnie, z tą jednak różnicą, że potraktował leżącego kilkoma solidnymi kopniakami. No cóż, Mroczek nie zwykł tłumić w sobie negatywnych emocji.

Za bramą ponownie wskoczyli na siodła.

Po dwóch zdrowaśkach dotarli przed główne wejście do kamienicy Marka Nekla. Z Szerokiego Dunaju dobiegały odgłosy krzątania przy straganach i jatkach.

Zsiedli z koni. Porucznik stanął u drzwi i trzykrotnie zakołatał. Tym razem odzwiemy pojawił się bez ociągania. W wizjerze błysnęło czujne oko.

- Instygator Joachim Hirsz - przedstawił się porucznik, uprzedzając nieuchronne pytanie. - Powiadom mości faktora o moim przybyciu.

Sługa nie odezwał się słowem. Joachim dosłyszał cichnące szuranie stóp po posadzce. Przez kilkadziesiąt pacierzy stali pod oknami, wsłuchani w odgłosy wybudzającego się miasta.

Gdy porucznik tracił już cierpliwość, ponownie dosłyszał znajome szuranie. Zasuwy przesunęły się z trzaskiem. Prawa strona podwoi odchyliła się i w progu stanął mężczyzna. Zza jego pleców zerkał z zaciekawieniem Marcin.

- Pan prosi waszmościów do siebie - oznajmił sługa. - Chłopak zajmie się waszymi końmi.

Odsunął się, żeby ich wpuścić.

Pokojowy poprowadził gości przez sień do schodów i dalej na piętro. Marek Nekeł przyjął ich w saloniku przy alkwocie. Ubrany niedbale, z potarganymi włosami i rozwichrzoną brodą, przywitał niespodziewanych przybyszy nerwowym skinieniem głowy.

- Proszę o wybaczenie, lecz sprawa jest pilnej natury - wyjaśnił Hirsz.

Finansista odprawił sługę krótkim gestem. Wpił otepiały wzrok w porucznika.

- Mów waszmość.

- Kilka godzin temu zamordowano ojca Miriam i jeszcze dwóch ludzi.

Nekeł zmarszczył brwi, jakby myślenie przychodziło mu z trudem.

- To sprawka Koptrowskiego?

- Nie - odparł Hirsz. - Podejrzewam waszą podopieczną.  
Żyd wytrzeszczył oczy,  
- Miriam? To niemożliwe - krzyknął chrapliwym głosem i odwrócił wzrok w kierunku drzwi sypialni.  
- Jest opętana przez demona znanego przez was, Żydów, pod imieniem Ba' al Zebu.  
Nagle oblicze finansisty przybrało barwę kredy. Obrzucił szlachciców pełnym niedowierzania spojrzeniem,  
- Pan Czeluści, władca much - wyszeptał. Faktor ponownie wlepił wzrok w drzwi alkowy.  
W umyśle Hirsza zakiełkowało podejrzenie.  
- Ona tam jest? - zapytał.  
Nekel opuścił wzrok i skinął głową. Bynajmniej nie próbował się usprawiedliwiać,  
- Jesteś pewien? - zapytał ochryple.  
- Tak.  
Finansista ciężko westchnął, szarpnął szatę nerwowym gestem.  
- Zatem chodźmy.  
- Ty lepiej zaczekaj na dole. - Porucznik uniósł dłoń, żeby powstrzymać spodziewany protest. - To będzie niebezpieczne. Niegdyś widziałem, jak opętany chłopiec złamał rękę dorosłemu mężczyźnie. A to był tylko pomniejszy duch.  
- Poślę po rabina na Pragę lub po księdza.  
- Nie ma czasu. Ona zapewne już wie o mojej obecności.  
- Poradzisz sobie waść? - wyraził wątpliwość Nekel.  
  
- Przeszedłem nowicjat u jezuitów. Faktor lekko uniósł brwi.  
- Jesteś dla mnie zagadką, poruczniku. Nie tylko dla ciebie, pomyślał Hirsz.  
  
- Teraz już idź na dół - zażądał twardym tonem.  
- Zgoda - rzekł Nekel po namyśle i opuścił salonik.  
Hirsz i Mroczek stanęli przed drzwiami alkowy. Wymienili ostatnie spojrzenia. Porucznik dał znak głową. Mroczek uchylił drzwi i wślizgnął się pierwszy do środka.  
Hirsz wyciągnął sztylet. Zaciśnął palce na zimnym żelazie. Czuł bijącą z broni moc. Pomiędzy kolejne warstwy stali wpleciono zakłęcia wiążące, które mogły pochwyć większość zabłąkanych duchów. Jednak w tym przypadku mieli do czynienia ze starożytnym, upadłym bogiem.  
W środku panował półmrok. Porucznik od razu wyczuł, że dziewczyna nie śpi.  
Podszedł po miękkim kobiercu do wielkiego łoża z baldachimem. Miriam siedziała nieruchomo z podkurczonymi nogami, trzymając dłonie na kolanach.  
Porucznik zatrzymał się obok łoża. W powietrzu unosił się zapach kadzidła.  
Dziewczyna uniosła głowę, potem zsunęła nogi na kobierzec i wstała.  
Była całkiem naga. Pełne piersi o sterczących sutkach wypinały się dumnie. Hirsz na oddech sięgnął spojrzeniem w dół, po czym spojrzał w oczy Miriam. Były przejrzyste, pozbawione głodu i nienawiści.  
Dziewczyna podeszła bliżej. Hirsz uniósł sztylet przed siebie. Czubek ostrza dotknął skóry między dwiema twardymi, ciężkimi półkulami.  
Zrobił pół kroku w przód i sięgnął wolną dłonią do jej ramienia. Wzdrygnęła się pod jego dotykiem.  
Nic, była czysta.  
Porucznik zmarszczył brwi.  
- Odszedł - wyszeptwała przez spierzchnięte wargi. - Czuję taką pustkę.  
Ciemne oczy zaślniły, na długich rękach zatańczyły żywy.

- Dokąd?

Potrząsnęła głową, wzburzając fale włosów. Ciężkie krople spłynęły po policzkach.

Joachim poczuł przyjemne mrowienie w łydźwiach. Wziął się w garść.

- Tomaszu, znajdź jakieś okrycie. Wachmistrz ściągnął narzutę z łoża, podszedł do dziewczyny i okrył jej nagość. Dłonie Miriam zacisnęły się kurczowo na materiale. Spuściła głowę. Ciszę rozdarł przejmujący szloch.

## VII

Ból pochłaniał duszę Jana Koptrowskiego niczym ogień wysuszoną trawę. Z pogorzeliśka wyrastały natychmiast chwasty: gorycz i zwątpienie.

Rozpacz w połączeniu z kwartami wypitej okowity otepiły skutecznie szlachcica, przynosząc błogostawioną apatię. Ten stan nie mógł trwać jednak wiecznie.

Rankiem do umysłu zapukała świadomość, a z nią dławiące poczucie straty. Wtedy też podjął decyzję.

Ciałem charakternika targnęto łkanie, oczy zaszyły łzami. Otarł wilgoć z policzków i sięgnął po leżącą przed nim krócicę. Zaciśnął sękatę palce na inkrustowanej srebrem kolbie i podniósł broń. Otworzył usta, pozwalając, by zimny metal dotknął podniebienia.

Bliskość końca go uspokoiła. Z zadowoleniem stwierdził, że nawet nie zdrząła mu ręka. Z każdym oddechem wciągał do nozdrzy ostry zapach prochu.

Zgiął palce na cynglu. Kurek drgnął.

Wybacz, Boże.

Nagle rozległo się łomotanie do drzwi. Gwałtowne i niecierpliwe.

Koptrowski zerknął kątem oka w kierunku wejścia, zdejmując palec ze spustu. Czyżby ochmistrz coś przeczul? Na szczęście dobrze zaryglował drzwi. Wejda tu, gdy już będzie po wszystkim.

Ponownie oparł palec na spuście i skupił wzrok na portrecie swego ojca. Synowie mimowolnie idą śladami rodziców, nawet jeśli zaprzeczają temu przez całe życie.

Do natarczywego walenia pięścią doszedł krzyk:

- Panie, cud, panie, obudź się, to cud!

W głosie za drzwiami brzmiało autentyczne radosne podniecenie. Jan Koptrowski zmarszczył wilgotne czoło. Przez kilkanaście uderzeń serca zmagał się z myślami.

Popolnym ruchem wyjął lufę z ust. Ostatecznie zawsze zdąży palnąć sobie w łeb. Przysiągł w duchu, że jeśli to podstęp, żeby go odwieść od samobójstwa, każe ochmistrza nago włóczyć końmi po ściemisku.

Walenie pięścią nie ustępowało ani na oddech.

Koptrowski uśmiechnął się paskudnie. Podszedł do wejścia, odciągnął rygle i otworzył drzwi.

Ochmistrz promieniał, jakby przed chwilą zesrał się złotem.

- Co tam? - warknął podejrzliwie Koptrowski.

- Cud, wasza miłość. Panicz Augustyn odzyskał ducha. Prosi o strawę i wino. Pytał również o jaśnie wielmożnego pana.

Sługa opuścił roziskrzony wzrok na krócicę i pobladł gwałtownie.

Jan Koptrowski nie zauważył przerażenia malującego się na pyzaty obliczu. Chęć, by targnąć się na życie, uszła wraz z nową nadzieją.

Bóg w swej nieskończonej dobroci obdarzył go drugim synem.

•

Loch śmierdział zatechłą wilgocią i cierpieniem. Katownia składała się z dwóch izb o niskim sklepieniu, podpartym przez kamienne łuki. Przez wąskie, podłużne prześwitły w grubych murach wpadało dość światła, by rozproszyć półmrok.

Główną izbę zapełniały budzące dreszcz przyrządy.

Na jednym z tych sprzętów, na długiej, wąskiej ławie leżała Miriam, rozciągnięta jak struna. Była nieprzytomna. Oliwkowa skóra błyszcziała od potu, którego ostry zapach docierał do Joachima

z odległości kilku kroków. Wilgotna koszula przylegała do wszelkich krągłości, a dolny rąbek okrycia dotykał kolan.

Hirsz poczuł ucisk w spodniach. By ostudzić krew, przeniósł spojrzenie na duchownego. Kapłan stał pod ścianą, naprzeciw stóp dziewczki. Z tej pozycji miał doskonały widok na rozchylone uda piękności.

Młody ksiądz spojrzał na oficera wyzywająco. Następnie skinął głową na powitanie. Hirsz odwzajemnił gest.

- Instygatorze - słyszał z boku cichy, przenikliwy głos.

Joachim popatrzył w lewo. Pod łukowatym sklepieniem przejścia do drugiego lochu stał Grzegorz Reszko.

Warszawski małodobry odstawał od obiegowego wyobrażenia oprawcy jako wielkoluda z beczkowatym brzuchem. Był niskim, żylastym mężczyzną o dziobatej twarzy i świdrującym spojrzeniu.

Kat zerknął wymownie na inkwizytora.

- Mistrzu Reszko, pozwól na słowo - rzekł Hirsz, w mig łapiąc intencję.

Mężczyźni przeszli do drugiej izby i zatrzasnęli za sobą solidne drzwi. Pomieszczenie było mniejszych rozmiarów niż sąsiedni loch. Na umeblowanie składała się prycza, dwa krzesła, kredens i kilka skrzyń. Honorowe miejsce, zaraz pod obrazem Najświętszej Pani, zajmował stojak z dwuręcznym mieczem.

Zanim zaczęli rozmawiać, dla pewności odeszli dalej od drzwi.

- Co z nią? - zapytał szeptem Hirsz. Reszko wzruszył ramionami.

- Dałem jej to wino, które poprzednio przyniosłeś. - Zmarszczył brwi. - Stało się dokładnie tak, jak mówiłeś. Jest otepiała i niewrażliwa na ból. Czy to aby na pewno nie czarna magia? - zapytał podejrzliwie.

Hirsz westchnął ciężko.

- Już mówiłem. To zwykła nalewka z maku, tylko mocniejsza. Odmiana ta rośnie daleko na wschodzie, w kraju Persów. Derwisze używają jej, żeby wprowadzić się w trans. Większa ilość powoduje śmierć, a regularne zażywanie uzależnia, niszcząc ciało i umysł.

- W tym przypadku to nie ma znaczenia - stwierdził Reszko.

Z tym twierdzeniem nie sposób było się nie zgodzić.

- Jak tam przesłuchanie?

- Chyba naprawdę nic nie pamięta. Jej wspomnienia urywają się w chwili, gdy doszło do manifestacji demona. Wie, że była opętana, jednak nie jest świadoma szczegółów zbrodni.

- Co na to inkwizytor?

Kat podrapał się po zarośniętej szczęce i lypnął chytrze oczami na oficera.

- Nie wierzy. Nalega, żebym zastosował bardziej zdecydowane metody. Łamanie kości, przypalanie skóry i takie tam.

Hirsz sięgnął do kieszeni płaszcza i wydobył pękata sakiewkę. Wręczył ją małodobremu.

- Kształcę syna na medyka. Chłopak zdolny, a studia drogie - mruknął, usprawiedliwiając się Reszko.

Porucznik skinął ze zrozumieniem głową. Zresztą i tak był tylko pośrednikiem. Złoto należało do Marka Nekla. Faktor postanowił zadbać, żeby kompromitujące go aspekty sprawy nie wyszły na światło dzienne. Porucznik ze swej strony dołączył tylko jedno żądanie: Miriam miała nie cierpieć bardziej, niż to potrzebne.

- Miej oko na klechę. Na mój gust zbyt łakomie patrzy na dziewczkę.

Reszko wykrzywił twarz.

- Już za późno. Wczoraj wójt wezwał mnie na rozmowę. Gdy wróciłem, zobaczyłem jego chudą dupę podrygującą między jej udami.



Porucznika zalała fala czerwonej wściekłości. Rzucił się ku drzwiom katowni z morderczym zamiarem. Mocny chwyt osadził go w miejscu.

- To synowiec biskupa. Odsuś sobie - otrzeźwił go wyprany z emocji głos kata. - Jest najmłodszym z synów, więc ojciec przeznaczył mu sukienkę duchowną. Dzięki protekcji wuja biskupa gówniarz daleko zajdzie. Nie warto robić sobie z niego wroga.

Porucznik wypuścił powietrze przez zęby i rozluźnił mięśnie.

- Ponoć oskarżycielem będzie Jan Falkiewicz? Reszko potwierdził ruchem głowy.

- Też tak słyszałem. Jutro ogłoszą to oficjalnie. Hirsz zmarszczył czoło. W głębi ducha spodziewał się takiej nominacji.

Rajca Falkiewicz, nowa gwiazda w skostniałym światku polityki warszawskiej. Niezlomny stróż moralności, zaciekły wróg heretyków, Żydów i Ormian. Ten człowiek miał wszelkie szanse zostać wkrótce bumistrzem, a w niedługiej przyszłości dostąpić nobilitacji.

- Czego może żądać?

Małodobry podrapał się po czuprynie.

- Zwyczajnie. Piłowanie, rozrywanie obcęgami, przypalanie... - mówił tonem piekarza opowiadającego o etapach wypiekania obwarzanków. - Oczywiście mogę tu i ówdzie oszukać, lecz jeśli masz więcej tego wina, dziewczka i tak będzie potrzebowała całego zapasu.

Nagle Hirsz poczuł ucisk w piersi. Czyżby wyrzuty sumienia? Zaraz jednak odrzucił tę absurdalną myśl. Dziewka była winna jak diabli.

Wrócili do głównej sali. Inkwizytor przywitał ich czujnym spojrzeniem. Hirsz splunął na słomę rozrzuconą po podłodze. Spojrzał na Miriam.

Rąbek koszuli był o długość kciuka wyżej niżli poprzednio. Sukinsyn nawet teraz nie mógł się powstrzymać.

Coś w nim pękło. Poczul lód w sercu. Szybkim krokiem ruszył do kapłana.

Twarda dłoń Reszki ponownie wylądowała na barku Joachima. Tym razem porucznik strząsnął ją bez trudu.

Książd cofnął się o dwa kroki i wpadł na ścianę.

Ręka Joachima wystrzeliła jak bicz, palce wpiły się w krtań młodzieńca.

- Jeśli jeszcze raz ją tkniesz, to utnę ci jaja. - Głos Hirsza brzmiał jak warknięcie wilka. - Rozumiesz, klecho?

Młodzian poczerwieniał na twarzy, oczy o mało nie wyszły mu z orbit. Z obślinionych ust wydobyło się tylko bolesne rżenie.

- Jeśli go nie puścisz, będę zmuszony cię ogłuszyć. - Hirsz usłyszał zza pleców zimny głos kata.

Zerknął przez ramię, nie rozluźniając chwytu. Reszko stał krok za nim. W dłoniach ścisnął solidną pałkę.

Porucznik prychnął wściekle, jednak cofnął rękę. Kapłan padł na kolana, łapczywie wciągając powietrze. Po chwili uniósł głowę.

- Rada się o tym dowie - wyrzeźlił. - Zapłacisz za...

Zamilkł, kuląc się przed spodziewanym ciosem. Porucznik jednak tylko obrócił się twarzą do Grzegorza Reszko.

- Dziękuję, mistrzu. Kat wzruszył ramionami.

- Znajdź sobie lepiej dobre wytłumaczenie - poradził.

Hirsz ponownie spojrzał na skulonego u jego stóp kapłana. Następnie przeniósł wzrok na Miriam.

Tak. Najwyższy czas włożyć kij w mrowisko.

Pregierz miał postać starca z brodą, w jednej ręce trzymającego ludzką głowę, a w drugiej miecz. Porucznik mimo półmroku widział dokładnie surowe oblicze sprawiedliwości.

Zazdrościć ci braku wątpliwości - pomyślał, użalając się nad sobą.

Przeniósł spojrzenie na oświetloną wieżę ratusza. Zegar wskazywał kwadrans po dziesiątej.

Mroczek długo nie wracał.

Hirsz rozejrzył się smętnym wzrokiem po wymarłym rynku. Wokół zamkniętych straganów wałęsały się psy szukające odpadków i beznogi żebrak, poruszający się na rękach. Ożywiony ruch panował jedynie przy drzwiach szynków i winiami. Z piwnic rozchodziły się odgłosy bawiących się ludzi.

Minęło kilkadziesiąt kolejnych pacierzy, zanim wachmistrz pojawił się w bocznej furcie ratusza. Podeszedł do porucznika, ani na moment nie wychodząc z mroku.

- Już wyszli. Został sam - poinformował porucznika.

- Gdzie jest?

Wachmistrz wskazał zakratowane okno na pierwszym piętrze wieży.

- W Sali Ławniczej.

- Kto pełni straż?

- Stary Bajcar i jeszcze jakiś młody, którego nie znam. Pewnikiem kolejny kuzyn.

Hirsz zmarszczył brwi na wspomnienie pewnej mocno nieprzyjemnej sprawy.

- Bajcar, czy to ten...

- Ten sam - potwierdził Mroczek. - Przejdiesz bez problemów.

Tylko czy tego właśnie chce?

Porucznik przez dłuższą chwilę zmagał się z wątpliwościami. Rzecz, o której zamyślał, była śmiertelnie głupia. Ze zdecydowanym akcentem na śmiertelnie. Jednak wspomnienie Miriam rozciągniętej na ławie nie dawało mu spokoju.

Przykazał wachmistrzowi zostać na miejscu, a sam ruszył zdecydowanym krokiem ku schodom ratusza. Wspiął się na ganek osłonięty arkadami i otworzył drzwi furty. Znalazł się w obszernej sieni, przedzielonej na dwoje żelazną kratą. Części bliżej wejścia strzegło dwóch strażników. Mężczyźni siedzieli na zydlach przy małym stoliku i grali w kości. Ich halabardy stały oparte o ścianę.

Wartownicy poderwali się jak oparzeni. Porucznik stwierdził z zadowoleniem, że Łukasz Bajcar pobladł na jego widok. Stary cofnął się z widocznym lękiem i zerwał z głowy czapkę. Młodszy strażnik bez zwłoki podążył za jego przykładem.

- Przeszedłem do rajcy Falkiewicza - oznajmił Hirsz i ruszył zdecydowanym krokiem przed siebie.

Obaj mężczyźni jednocześnie unieśli oczy.

- Pan Falkiewicz mówił, żeby nikogo... - zaczął Bajcar niepewnym głosem.

Hirsz wbił w niego surowy wzrok. Bajcar zadrżał i zamilkł.

Porucznik przeszedł przez drzwi na drugą stronę kraty. Ta część pełniła funkcję poczekalni przed izbą sądową. Ściany pokrywały złoczone inskrypcje z tekstami przywilejów, nadanych miastu przez Rzeczpospolitą.

Hirsz minął zbrojownię i wspiął się po schodach na piętro. Na tej kondygnacji mieściło się kilka sal. Wybrał pierwsze drzwi po lewej.

Wszedł bez pukania.

Rajca Falkiewicz siedział za masywnym sekretarzem, zgarbiony nad grubą księgą. Na rogu blatu stała napoczęta butelka czerwonego wina oraz rżnięty w kryształach kielich.

Falkiewicz uniósł głowę, wyraźnie zaskoczony wtargnięciem do jego azylu. Po dwóch uderzeniach serca z oblicza rajcy odpłynął niepokój. Zastąpił go wymuszony, odrobinę lekceważący uśmiešek.

Rajca odchylił się, opierając plecy o wysokie oparcie fotela. Porucznik podszedł do biurka i bez pytania zajął jedno z dwóch wolnych krzesel.

Zimne oczy wpiły się w Hirsza z jadowitym zaciekawieniem.

- Czemu zawdzięczam tę nieoczekiwaną wizytę, mości instygatorze?

- Chodzi o Miriam Szor.

- Ach tak, oczywiście - bąknął Falkiewicz z miną gracza, który zorientował się, że trzyma najlepsze karty. - Czy wyszły na jaw nowe zbrodnie?

- Przyszedłem z propozycją, panie rajco. Falkiewicz uniósł cienkie brwi.

- Słucham, instygatorze.

- Chcę, byście zrezygnowali z rozrywania obcęgami, ćwiartowania i tym podobnych urozmaiceń.

Wystarczy stos. Takie rozwiązanie zadowoli tłuszczę, a dziewczce oszczędzi cierpień. W zamian gwarantuję, że Miriam przyzna się do obcowania ze złym czy co tam chcesz. Oczywiście w rozsądnych granicach.

Falkiewicz nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. Pokiwał głową z niedbale udawanym zafasowaniem.

- Doniesiono o waścinyim afekcie do tej czarownicy. Wiem również, że uderzyłeś waćpan kapłana, gdy ten wypędał z niej szatana.

- Kutasem? To dość nieortodoksyjny sposób. Nie uważasz, panie rajco?

Falkiewicz zmrużył oczy, usiłując przykryć błysk tryumfu.

- To poważne oskarżenie. Jestem zmuszony powiadomić o nim księcia biskupa.

Porucznik docenił w duchu przebiegłość rajcy. Napaść na inkwizytora, podobnie jak uprawianie czarów, zaliczały się do spraw gardłowych, a przed takimi nie chronił go stan szlachecki. Wątpił po prawdzie, by Jan Gembicki pozwolił go uwięzić, lecz musiałyby na pewien czas opuścić Warszawę i pewnie nawet Rzeczpospolitą. Przynajmniej dopóki cała awantura by nie przyschła.

Takie zagranie było sprytnie, lecz w tym przypadku całkiem chybione. Hirsz obdarzył rajcę swym najbardziej wrednym uśmiechem.

- Nie przyszło ci do głowy, że prócz marchewki jest też kij?

Pytanie wyraźnie zbiło Falkiewicza z pantałyku. Otworzył szerzej oczy.

- Grozisz?

Porucznik pochylił się ku rozmówcy.

- Wiem, że twoi słudzy szukają pewnego chłopca.

Rajca zamarł niczym żmija osaczona w legowisku.

- Nie wiem, o kim waćpan mówisz - odparł trochę zbyt nerwowo.

- Dwanaście wiosen, kręcone włosy o barwie pszenicy i oczy w kolorze nieba - przypomniał mu oschłym tonem Hirsz.

W oczach rajcy błysnął lęk. Natychmiast przykrył go powiekami. Hirsz odczytał to jednoznacznie: Sukinsyn zastanawia się, ile wiem.

Po kilku uderzeniach serca Falkiewicz znów obrzucił go badawczym spojrzeniem.

- Zagrajmy w otwarte karty. Twa bezpośredniość - przy ostatnim słowie wykrzywił usta - sugeruje, że odnalazłeś chłopaka przed mną.

- Można tak przyjąć - zgodził się Hirsz.

Z zadowoleniem dostrzegł tik na twarzy rajcy. Postanowił zaryzykować mały błąd.

- Dzieciak jest niezwykle bystry. Szybko odkrył, kto jest jego przyjacielem. Zznał bardzo interesujące rzeczy. Obrzydliwe jak dla mnie, lecz interesujące.

Z oblicza Falkiewicza odpłynęła krew. Drżącą ręką sięgnął po butelkę z winem i pociągnął kilka solidnych łyków. Gdy odstawił szkoło na miejsce, wpił w porucznika nienawistne spojrzenie.

- Jeśli to wyciągniesz, będziesz skończony. Sprawa sięga osób tak potężnych, że nigdy nie zostaną obwinione. Bądź pewien, że rozgniotą cię jak robaka - parsknął z wściekłością, obryzgując

porucznika śliną.

Joachim wytała twarz wierzchem dłoni, nie kryjąc obrzydzenia.

- Może te osoby nie zostaną osądzone, lecz ty nigdy nie zostaniesz burmistrzem. Piętno sodomity złamie ci karierę. Zawsze znajdą się tacy, co chętnie uwierzą w twą winę, gdy będzie im to wygodne.

- Ile chcesz? - zapytał ochryple Falkiewicz.

- Już powiedziałem.

Falkiewicz zmarszczył brwi, jakby nie rozumiał. Po dwóch oddechach wybałuszył oczy z niedowierzaniem.

- Tylko tyle? Żadnego złota? Hirsz wzruszył ramionami.

- Na razie wystarczy mi świadomość, że wiesz, że ja wiem. Kiedy przyjdzie czas, poproszę cię o przysługę, a ty mi nie odmówisz. Przystaniesz również szukać chłopaka.

Zmierzyli się wzrokiem. Po kilku oddechach Falkiewicz opuścił oczy.

- Zgoda. A więc tylko stos - wycedził. - Jutro porozmawiam z członkami ławy.

Nie było już nic do dodania.

Hirsz podniósł się z krzesła, podszedł do drzwi.

- Poruczniku! - zatrzymał go ostry głos. Joachim przeniósł ciężar ciała na prawą nogę i spojrział przez ramię na rajcę.

- Będę pamiętał o tej chwili, poruczniku. Codziennie aż do dnia, gdy nie będziesz już mógł mi zaszkodzić. Wówczas uważaj na siebie.

Porucznik splunął na podłogę i wyszedł bez słowa na korytarz.

•

Chroniąc oczy dłonią przed południowym słońcem, Hirsz powiódł wzrokiem po ruchliwym tłumie.

Gapie już od wczesnych godzin rannych zajmowali dogodne miejsca na Piekiełku. Placyk nie był duży, więc siłą rzeczy gęstniejąca ciżba szybko wylała się na Podwałę. Wszyscy byli ożywieni i podekscytowani. Przekupki zachwalały towary, mieszczańki pyszniły się nowymi strojami, a kieszonkowcy rzeźali mieszkni. Joachim czuł się jak na otwarciu zapustnego jarmarku.

Nad tym całym rozgardiaszem czuwali Węgrzy pana marszałka koronnego. Stu roślących, ponurych drabów z rusznicami.

Kilkanaście kroków za kordonem Grzegorz Reszko czynił ostatnie przygotowania.

Hirsz poszukał spojrzeniem Jana Koprowskiego. Cała ta szopka z publiczną kaźnią miała na celu uczynić zadość zemście starego. W tej sytuacji nieobecność głównego zainteresowanego była cokolwiek irytująca. Sukinsyn nawet nie przyjechał.

Porucznik splunął na bruk i dał znak żołnierzom przy bramie.

Po chwili przez furtę wyprowadzono Miriam. Nawet w workowatym nakryciu i z ogoloną głową wyglądała pięknie. Towarzyszyło jej dwóch strażników i inkwizytor.

Miriam poruszała się z wyraźnym trudem. Porucznik poczuł ukłucie żalu. Niestety mógł jedynie pośrednio wpływać na złagodzenie tortur.

W stronę skazanej poleciały zgniełe resztki i nawóz. Kilka śmierdzących pocisków dosięgło celu. Dziewczyna nawet nie otarła twarzy. Szła z uniesioną głową, patrząc ponad tłumem.

Kiedy pochód zatrzymał się u podnóża stosu, przed Miriam stanął inkwizytor. Uniósł wyżej trymiany w obu rękach krucyfiks.

- Kobieto, czy wyrzekasz się szatana? - spytał donośnym głosem.

Na placu zapadła cisza tak namacalna, iż można było ją krajać nożem.

Hirsz wykrzywił usta w gorzkim grymasie. Zgodnie z obietnicą daną Falkiewiczowi nakłonił

Miriam, żeby podpisała zeznania. Tłuszcza jednak oczekiwała przedstawienia i musiała je otrzymać. Takie były zasady.

Ciemne oczy dziewczyny prześlizgnęły się obojętnie po kapłanie. Ten wyprostował się i zmarszczył surowo brwi.

- Kobieto, czy wyrzekasz się szatana? - powtórzył pytanie.

Podobnie jak za pierwszym razem, nie uzyskał odpowiedzi.

Po tłumie przeszedł groźny pomruk. Kapłan nerwowo zerknął na boki.

- Kobieto, czy wyrzekasz...

Miriam splunęła mu w twarz krwawą śliną. Ksiądz zachwiał się. Na jego twarzy malowało się zaskoczenie, wściekłość i wstręt. Hirsz wypuścił z sykiem powietrze.

- Wywlec flaki dziwce! - krzyknął ktoś z gapiów, budząc bestię.

Tłum zawrzał i ruszył naprzód. Kordon strażników wygiął się niebezpiecznie. Na rozwścieczonych ludzi spadły razy kolb. Padli pierwsi ranni. Po chwili gwardziści opanowali sytuację.

Reszko doskoczył do Miriam i jednym uderzeniem pięści powalił ją na kolana. Hirsz dał mu znak, by kończył sprawę. Ostatniej rzeczy, jakiej potrzebował, były zamieszki.

Żołnierze wśród złorzeczeń i krzyków przywiązali skazaną do słupa. Reszko chwycił pochodnię i przyłożył ją do wyschniętych na wiór szczap. Opętańcze wycie tłuszczy przywitało pierwsze łapczywe języki ognia.

Miriam z przerażeniem wpatrywała się w pełnące u jej stóp płomienie. Szarpnęła głową, ponownie kierując spojrzenie w ten sam punkt. W oczach miała błaganie o pomoc.

Zaintrygowany Hirsz obrócił głowę i zmrużył oczy. Na tyłach Podwała, przy ślepych zaułku, dwóch szlachciców obserwowało z siodeł egzekucję. Rozpoznał Jana Koptrowskiego. Jednak to drugi jeździec przyciągnął uwagę porucznika. Szeroki kaptur skrywał jego oblicze przed ciekawymi spojrzeniami. W jakiś sposób Joachim miał pewność, że to Augustyn Kozerski.

Co on tu robi?

Hirsz zmrużył powieki. Wokół młodzieńca unosiła się niezwykła aura. Wcześniej, w ciemnej izbie, nie dostrzegł niczego podobnego.

Jakby w odpowiedzi na zainteresowanie porucznika, cień pod kapturem obrócił się w jego stronę. Joachim poczuł ostrzegawcze mrowienie.

Jest osłepiony. Więc skąd to wrażenie?

Nieludzki, raniący duszę skowyt odciągnął go od dalszych rozważań.

Płomienie objęły już całą sylwetkę Miriam. Nagle dziewczyna przestała się miotać. Jej ciało zwiotczało i osunęło się w dół słupa, podtrzymywane przez więzy. Nikt ze zgromadzonych nie usłyszał cichej eksplozji.

Hirsz i Grzegorz Reszko wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Patent z ładunkiem prochu umieszczonym pod lewą piersią zawsze się sprawdzał.

Zgromadzeni ludzie stopniowo milkli, nieco zawiedzeni tak rychłym końcem widowiska. Po trzech zdrowaśkach na Piekieleku zapanowała cisza.

Hirsz przesunął dłońią po wilgotnych włosach. Sprawiedliwości stało się zadość. Ponownie spojrzął w kierunku ślepego zaułka.

Jeźdźcy zniknęli.

Od strony rzeki powiał leciutki wietrzyk, spychając słup dymu w stronę Hirsza. Słodkawy smród uderzył go w nozdrza. Joachim skrzywił się ze wstrętem i zeskokczył z nasypu.

Wiedział, że tej nocy spije się do nieprzytomności.

Tłum brzęczał na podobieństwo wzburzonego roju much. Radosny dźwięk, przywodzący wspomnienia dawnych tłustych czasów.

Rozgrzane powietrze, chłodzone przez powiew bryzy znad ciepłego morza.

Wielki ołtarz, osłonięty cieniem posągów z brązu.

Kapłan odziany w szaty koloru purpury, wznoszący do ciosu miedziany sierp.

Sterta ciał, wokół których kłębiły się tysiące jego skrzydlatych dzieci, zwabionych wonią śmierci i kadzidła.

Służki świątynne, oddające się na mamurowych schodach każdemu chętnemu, kobiecie czy mężczyźnie.

Wszystko to przeminęło dawno temu wraz z ludem, który go czcił.

Puste oczodoły zwróciły się w kierunku kobiety czekającej na śmierć. Była tak słaba i bezbronna. Inaczej niż wówczas, gdy ON rozpiekał się w jej umyśle, tkwił w kościach i mięśniach. Wyczuwał jej strach i przerażenie, karmił się nim.

Jego kapłanka, wyznawczyni i ofiara w jednym. Upadli bogowie nie mogą wybrzydząć. Muszą korzystać z każdej sposobności. Ta śmierć będzie należeć do niego. Zaspokoi trawiący go głód, pozwoli nabrać sił potrzebnych, by opuścić to okaleczone ciało.

Miriam miotała się, przywiązana do pala, obserwując z przerażeniem pierwsze, jeszcze nieśmiałe płomienie. Nagle zamarła w bezruchu, szarpnęła głową i spojrzała w jego kierunku.

Gest ów wywołał zainteresowanie stojącego nieopodal oficera.

Wzrok mężczyzny podążył za błagalnym spojrzeniem Miriam. Oficer przechylił głowę i zmarszczył brwi jak człowiek, który dostrzega coś na krawędzi cienia. Pałące spojrzenie zdawało się przebijać wszelkie osłony. Demon wzdrygnął się trwożliwie.

Ten człowiek skrywał w sobie wiele tajemnic. Mrocznych jak sama Czeluść.

Szczęśliwie oficer odwrócił wzrok i znowu skupił uwagę na spowitej dymem dziewczce.

Augustyn Kozerski chwycił kurczowo ramię Koptrowskiego, dając znak, że chce wracać do domu.

# Epilog

Zima przyszła w tym roku wcześniej, okrywając dachy elbląskich kamienic białą czapą. Lodowaty wiatr mroził skórę i drażnił podniebienie, cienka warstwa śniegu trzeszczała pod podeszwami butów.

Franciszek Hoppe szedł krokiem człowieka zadowolonego. Jego prawa dłoń, skryta w kieszeni płaszcza, ścisnęła pękatą sakiewkę. Zapłatę dla kolejnego zwerbowanego informatora.

Dwór berliński potrafił dbać o służących mu ludzi.

Uliczka była ciemna i tak wąska, że wystarczyło rozłożyć ręce, żeby dotknąć murów po obu stronach. Rozpierające się nad przejściem kamienne łuki osłaniały przechodniów przed gęsto padającym śniegiem. Była to najkrótsza i co równie ważne, dyskretna droga prowadząca do szpitala św. Ducha. W tamtejszym przytułku czekał na niego łącznik z Gdańska.

Hoppe podszedł do bocznego wejścia klasztoru. Zaciśnął skostniałe od zimna palce i wystukał ustalony kod. Po kilku pacierzach furta się uchyliła. W progu pojawił się wysoki mnich. Długi kaptur osłaniał oblicze sługi bożego.

- Ojciec Otto mnie oczekuje, bracie.

Mnich bez słowa odsunął się nieco, by zrobić przejście.

Hoppe wszedł do pogrążonej w półmroku sieni. Nagle zamarł z przerażenia. Na posadzce leżało nagie, pulchne ciało z podgoloną głową.

Sięgnął błyskawicznie po nóż, jednak za późno. Silne palce szarpnęły jego głowę w tył i zimne ostrze wbiło się w krtań.

Szpieg zachłysnął się krwią. Zachwiał się i osunął wzdłuż framugi. Czyjeś mocne dłonie odsunęły połę płaszcza. Po krótkiej chwili odnalazły tajne dokumenty i złoto.

Chciał obrócić głowę, żeby spojrzeć w twarz mordercy. Nie potrafił. Życie opuszczało go z każdym słabnącym chłuiściem krwi.

Poczuł ciepły oddech przy uchu, gdy szorstki głos powiedział:

- Pozdrowienia od pana Gembickiego.



*Księga trzecia*

# *Noc Łowców*





Zimowy wiatr wył łaźnoŝnie, uderzając w solidne mury magazynu.

Dirk Hartveen stał nieruchomo, wsłuchany w odgłosy szalejącej na zewnątrz zamieci. Uŝmiechnął się z zadowoleniem. Miał pewnoŝć, że nikt mu nie przeszkodzi w jego planach.

Wciągnął w nozdrza powietrze. Śmierdziało stęchłym potem, kałem i czymś jeszcze, co Dirk lubił okreŝlać w myŝlach jako zapach strachu. Mieszanka taka zwykle wprowadzała go w upojenie.

Podniósł rękę, w której trzymał lampę oliwną. Młde ŝwiatło sięgnęło ŝciany. Leżało tam kilkanaŝcie ciemnych postaci.

Wybudzeni ze snu, wtuleni w siebie Negrowie patrzyli na nadzorcę z otępiąłą rezygnacją. Tylko w jednym oczach dostrzegł przerażenie.

Młody Negr skulił się pod jego surowym wzrokiem. Był przykuty jako ostatni w rzędzie od lewej. Reszta niewolników trzymała się od niego z dala, w granicach wyznaczonych przez długoŝć pęt. Wszyscy byli połączeni jednym grubym łańcuchem umocowanym do ŝciany. Dodatkowo kaźdy miał kajdany na przegubach oraz kostkach nóg. Dirk Hartveen uważał to za zbytek ostroźności, zwązywŝy na pogodę na zewnątrz. Źaden uciekinier nie przeżyłby na dworze w takie zimno. Towar był jednak cenny i pan Peters nalegał, żeby zabezpieczyć się przed ewentualnymi stratami.

Dirk Hartveen podszedł do chłopaka, zawiesił lampę na haku wystającym ze ŝciany. Sięgnął po pęk kluczy zawieszonych u pasa, odszukał ten odpowiedni. Pochylił się i jedną dłońią otworzył kłódkę. W drugiej ŝciśkał długą, okutą rękoięŝć bicia. Zerkał przy tym z ukosa na pozostałych niewolników. Był nadzorcą od dwudziestu lat i widział na własne oczy, jak kończą ci, którzy stali się nieostroźni w tym łańcu. Wystarczyła chwila nieuwagi, by pozomie oswojony czy pogodzony z losem Negr przemienił się w morderczą bestię.

Szarpnął łańcuch, podrywając chłopaka na kolana. Ustawił go tak, żeby na nagie, lśniące ciało padło ŝwiatło lampy. Z przyjemnością patrzył na kłęczące przed nim stworzenie. Negr był szczupły, o mocnych mięśniach i gładkiej skórze. Ogolona czaszka lśniła, białka oczu błyskały, gdy patrzył z dołu na swego przeŝladowcę. Doskonale wiedział, czego nadzorca od niego oczekuje. Miał na tę naukę całą podróź: kilka mieŝcy spędzonych na morzu.

Jak zaszczute, posłuszne zwierzę - pomyŝlał z satysfakcją Dirk i uŝmiechnął się okrutnie.

Opuŝcił bicz niżej. Skórzane rzemienie opadły swobodną kaskadą. Przesunął je niemal pieszczołliwie po twarzy niewolnika. Drugą dłońią pospiesznie odwiązał kordonki pludrów. Spodnie zsunęły się luźno na kostki nóg. Chłód zaszczypał w poŝladki.

Spojrzął na pozostałych niewolników. Lubiał, jak się przyglądali, czuli jego całkowitą, dorównującą boskiej władzę. Aliŝci najlepsze było to, że nikomu nie mogli powiedzieć. Władza i poczucie bezkarnoŝci to było nawet lepsze niźli sam akt. Tu nie musiał się bać, że go przyłapią z chłopcem okrętowym czy słuźącym. Powiodą przed sąd za sodomie, skażą na stos lub kastrację i przepalenie żelazem. Dla takich jak on nie było litoŝci.

Z tej przyczyny w młodoŝci zaciągnął się do Kompanii Zachodnioindyjskiej i został nadzorcą niewolników. Wtedy przekonał się, że wśród nadzorców jest wielu takich jak on.

Chwycił chłopaka za tył głowy, przyciągnął do siebie.

Wydatne usta ustąpiły pod naporem, jednak zbyt niechętnie jak na wyobrażenie Dirka. Uderzył rękoięŝcią w łusą czaszkę. Chłopak rozwarł szerzej usta. Dirk naparł z całej mocy, nie zważając na odgłosy krztuszenia.

Nagle gdzieś z tyłu rozległ się trzask. Do wnętrza wdarł się zimny powiew.

Dirk zmarszczył brwi. Czyżby ktos przyszedł? Niemożliwe... W taką zamieć - przekonywał sam siebie. Jednak lęk zagoŝcił juź w jego sercu. Ekstaza odpłynęła.

- Zaraz dokończymy - mruknął pod nosem.

Podciągnął spodnie, zawiązał pospiesznie kordonki i ruszył do wyjścia. Wyrzwał na ciemny korytarz.

Nikogo nie było.

Uśmiechnął się do siebie, uspokojony. Już miał wracać, gdy trzaśnięcie powtórzyło się dwukrotnie.

Dirk uniósł głowę.

Tajemniczy odgłos dochodził z magazynu, gdzie znajdował się kantor rachmistrzów.

Z bijącym sercem Dirk wyszedł na korytarz i po cichu ruszył w kierunku źródła tajemniczego dźwięku. Minał przejście prowadzące do silosów zbożowych i wkroczył do magazynu korzennego. Wewnątrz hulały przeciągi. Nadzorca stanął przed schodami wiodącymi na antresolę. W ciemności wydało mu się, że drzwi do kantoru są uchylone. Upewnił go o tym kolejny zimny podmuch i odgłos uderzenia o futrynę. Dirk zmarszczył brwi. Gdy ostatnio tędy przechodził, drzwi na pewno były zamknięte. Spojrzył w okno kantoru, wychodzące na magazyn. Nie dostrzegł światła.

Po chwili zastanowienia nadzorca wypuścił powietrze z ulgą. Pewnie któryś z liczykrupów nie zatrzasnął okna i przeciąg otworzył drzwi.

Ostrożnie, po omacku postawił stopy na stopniach. Zaklął w duchu, że nie wziął lampy.

Był w połowie schodów, gdy coś przemknęło w ciemności za jego plecami. Obrócił się gwałtownie. Zacisnął wilgotną od potu dłoń na rękojeści bata. Zszedł dwa stopnie, wypatrując oczy aż do bólu. Nic jednak nie zauważył.

Pewnie szczer - pomyślał, choć musiał to być cholernie wielki osobnik. Tu na Wyspie Spichrzów zdarzały się gryzonie wielkości kota.

Odwrócił się i ruszył do góry.

Zatrzymał się przy uchylonych drzwiach. Zajrzał do kantoru. Tak jak przypuszczał, jedno z okien było niedomknięte. Do pomieszczenia wpadał słupek srebrzystej poświaty. Podszedł do okiennicy. Na dworze przestało padać, lecz silny wiatr przywiewał od strony Motławy drobiny śniegu. Spojrzył w niebo. Wybiła północ, a do tego zbliżała się pełnia.

Było cicho i pięknie, chociaż cholernie zimno.

Dirk poczuł, jak wraca mu chęć na chłopaka. Wciągnął z zadowoleniem czyste powietrze i zatrzasnął okiennice.

W tym momencie wyczuł czyjąś obecność za plecami.

Przeszył go nagły dreszcz od nasady kręgosłupa aż po kark. Uświadomił sobie, że nie przykuł Negra do ściany. Jednak tamten miał przecież skute rękę i nogi. Myśl ta trwała tylko przez jedno uderzenie serca. Obrócił się z uniesionym do ciosu biczem i zastygł z przerażenia. Oddech później czarna, muskulama sylwetka opadła na niego z impetem, powalając na ziemię.

Przed śmiercią przypomniał sobie jeszcze ostrzeżenie, które usłyszał od czarownika w Fort Jakob.

•

Mróz zacisnął okowy nad Żuławami. Porucznik Joachim Hirszt nasunął głębiej sobolową czapkę na uszy. Wiatr wiejący od morza piekł boleśnie nieosłoniętą skórę.

Drugą ręką, w której ścisnął wodze, wstrzymał wierzchowca przed Bramą Żuławską. Wrota były zamknięte. Hirszt objął wzrokiem przysadzisty zespół bramny, osadzony w potężnych fortyfikacjach ziemnych otaczających Gdańsk.

Po chwili z bocznej furty wyłonił się wartownik. Obrzucił przybysza wrogim spojrzeniem i wyszedł na zewnątrz chwiejnym krokiem. Gdy zbliżył się do wierzchowca, zwierzę parknęło, odwracając łeb. Hirszt również wyczuł odór gorzałki bijący z oddechu wartownika. Po całym dniu w

siodle był to jednak miły zapach, przywodzący na myśl ciepłą gospodę.

Strażnik wbił w przybysza oczy, czujne i podejrziwe.

Porucznik nie dziwił się tej reakcji. W całych Prusiech pojawiały się tej zimy wciąż nowe ogniska zarazy. Oczywiście przeto było, że władarze Gdańska zarządzili wzmożone środki ostrożności.

- Skąd was niesie, panie, w taki ziąb? - zapytał wartownik po niemiecku.

- Z Elbląga - odparł krótko Hirsz, przechodząc na pierwszy język Gdańska.

Wartownik opuścił wzrok na skórzane torby przewieszzone przez kulbakę. Hirsz dostrzegł w mętnych oczach chytry błysk.

- Macie, panie, coś do oclenia?

- Nie.

Był głodny, zziębnięty i nie miał ochoty na dyskusje.

Wartownik zmarszczył brwi. Bynajmniej nie wyglądał na przekonanego tą lakoniczną deklaracją.

- Sprawdź! - Wyciągnął rękę do juków.

Ogier wyszczerzył zęby prychając gorącą parą z chrap. Mężczyzna pospiesznie cofnął łapsko, które natychmiast oparł na rękojeści długiego marynarskiego noża.

Hirsz nie wykonał żadnego fałszywego ruchu. Zerknął tylko w okienko na parterze bramy.

Pojawiła się tam luźna rusznicy.

Westchnął w duchu. Prawdopodobnie moczymordom skończyła się gorzałka i chcieli wyłudzić kilka szelągów na kolejny garniec. Porucznik nie zamierzał jednak szastać groszem,

- Mam glejt na wolny wstęp do miasta. - Podniósł głos ton wyżej, by tamten z rusznicy również go usłyszał.

Twarz wartownika ściągnęła się pod wpływem niepokoju.

- Pokaż, panie.

Hirsz powoli sięgnął do torby. Odnalazł boczną kieszeń i wyjął pismo. Podał strażnikowi.

Ten rzucił okiem na pieczęć rady Starego Miasta. Momentalnie wyprostował się jak struna, prezentując iście niemiecką karność wobec władzy.

- Wybacz, panie, już rozwieram furtę - wyrzucił z siebie. - To przez zarazę. Rajcy przykazali baczyć na wszelkie podejrzanе indywidua... - zreflektował się nagle. - Oczywiście wasza wielmożność nie wygląda na takiego.

Porucznik nic nie rzekł. Odebrał pismo i schował do torby.

Wartownik podbiegł do stróżówki. Po chwili jedno z podwoi bramy rozwarło się na oścież.

Porucznik popędził wierzchowca kolanami. Minął bez słowa strażników. Mężczyźni stali ze spuszczoneymi głowami, zapewne zastanawiając się, kim on jest i jak bardzo może im zaszkodzić. Hirsz przez chwilę rozważał taką możliwość. Szybko ją odrzucił, bo nie należał do ludzi małostkowych.

Przedmieście Długich Ogrodów rozciągało się po obu stronach prostej, szerokiej drogi, przy której stały drewniane, osnieżone domki. Nad nimi górowała bryła kościoła św. Barbary. Widok wydawał się sielski, jednak pod całunem śniegu kryły się nielegalne warsztaty partaczy i rudery zamieszkałe przez biedotę.

Hirsz wjechał na ulicę Stągiewną i znalazł się na Wyspie Spichrzów. Wielkie magazyny wznosiły się ku niebu stromymi dachami. Jeśli Długi Targ stanowił głowę Gdańska, to Wyspa Spichrzów było jego sercem. Tutaj gromadzono zboże spławiane Wisłą i stąd wysyłano je do miast Zachodu.

Ta pora roku nie sprzyjała handlowi. Na szerokich ulicach wirował wzburzony wiatrem śnieg.

Hirsz przejechał Zielony Most. W dole, na skutej lodem Motławie, ślizgała się gromada dzieci. Za Zieloną Bramą odbił w bok, kierując wierzchowca na tyły patrycjuszowskich kamienic. Zatrzymał się przed wąskim, strzelistym budynkiem.

Posesję otaczał dwumetrowy mur z czerwonej cegły, w którym osadzono bramę. Hirsz zeskokczył z siodła, podszedł do oszronionej furty, chwycił kołatkę i opuścił trzy razy.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie zjawiał. Porucznik, przemierzający i zniecierpliwiony, załomotał w drzwi pięścią.

Po dwóch zdrowaśkach dosłyszał skrzypienie śniegu po drugiej stronie muru. W wizjerze błysnęło czujne oko. Hirsz nie musiał się przedstawiać. Przez ostatnie miesiące był w tym domu częstym gościem.

Rygle zazgrzytały. W otwartych drzwiach ukazała się znajoma twarz sługi.

- Jaśnie pan porucznik, witamy, witamy. -Mężczyzna ukłonił się w pas.

- Pan Jakub w domu?

- A jakże, u siebie.

Hirsz przeprowadził wierzchowca na drugą stronę i przekazał służce wodze. W wolną dłoń wcisnął mu półgrosz.

- Wyczyść go dobrze i nakarm. Trudził się cały dzień.

- Zrobi się, panie poruczniku.

Hirsz przekroczył ciasne podwórze i po schodkach wszedł do tylnej sieni. Tam przejął go Horst, starszy lokaj. Wysoki, chudy jak tyczka mężczyzna podbiegł, żeby przywitać niespodziewanego gościa. Widząc oszroniony płaszcz i zaśnieżone buty porucznika, załamał ręce.

- Podróżować w taką pogodę - rzekł z przyganą. - Co też przyszło do głowy jaśnie panu?

Porucznik zdjął czapę i otrzepał ją o udo.

- Interesy Horst, interesy - odparł, używając formuły często używanej w tym domu.

Starszy lokaj skinął głową ze zrozumieniem, jakby to zdanie objaśniało cały porządek świata. Dał znak dwóm służącym, żeby rozdziiali Hirsza.

Joachim z ulgą rozluźnił ramiona, uwolnione od ciężkiego okrycia.

- Słyszałem, że pan w domu.

- W gabinecie. Bardzo waszmość pana wyczekiwał. Jakby co przeczuwał.

- Przynieś tam coś na ząb i gorzałkę, koniecznie mocną!

Horst ruszył do kuchni, wcześniej nakazując dziewczom, żeby wytarły błoto z podłogi.

Porucznik przeszedł do głównej sieni, obszerniejszej i ozdobnej. Po szerokich, lekko wygiętych schodach wspiął się na piętro. Minął drzwi bawialni, spoza których dochodziły rozbawione kobiece głosy. Przystanął przed zamkniętymi drzwiami gabinetu, zapukał.

- Wejść - rozległ się mocny głos.

Otworzył drzwi i znalazł się w przytulnej, jasno oświetlonej komnacie.

Przemknął wzrokiem po doskonale znanym mu pomieszczeniu. Od jego ostatniej wizyty niewiele się tu zmieniło. Regały z książkami, dwa obite skórą fotele, przytłaczające wszystko masywne biurko.

Jakub Peters na widok gościa uśmiechnął się szczerze. Poderwał się znad ksiąg rozłożonych na blacie i wyszedł ku porucznikowi z otwartymi ramionami.

- Witaj, Joachimie - rzekł, gdy uściśniły się serdecznie.

- Witaj, Jakubie.

Poznali się rok temu w Warszawie, gdzie Jakub Peters sprawował funkcję rezydenta Rady Gdańskiej przy majestacie królewskim. Wówczas to kupiec wybawił porucznika z opresji, wynikłej na skutek awantury w warszawskiej karczmie. Potem Hirsz wyświadczył mu kilka usług. Głównie z rodzaju tych, gdzie konieczne jest żelazo i dobrze nabity pistolet. Od tamtych dni obu mężczyzn podążała szczerza sympatia. Gdańszczanin wskazał na fotel.

- Spocznij, pewnie jesteś wielce zdrowszy. Hirsz nie zaprzeczył, z ulgą posadził obity w siodle tyłek na miękkich poduszkach. Gospodarz zajął drugi fotel.

- Załatwiłeś swe sprawy w Elblągu? - zapytał Peters.

Hirsz skrzywił usta, skinął głową.

- Całkowicie.

Jakub Peters przezornie nie pytał o szczegóły. Już w Warszawie zauważył, że Hirsz nie jest zwyczajnym instygatorem królewskim. Choć nigdy o tym nie rozmawiali, musiał się domyślać, jakiego rodzaju interesy zajmowały porucznika w Elblągu.

- A twój wachmistrz i Kozacy?

- Zostali w Prusiech. Dojadą tu za niedługo czas.

Jakub uśmiechnął się szeroko.

- Zatem zatrzymasz się na dłużej.

Hirsz nadął policzki, wypuścił z sykiem powietrze.

- Tydzień, może dwa. Zależy, jakie rozkazy nadejdą z Warszawy.

- Świetnie! Zatem uczyni mi tę łaskę, zatrzymaj się u mnie w gościnie.

- Twoja ślubna nie przepada zbyt za moją osobą.

- Klara uczyni, jak zechcę. Mój przyjaciel nie będzie się tułał po gospodach.

- Zatem chętnie skorzystam z gościny. Kupiec klepnął się dłonią w czoło.

- Cóż ze mnie za gospodarz! Ja tu gadam, a ty jesteś zapewne głodny, spragniony.

Chciał się poderwać z fotela, ale Hirsz powstrzymał go szybkim gestem.

- Spotkałem Horsta w sieni. Zaraz coś przyniesie.

- Doskonale. Każę przygotować ci kąpiel i ubranie, żebyś dobrze wyglądał na wieczery.

- Miarkuję, że nie jestem jedynym gościem - domyślił się Hirsz. - Słyszałem kobiece głosy przez drzwi bawialni.

Peters błysnął uśmiechem.

- Gości u nas przyjaciółka Klary. Przyjechała z Pillau. Na ziemiach elektorskich panuje zaraza. Powiadam ci, piękna niewiasta, aż sam bym uległ pokusie - zrobił kwaśną minę - ale rozumiesz, za duże ryzyko. Ty jesteś jednak wolny.

Hirsz z miejsca się zainteresował.

- Co na to jej małżonek, nie pilnuje takiego skarbu?

- Anna jest wdową. Tym lepiej dla ciebie.

Jakub Peters jak na luteranina miał dość swobodne podejście do tych spraw. W Warszawie odwiedzili pospołu niejedną zamtuz.

Rozległo się pukanie. Był to Horst. Przyniósł pieczonego kurczaka i karakę gorzałki. Rozstawił naczynia, wysłuchał poleceń pana i zniknął za drzwiami.

Tymczasem Joachim bez ceregieli wziął się za pieczyste. Gospodarz rozlał gorzałkę do kryształowych kieliszków.

- Twoje zdrowie i za powodzenie w interesach - wznosił toast.

Hirsz przechylił kieliszek. Okowita była taka, jak prosił. Mocna. Miłe ciepło rozlało się po przełyku.

Zaspokoiwszy pierwszy głód, rozparł się w fotelu i odsapnął. Tu nie musiał uważać na każdy gest czy krok, wciąż trzymać broni w pogotowiu. Po raz pierwszy od wielu dni poczuł się bezpieczny.

W kominku trzaskał wesoło ogień. Płomienie odbijały się w rudych włosach Jakuba Petersa. W zielonych oczach czaiła się jednak skrywana troska. Porucznik przypomniał sobie słowa lokaja, które usłyszał w sieni. Ponoć Jakub bardzo wyczekiwał jego przybycia do Gdańska.

Postanowił sam przejść do rzeczy.

- Mów, co to za sprawa, bo widzę, że się ledwie powstrzymujesz.

Kupiec skrzywił usta.

- Chciałem zaczekać, aż odpoczniesz, ale skoro sam zapytałeś...

Zamilkł na chwilę, żeby rozlać gorzałkę do kieliszków.

- Jakiś czas temu wszedłem w pewien duży interes. Przynajmniej, dość ryzykowny, lecz przez to wielce zyskowy w razie powodzenia sprawy.

- Co to za przedsięwzięcie?

- Słyszałeś być może o planach księcia Kurlandii w kwestii założenia kolonii?

Hirs zmarszczył czoło, usiłując sobie przypomnieć sprawę sprzed paru lat.

- Tak, Kurlandczycy chcieli zdobyć kolonie w Indiach Zachodnich. Cała ta sprawa miała posmak awanturnictwa.

Peters pokiwał głową.

- Dobrze kojarzysz. Wiedzę jednak, że książę Jakub Kettler dopiął celu. Ja zaś związałem się z kartelem kupców kurlandzkich, popierającym całą rzecz.

Joachim spojrział na kupca z bezgranicznym zdumieniem. Zwykle Jakub Peters odznaczał się w interesach większą przezornością, ta zaś sprawa zakrawała na czyste szaleństwo.

- Nie sądzisz, że Kurlandia jest zbyt słaba, by utrzymać tak odległe ziemie? - zapytał ostrożnym tonem.

- To wyspa. Założono już tam placówkę handlową. Teraz planujemy powiększyć osadę i plantacje. W mieście jest już kilkuset osadników. Wciąż jednak pozostał problem siły roboczej odpowiedniej w tamtym klimacie. Niewolnicy kupowani od Holendrów czy Portugalczyków są horrendalnie drodzy. Tymczasem w Afyce można kupić silnego Negra niemal za garść paciorków. Wystarczy uzbroić w muszkiety jakieś plemię, a dzikusy sami będą łowić dla nas niewolników.

Hirs domyślił się reszty.

- Zatem książę planuje założyć drugą kolonię na ziemiach Negrów.

- Już to uczyniono. Cała sprawa odbyła się w tajemnicy. Okręt wypłynął zeszłego roku z portu Windau. Założono fort, w którym osiedlono gamizon. Osadę nazwano Fort Jakob. Zawarto również porozumienie z wodzem sąsiedniego plemienia.

Przerwał na moment i opróżnił kieliszek.

- Okręt powrócił miesiąc temu z pełnymi ładowniami - ciągnął opowieść. - Zatrzymał się tu, w Gdańsku, gdyż porty w Inflantach skuł lód. Powiadam ci, bajkowe bogactwa. Kość słoniowa, pieprz, złote bryłki. Z początku wszystko szło idealnie. Łądem wysłałem część ładunku do Mittawy, a resztę sprzedałem na pniu kupcom z Krakowa i Lwowa. Część przypraw kupił też książę Bogusław Radziwiłł. Zyski były tak duże, że nakłoniłem kilku rajców, by dołączyli do kartelu. Wówczas zaczęły się te morderstwa.

Hirs pochylił się ku Petersowi. Sprawa stawała się coraz ciekawsza.

- Kto zginął?

- Dwóch ludzi. Dwa tygodnie temu znaleziono martwego nawigatora, a przed trzema dniami zamordowano pana Dirka Hartveena, tłumacza i nadzorcę niewolników.

- Niewolników?

- Tak. Sprowadziłem grupę kobiet i młodych mężczyzn. To ostatnia moda u patrycjuszy: czarna służba. Kobiety sprzedałem do burdeli. Zostało mi jeszcze kilkunastu niedorostków. Trzymam ich z resztą towaru. Na wiosnę odsprzedam ich jako paziów na dwory magnackie.

- Skąd takowy pomysł?

- Wpadłem nań jeszcze w Warszawie. Widziałem tam takiego szlachcica z Negrem u boku. Co mnie zadziwiło, ów Negr nosił żupan i szablę.

Hirs skinął głową.

- A, znam człeka. Nawiasem mówiąc, to ciekawa historia. Jego ojca kupił Andrzej Fredro, woski przemyski, jeszcze za króla Zygmunta. Zasłużył się i został wyzwolony. Ponoć był z niego gracz na szablę, a przy tym człek krwi gorącej. Na starość ożenił się z jakąś mieszczką. Mulat, którego spotkałeś, to owoc owego związku. Służy u Fredrów wedle własnej woli. Ale wróćmy do morderstw. Widać komuś przeszkadza wasza udana ekspedycja - stwierdził Hirs. - Kto może być

wam przeciwny?

Peters wzruszył bezradnie ramionami.

- Holendrzy, Angielska Kompania Zachodnioindyjska, a może jakaś tutejsza konfraternia. Wielu ludzi krzywo patrzy na moje powodzenie. Pod tą bogobojną otoczką Gdańsk to prawdziwe gniazdo szerszeni.

Dalszy wywód przerwał wejście Horsta.

- Kolacja będzie za godzinę - zapowiedział lokaj dostojnym tonem. - Pani mierzy suknie w alkowie, pytała o jasnie pana. Powiedziałem jej, że przyjechał pan porucznik.

Jednocześnie Horst spojrział wymownie wpiern na karafkę, a potem na swego pracodawcę. Dyskretnym ruchem głowy wskazał korytarz.

Jakub uniósł brwi jakby zdziwiony, aliści po chwili na jego obliczu pojawiło się zrozumienie. Spojrzął smętnie w szkło. Napitek wchodził gładko i karafka została opróżniona do połowy.

- A tak, masz rację, Horst, Klara będzie się gniewać, jeśli się spijemy przed kolacją. Czy kąpiel gotowa?

- Tak, panie.

Peters powstał z fotela, nieco już chwiejnie.

- Dokończymy przy wieczerzy, Joachimie.

Horst zaprowadził porucznika do pokoju łazienego. Zamiast balii stała tu obszerna wanna z marmuru, z kranami w kształcie łabędzich głów. Gorącą wodę tłoczono za pomocą pomp rurami z kotłowni. Kolejna nowinka z Niderlandów.

Porucznik zrzucił ubranie, zanurzył się w gorącej, parującej wodzie. Wypita gorzalka krążyła leniwie we krwi. Sen przyszedł niepostrzeżenie.

.

Obudziło go dotknięcie. Spojrzął nieprzytomnie na Horsta.

- Już czas, panie poruczniku - rzekł lokaj, podając mu ręcznik.

Hirsz wyszedł z wanny i wytarł się do sucha. Na ławce stojącej pod ścianą leżało ubranie. Nowe spodnie, wytworny kaftan, jego stary pas ze srebrną sprzączką i wysłużone, lecz wyglansowane na połysk buty.

Hirsz wdział strój, a następnie wziął podany przez lokaja grzebień. Horst stał parę z powierzchni zwierciadła. Porucznik zaczesał włosy i spojrzął krytycznie w lustro. Nie wyglądał źle.

Przeszli do sali jadalnej. Horst otworzył dwuskrzydłowe drzwi. Porucznik wkroczył do przestronnej, bogato ozdobionej komnaty. Pośrodku stał duży prostokątny stół. Siedzieli przy nim Jakub, jego żona Klara oraz druga kobieta, jak się domyślił, wdówka z Pillau.

Jakub nic nie przesadził, opisując urodę poddanki elektorskiej. Długie, złociste włosy spięte w finezyjny sposób, niebieskie oczy i usta pełne, lecz przy tym kształtne. O ile mógł ocenić, pierś nieduża, lecz jędrna, kibić wąska, nie potrzebująca gorsetu. Jednym słowem: piękność.

Spojrzał śmiało w lasur oczu. Uśmiechnęła się i dopiero po dłuższej chwili spuściła skromnie rzęsy.

Joachim pokłonił się paniom. Klara odpowiedziała oschłym skinieniem głowy. Wyraźnie nie pochwałała tej przyjaźni męża. Hirsz nie dziwił jej się zbyt. Podczas ostatniej bytności u Petersów jego ludzie zbałamucili pani Klarze wszystkie pokojówki.

Obdarzył gospodynię swym najbardziej uroczym uśmiechem i zasiadł na krześle, mając po prawej ręce uroczą wdówkę. Pachniała równie pięknie, jak wyglądała.

Zaraz potem podano do stołu. Głównie ryby, choć i mięsiwa również nie zabrakło. Z owoców wystawiono marynowane gruszki, śliwki i jabłka. Widząc owe specjalia, czując ich zapach, Hirsz poczuł naraz wściekły głód. Najchętniej rzuciłby się rękami na parujące mięsiwo, po staropolsku,

bez pludrackich ceregieli. Niestety dom Petersów był domem światowym i posługiwano się tu widelcami.

Sztuczki były prawdziwymi cacuszkami wykonanymi ze srebra. Posiadały po trzy ząbki oraz były specjalnie wygięte, żeby uniemożliwić gościom dłubanie w zębach. Wszystko wedle najnowszej mody, wprowadzonej przez kardynała Richelieu.

Hirsz skłął w duchu przemyślnego purpurata. Szczęśliwie, przebywając przy dworze monarszym, zdołał już przyuczyc się do owej nowinki. Jednak wysiłek z tym związany popsuł mu całkiem smak potraw.

Mocując się z kolejnym kawałkiem pieczonego, zerkał z podziwem na Annę. Piękna wdówka posługiwała się sztuczkami z godną podziwu naturalnością. Patrząc na jej lekko rozchylone wargi, zastanawiał się, czy z innymi rzeczami radzi sobie równie dobrze.

Rozmowa przy stole była raczej lekka. Ot, nieco plotek ze świątka kupieckiego czy ratusza.

Po posiłku służba wniosła słodycze. Prócz ciast przy każdym biesiadniku stanął dzbanuszek z parującą cieczą oraz filiżanka. Podano również jakoweś ciemne grudki oraz miód.

Jakub Hirsz rozejrzał się po zebranych z miną człowieka wiedzącego coś, o czym inni nie mają pojęcia.

- Spróbujcie - rzekł i zachęcił gestem dłoni. Hirsz pochylił się, powąchał ciecz. W nozdrza uderzył go gorzki, nieco korzenny zapach. Spojrzał pytająco na przyjaciela.

- Herbata - wyjaśnił Peters.

- Cóż to jest, do diaska?

- Napój z Indii Zachodnich - wyjaśnienie padło z całkiem nieoczekiwanej strony.

Hirsz spojrział zaskoczony na Annę. Piękna, dwoma i do tego wykształcona. Kobieta jakby nie na te czasy. Znów zaczął się zastanawiać, czym jeszcze by go zadziwiła, gdyby znaleźli się sam na sam.

Tymczasem wdówka kontynuowała wywód:

- Jest to wywar z liści rośliny rosnącej na tamtejszych ziemiach. U nas mało znany, lecz dość popularny w Amsterdamie. Stawia na nogi, ujmując zmęczenie. - Wskazała palcem na brązowe bryłki. - Z cukrem trzcinowym nawet smaczny. Można również dodać miód czy okowitę, zwłaszcza zimą.

Ostatnia kompozycja jakoś bardziej przekonała porucznika do egzotycznego wywaru.

- Zaskakujesz mnie, pani. Skąd to wszystko wiesz? - zapytał Jakub, wyraźnie niemile zaskoczony, że ktoś go ubiegł w wykładzie.

Anna znów skromnie skryła oczy za rzęsami.

- Mój świętej pamięci mąż utrzymywał faktora przy giełdzie w Amsterdamie. Lubił też opowiadać o swych interesach. Niechący troszeczkę się przy nim nauczyłam.

Ładne mi troszeczkę - pomyślał Hirsz, wpatrując się we wdówkę jak Tatar w jasyr.

Sięgnął po dzbanuszek, nalał naparu do filiżanki i spróbował.

- Nawet dobre - przyznał - jednak prawdziwym cudem, jeśli chodzi o pobudzenie krwi i wyzbycie się senności, jest kawa.

- Kawa? Cóż to jest? - zapytała pani Klara Peters, czując się chyba nieco pominięta w rozmowie.

- Również napój gorący, lecz parzony z ziaren. Poznałem go, gdym przebywał w niewoli tatarskiej u pewnego paszy. Turcy pijają kawę jako gęsty napar, nawet kilka razy dziennie. Częste używanie uodporniło ich organizmy. Ja jednakowoż, gdy pierwszy raz spróbowałem owego specjału, przez dwa dni i nocę nad księgami bez ustanku siedzieć mogłem.

- Zatem rzecz to niebezpieczna, do wycieńczenia organizmu prowadząca - stwierdziła autorytatywnie pani Klara. - Dobra może dla pogan, lecz w krajach chrześcijańskich nigdy się nie przyjmie. Zgadzasz się, kochanie? - zwróciła się do małżonka.

- Najzupełniej, moja droga - przytaknął gorliwie.



Niemniej Hirsz dojrzał charakterystyczny błysk zainteresowania w oczach Jakuba. Jego przyjaciel przepadał za wszelkimi nowinkami i wszędzie potrafił dostrzec okazję do zarobienia paru portugałów.

- Byłeś waszmość w tatarskiej niewoli? - zapytała Anna, wyraźnie zafascynowana tym wyznaniem.

Im dalej od Dzikich Pól, tym bardziej rosła fama o dzikości Tatarów. Kobieta tak ciekawa świata musiała złapać się na ten haczyk. Hirsz wzruszył ramionami, grając rolę twardziela.

- Żołnierska to rzecz trafić w nieprzyjacielską niewolę.

- Chrześcijańska to i owszem - zakrzyknęła pani Klara. - Jednak ci poganie to niemal zwierzęta.

- Ludzie to tacy jak my, jeno inszego Boga wyznający.

- Czy to prawda, że tamtejsi mężczyźni z klaczami swymi obcuja jak z kobietami? - zapytał Jakub.

- W czerni tatarskiej ponoć to się zdarza.

- Bezbożna, pogańska ohyda - fuknęła pani Klara.

- Z doświadczenia wiem, że noce na stepie bywają zimne i samotne - odparł Hirsz śmiertelnie poważnym tonem.

Obie panie spojrzały na porucznika niepewnie. Joachim ponownie obdarzył je ujmującym uśmiechem.

Wreszcie na stół wjechały alkohole, toteż reszta wieczoru zbiegła przyjemnie i szybko. Joachim dostrzegł parokroć, jak Anna rzucała w jego kierunku ukradkowe spojrzenia. Cóż, zaciekać kobietę to znaczy ją uwieść.

Noc już na dobre rozgościła się za oknami, gdy biesiadnicy rozeszli się do swych komnat. Hirsz położył się do pachnącego, świeżo pościelonego łóża. Cały dzień w siodle i nadmiar wina zrobiły swoje.

Usnął jak dziecko.

•

Poranek był słoneczny i przejrzysty. Nad Wyspą Spichrzów, pod bezchmurnym niebem, kołował samotny gawron.

Szczytowe słońce łagodziło krępką mróz. Czasem tylko, gdy zawiąło od strony zatoki, porucznik czuł szczypanie na policzkach. Z zadowoleniem wciągnął do płuc zimne powietrze. Krótki spacer od Długiego Targu orzeźwił go, a chłód przepędził porannego kaca.

Spuścił wzrok i skupił uwagę na uliczce rozdzielającej dwie bryły magazynów.

- Panie, chodźmy - ponaglił go drżący głos.

Porucznik spojrzął z góry na starszego mężczyznę. Ludwik Knopff, zarządca spichlerza należącego do rodziny Petersów, wydawał się przemarznięty.

Hirsz skinął głową na znak, że mogą ruszać.

Zanurzyli się w mroźnym cieniu. Cel ich wędrowki znajdował się o kilkaset kroków dalej. Uliczka rozszerzała się tam, tworząc niewielki plac przeładunkowy.

- To tu. - Knopff wskazał dłonią spichlerz, otoczony kompleksem drewnianych magazynów.

Wysokie, podwójne wrota były zawarte. Skręcili w bok, do tylnego wejścia. Knopff uderzył pięścią w drzwi i niemal natychmiast pojawił się pachołek. Na widok zarządcy ustąpił pospiesznie z przodu. Weszli do wnętrza magazynu.

Hirsz rozejrzył się, zaciekawiony. Oceniał, że to tylko przedsionek, prowadzący do większych składów. Zgromadzono tu głównie takielunek okrętowy i materiały niezbędne przy naprawach statków.

Przeszli dalej, do wielkiej hali zastawionej skrzyniami, beczkami, belami płótna. Wzrok Hirsza

przyciągnęły olbrzymie beczki, przeznaczone do transportu okowity. W myślach próbował oszacować ich pojemność. Wyszła mu naprawdę imponująca liczba. Warszawskie spichlerze nie mogły się równać z tymi magazynami.

- Ile tu się zmieści zboża? - zapytał Knopfta.

- Wystarczyłoby na kilka statków. Jednak zboże trzymamy w silosie, w części bliżej nadbrzeża. Tego magazynu używamy w okresach szczególnego urodzaju lub spadku cen na Zachodzie. W tym roku przez bunt kozacki zboża było mniej niżli w latach ubiegłych. Ceny wzrosły niepomniemie. W samych zamówieniach sprzedaliśmy wszystko na pniu. Wojna w Anglii zakończyła się, a w Niemczech dogasa. Ludzie chcą jeść, pić gorzałkę i się mnożyć. To napędza koniunkturę. Ta reszta zboża, która nam została w silosach, czeka na przednówek.

Hirsz pokiwał głową z podziwem. Musiał jednak się skupić na celu swojej wizyty.

- Pokaż miejsce crimenu - zażądał.

- Pozwól za mną waszność - powiedział Knopft. Opuścili główną halę i szerokim korytarzem przeszli do sąsiedniego pomieszczenia. Było mniejsze od poprzedniego, toteż wydawało się bardziej zapełnione.

W powietrzu unosił się drażniący nozdrza zapach przypraw. Większości woni Hirsz nie rozpoznawał. Domyślił się, że widzi zyski z wyprawy afrykańskiej. Ilości towaru po prawdzie nie były oszałamiające, zważywszy jednak na fakt, że każdy gram przyprawy był cenniejszy od złota, Jakub Peters i tak zrobił niezły interes.

Knopft zaprowadził go do drewnianych schodów wiodących na piętro. Znajdowała się tam zabudowana antresola z oknem wychodzącym na magazyn. Wspięli się na górę, pod solidne drzwi.

- To mój kantor - objaśnił zarządca, szukając klucza po kieszeniach. - Trzymam tu podręczne księgi rachunkowe.

Pochylił się nad zamkiem, otworzył drzwi. Wyprostował się i wykonał ręką zapraszający gest.

- Proszę, pan pierwszy, poruczniku.

Hirsz przekroczył próg. Kantor nie odbiegał urządzeniem od innych pomieszczeń tego typu. Brakowało jedynie pulpitu dla pisarzy. Hirsz przyjrzał się bliżej podłodze. Na deskach dostrzegł jaśniejsze, regulame plamy.

- Co tu stało? - zapytał, choć już znał odpowiedź.

- Pulpity dla pisarzy. Przeniosłem ich do innego pomieszczenia. Chciałem uniknąć plotek, zważywszy na niecodzienny rodzaj śmierci pana Hartveena.

- Dobrze uczyniliście - pochwalił porucznik. -Gdzie leżało ciało?

- Przy oknie. Widocznie biedny pan Hartveen wyglądał na zewnątrz, gdy go zaatakowano.

Hirsz podeszedł do wskazanego miejsca. Obejrzał dokładnie framugę. Następnie przykucnął i przyjrzał się plamom krwi na podłodze. Położył dłoń na rdzawej powierzchni, mając nadzieję, że dotyk sprowadzi wizję. Jednak jego szczególny dar spał.

- Co tu robił po nocy? Miał klucz? Knopft nieco się speszył.

- Klucz miałem tylko ja. Przez cały czas biję się z myślami, czy zamknąłem tamtego wieczoru drzwi.

- Nie dostrzegłem na drzwiach śladów włamania. Chyba że pan Hartveen był obeznany ze złodziejskim fachim.

Starszy nad kantorem uczynił gwałtowny gest zaprzeczenia dłonią.

- To był bardzo pobożny człowiek. Religijny i wielce oddany swym obowiązkom. Specjalnie prosił o przydzielenie mu tu kwatery, żeby mógł wypełniać swoje obowiązki.

- Co to były za obowiązki?

- Głównie nadzór nad Negrami należącymi do pana Petersa.

- Gdzie oni?

- W środkowej części, gdzie ciepłej. Te istoty nie nawykły do chłodu.

- Czy któryś z nich mógł zabić? Knopff pokręcił głową.
  - Wykluczone. Wszyscy są przykuci łańcuchami do ściany i do siebie nawzajem.
  - Gdzie ciało?
  - Złożone do grobu. Nie wiedzieliśmy, kiedy pan przyjedzie. Wszelkie opóźnienia tylko wywołałyby plotki. Ludzie i tak gadają.
  - Ponoć to pan pierwszy odkryłeś ciało?
  - Zgadza się. Natychmiast też powiadomiłem pana Petersa.
  - Jak wyglądało?
- Wprawdzie Jakub Peters opisał mu całą rzecz z drastycznymi szczegółami, a liści Hirsz chciał usłyszeć wszystko od pierwszego świadka.

Knopff pobladł, zapewne pod wpływem wspomnień.

- Pan Hartveen miał rozdartą pierś i wyrwane serce - wydusił z siebie. - Serca nie zdołaliśmy odnaleźć. Były też zadrapania, długie, głębokie, jakby od pazurów.
- Czy trzymacie tu dzikie zwierzęta?
- Nie. Pan Peters zażyczył sobie wprawdzie, by dostarczyć mu żywego lwa, jednak bestia zdechła jeszcze na morzu.

Porucznik nie miał więcej pytań.

Dokładnie obejrzał pomieszczenie, lecz nie natrafił na żadne ślady, mogące wskazać tożsamość mordercy. Ponownie podszedł do okna i otworzył je na oścież. Owiało go zimne powietrze.

Hirsz zagryzł dolną wargę. Po co tu przyszedłeś? Co dostrzegłeś za oknem tamtej nocy?

Odrzucił się do Knopffa.

- Chcę zobaczyć tych Negrów.

Tuzin zdrowasiek później wszedł do zacienionego pomieszczenia, gdzie przetrzymywano niewolników. Powietrze przesycił odór niemytych ciał. Knopff pośpiesznie wyjął z kieszeni koronkową chustkę i przyłożył do nosa.

Niewolnicy siedzieli przy ścianie, skuci łańcuchami. Na obliczach mężczyzn malowało się otępienie.

Hirsz kątem oka dostrzegł, jak chłopak na końcu szeregu zerka w ich kierunku. Siedział nieco z boku, oddalony od pozostałych niewolników, na ile pozwalała długość łańcucha.

Joachim już kiedyś widział podobne zachowanie u współwięźniów. Siłą woli odrzucił napływające wspomnienia.

- Czy wszyscy byli skuci tamtego ranka, gdy znalazłeś ciało? - zapytał księgowego,

- Tak.

- Znają jakiś język prócz swojego?

- Pan Dirk jako jedyny potrafił się porozumieć z tymi poganami. A i tak używał do tego celu głównie bata.

Hirsz poczuł mdłości. To wszystko zbyt przypominało galemiczą ławę w tureckiej niewoli. Koszmare wspomnienia załamywały jego umysł niczym fala ścieków.

- Chodźmy stąd - wykrztusił.

Knopff z ulgą zareagował na tę propozycję. Gdy znaleźli się na korytarzu, Hirsz wziął się w garść. Pożegnał się z Knopffem i ruszył do wyjścia.

Mimo przejmującego chłodu na Fischmarkt panował ożywiony ruch. Zimny wiatr przegnał z umysłu Hirsza wspomnienie smrodu, a woń dymu drzewnego i wędzonych ryb pobudziła apetyt.

Kupił wegorza i pół kwarty gorzałki na rozgrzewkę. Zaspokoiwszy pierwszy głód, ruszył do najbliższej furty, prowadzącej na drugą stronę średniowiecznych obwarowań.

Minął mur miejski, mocno już podniszczony, i wkroczył na Stare Miasto. Kamienice były tu nieco skromniejsze, a ulice węższe. Zdarzała się również drewniana zabudowa. Lecz i tak na każdym kroku Hirsz dostrzegał zamożność tutejszych mieszczan.

Podczas gdy w Warszawie Nowe Miasto żyło w cieniu Starego, tutaj w Gdańsku rzecz się miała odwrotnie. Stare Miasto nie tylko gospodarczo, lecz i politycznie podporządkowano Głównemu Miastu.

Porucznik nie spieszył się. Upłynęło kilkadziesiąt pacierzy, zanim dotarł do ulicy Korzennej. Minął ratusz, przeszedł jeszcze kilkaset kroków i zatrzymał się przed frontem trzech połączonych ze sobą kamienic. Wszystkie należały do Jana Heweliusza, rajcy i sławnego już astronoma.

Wspiął się po schodkach na miniaturowy taras, stanął u drzwi. Zakołatał trzykrotnie. Po zdrowsze zjawił się odźwiemy. "Rozpoznał Hirsza i bez zwłoki wpuścił do środka.

Porucznik znalazł się w obszernej, wysokiej sieni.

- Pan w domu? - zapytał sługę.

- Tak, jest w browarze. Wysyłamy właśnie zamówienie do Anglii i jaśnie pan dogląda wszystkiego osobiście. Powiadomię o przybyciu waszmości.

Sługa zaprowadził gościa do przytulnego saloniku, postawił na stole karafkę wina i kielich, po czym zniknął w drzwiach.

Hirsz rozejrzał się po pomieszczeniu. Niewiele zmieniło się tu od czasu, gdy ostatnio gościł w domu astronoma. Jedynie duża mapa księżyca, wisząca na ścianie, sprawiała wrażenie nowej. Hirsz rozpoznał w niej reprodukcję z najnowszego dzieła astronoma pod tytułem *Selenografia, czyli opisanie księżyca*. Wydane tego roku książka spotkała się z dużym uznaniem w kręgach naukowych Paryża, Amsterdamu i Londynu.

Porucznik usiadł w fotelu i poczęstował się trunkiem.

Upłynęło dobre pół różańca, zanim drzwi się rozwarły i w progu stanął Jan Heweliusz. Był to czterdziestoletni mężczyzna o dużych, ciemnych, wyrazistych oczach i bulwiastym nosie, spod którego wyrastały fantazyjnie zakręcone wąsy.

Przypadli do siebie i uściskali się serdecznie.

- Upraszam o wybaczenie, żeś musiał czekać, lecz trafiło mi się duże zamówienie. Jutro odpływa statek do Anglii.

Jan Heweliusz, choć z zamiłowania badacz ciał niebieskich, jak przystało na gdańszczanina, potrafił zadbać też o sprawy ziemskie. Podstawą jego majątku był browar. Warzył tam piwo krzepkie, zdatne w sam raz na zimowe dni.

- Tak, już słyszałem. Cieszę się, że interesy ci dobrze idą.

- Chodź, pokażę ci obserwatorium astronomiczne. Będzie tydzień, jak ukończono stolarkę. Teraz montuję lunety, kwadranty i sekstanty.

- Z wielką chęcią - zgodził się Joachim.

Pokonawszy cztery piętra, znaleźli się na dachu. Owiał ich zimny, nie powstrzymany przez mury wiatr.

Hirsz stanął oniemiały z podziwu. Podczas jego poprzedniej wizyty, przed kilkoma miesiącami, projekt znajdował się jeszcze w fazie budowy. Już wówczas nowe obserwatorium Jana Heweliusza zapowiadało się imponująco, jednak ukończona całość przerosła wcześniejsze wyobrażenia. Hirsz patrzył z zachwytem na obrotowe pawilony, zastawione sprzętem astronomicznym. Obserwatorium zajmowało dachy trzech kamienic.

Gospodarz wypiął dumnie pierś i wziął się pod boki.

- Nazwałem je „Stellaeburgum”.

- Chylę czoła, panie Janie - rzekł bez fałszywego pochlebstwa Hirsz. - Teraz żadne ciało niebieskie nie jest przed tobą bezpieczne.

- Z taką też myślą czyniłem owo dzieło. Ale wejdźmy do środka, bo ziąb straszliwy.

Jan Heweliusz dał znak, żeby przeszli do zabudowanej części obserwatorium. Była to drewniana szoпа dobrej ciesielskiej roboty o podnoszonym dachu. Pośrodku stał wielki stół. Umebłowania dopełniały wąskie łózko, kredens oraz koksowy piecyk.

Gospodarz podłożył podpałkę i rozniecił ogień. By przyspieszyć proces ogrzewania, wydobyl z kredensu flakon okowity i dwa kubki. Rozlał gorzałkę szczodrze i już po chwili zrobiło się ciepłej.

Przez następną godzinę astronom z zapalem opowiadał o swych nowych odkryciach. Taka to już przywara pasjonatów, że o niczym innym prócz swej fascynacji rozmawiać nie chcą. Niemniej Joachim słuchał chętnie, ze szczerym zainteresowaniem.

Kilka lat wcześniej, podczas swej bytności w Rzymie, miał okazję widzieć z daleka Galileusza, którego inkwizycja skazała na areszt za propagowanie dzieł Mikołaja Kopernika. Wówczas starzec stał już nad grobem, ślepy i schorowany. Potem w kraju Joachim zapoznał się z teoriami zawartymi w dziele *De Revolutionibus Orbium Coelestium*. Nabyta w ten sposób wiedza, choć pobieżna, pozwoliła mu w latach następnych nawiązać przyjaźń z Janem Heweliuszem.

Na koniec, gdy we flakonie ukazało się dno, a w głowach szumiało od gorzałki, jak zawsze wypłynął temat pieniędzy.

- Tyle pracy, sprzętu. Kosztować to musiało małą fortunę? - zagadnął Hirsz. - Twoja piękna żona nie krzywiła się na takowe wydatki?

Rajca machnął lekceważąco ręką, nieco zbyt zamaszycie.

- Chwalić Boga, browar przynosi zysk, i to nie mały. Katarzyna, owszem, trochę się boczyła, ale ją udobruchał suknią z samego Londynu. A właśnie, Londyn! - zakrzyknął. - Toć ty nie znasz najnowszycy wieści.

- Jakich?

- Cromwell ściał króla Karola publicznie w obecności motłochu londyńskiego. Rzecz za dzień czy dwa rozejdzie się echem po mieście, a potem i po całej Rzeczypospolitej. Pomyśl tylko, jak taka idea może wpłynąć u nas na rozgrzane umysły.

Porucznik pokręcił głową.

- Królobójstwa... takie ekscesa u nas się nie dzieją. Szlachta nasza w gruncie rzeczy szanuje majestat.

Heweliusz przygryzł usta.

- Daj Bóg, by było, jak mówisz. Mnie jednakowoż się zdaje, że każda ugoda, jaką król zawrze z Chmielnickim, rokosz wywoła. Panowie bracia zacnym mieszczanom równych praw odmawiają, a co dopiero mówić o ciemnym chłopstwie.

Hirsz patrzył na tę sprawę z większą nadzieją.

- Jan Kazimierz zna swych poddanych. My, Lachy, swarliwym jesteśmy stadkiem, lecz w nagłej potrzebie potrafimy się zjednoczyć. Z tej przyczyny król i kanclerz Ossoliński tak uparcie obstają przy planach rozpętania wojny z Turcją, co ją jeszcze świętej pamięci król Władysław zamyślał. Wtenczas Kozacy pójdą na Krym, uwalniając od siebie Ukrainę, a zagrożenie ojczyzny zjednoczy szlachtę z królem.

Jan Heweliusz przytaknął w zadumie.

- Zatem już królewska i kanclerska w tym głowa, by ów koncept się powiódł. Jednak i my, statyści, w tej grze musimy dołożyć wszelkich starań.

Oczy astronoma spoważniały, tracąc pozory łagodności.

- Tuszę, żeś załatwił nasze sprawy w Elblągu? - zapytał porucznika.

Hirsz wzruszył skromnie ramionami.

- Tajna kancelaria elektora długo będzie lizać rany. Upuściliśmy trochę krwi psu bratom. Minie parę lat, zanim odtworzą siałkę wywiadowczą tu w Prusich Królewskich.

Heweliusz ponownie skinął głową.

- Przynajmniej na jakiś czas. Złe się stało, że Zygmunt, ojciec naszego króla, nie przyłączył Prus

do Korony, choć była ku temu okazja.

Hirsz sięgnął za pazuchę kaftana, wyciągnął pęk listów powiązanych sznurkiem. Niektóre z nich pokrywały zaschnięte rdzawe plamy. Jan Heweliusz wziął przesyłkę i schował do bocznej kieszeni kaftana.

- Jutro prześlę je do Warszawy wraz z moim raportem. Mam coś przekazać od ciebie sekretarzowi koronnemu?

Hirsz uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Fryderyk Hoppe został zaszytyletowany. Część z tych papierów należała do niego. Znalazłem w nich nader ciekawe nazwiska.

Astronom lekko wykrzywił wargi.

- Człowiek ten wiele złego uczynił naszej sprawie. Jego wielmożność będzie kontent.

- A jak się sprawy mają tu na miejscu? - zapytał Hirsz.

- Gdańsk zawsze był wierny Rzeczypospolitej, choć wielu rajców pamięta, że król chciał flotę budować na szkodę naszej wolności.

Hirsz prychnął.

- Zbożu i złotu są wierni, co niczym wielkim lejmem z całej Korony spływa.

Heweliusz skinął głową.

- To prawda, co mówisz, ale jednak wierni. Zapewniam cię, że choćby Szwed czy elektor pod murami stanął, miasto będzie trwać niezłomnie przy Rzeczypospolitej. Właśnie z tej przyczyny, że jego bogactwo od Korony jest uzależnione.

Hirsz podrapał się po zarośniętej szczęce.

- Skoro już jesteśmy przy pieniądzach... środki mi się kończą, mości Janie.

Heweliusz uniósł brew, po chwili dołączyła do niej druga.

- Znów - odparł z wyrzutem. - Toć ty, panie Joachimie, do ruiny mnie przywiedziesz. Sam przecież wiesz, z jakim opóźnieniem jego wielmożność Gembicki przesyła złoto.

Hirsz zbył tę uwagę milczeniem i czekał cierpliwie, aż gospodarz przestanie biadolić. Insza sprawa, że faktycznie zdarzało się czekać i parę miesięcy na zwrot poniesionych nakładów.

Astronom rychło jednak zmiarkował, że żadnego współczucia nie wzbudzi. Wstał przeto ciężko z krzesła, podszedł do kredensu i sięgnął ręką do przemyślnie wbudowanej skrytki. Po chwili wyciągnął z wnętrza sakiewkę.

Porucznik również powstał na nogi. Przyjął od mistrza Jana mile brzęczący ciężar. Wypchana sakiewka zniknęła w tej samej kieszeni, w której wcześniej przechowywał listy.

Jan Heweliusz uśmiechnął się, już bez żalu.

- Panie Joachimie, zapewne jesteś głodny. Zapraszam cię do stołu. Katarzyna ucieszy się na twój widok.

Joachim chętnie przystał na uprzejmą propozycję.

## II

Noc zarzuciła swój płaszcz na Gdańsk, zanim porucznik opuścił dom astronoma. Szedł niespiesznie, syty po podanej przez panią Katarzynę Heweliusz wieczerzy.

Myśli Joachima krążyły ospale wokół planów na dalszą część nocy. Po drodze do Głównego Miasta znajdował się mały, lecz nader przyjemny zamtuł. Z punktu widzenia Hirsza było tam wszystko, czego samotny mężczyzna może pragnąć w zimową noc. Obsługujące dziewczki młode i ładne, a wino wyborne. Co ważne, za świadczone usługi nie żądano przesadnie wygórowanych kwot. Właśnie owe błogie myśli sprawiły, że nie dostrzegł w porę zasadzki.

Było ich dwóch.

Wyłonili się z mroku bezgłośnie jak duchy. O tym, że nie są to zjawy, świadczyły tylko ostrza połyskujące w dłoniach.

W dodatku za plecami usłyszał skrzypienie śniegu. Również dwóch ludzi. Widocznie wcześniej minął jakiś zaułek.

Zaklął w duchu na myśl, że dał się podejść jak nowicjusz. Teraz jednak było za późno na żale. Szczęśliwie nie dostrzegł w rękach zbirów broni palnej. Zapewne mieli rozkaz załatwić sprawę po cichu.

Rzucił się w przód, dobywając pałasz jednym ruchem. Instyktownie odbił pchnięcie rapiera, przygłąb wrogie ostrze ku ziemi i ciał nisko na odlew. Ostrze pałasza wbiło się w udo zbir. Napastnik krzyknął z bólu, zachwiał się. Porucznik pchnął go całym ciężarem ciała i powalił na ziemię.

Kątem oka dostrzegł, jak drugi z oprychów, wyzbywszy się już skrupułów, sięgnął lewą ręką do pasa po pistolet.

Porucznik poprowadził cięcie w górę, skrzył tułów i zamachnął się, wyciągając ramię. Pałasz to długa broń, a ten miał ponadto piekielnie ostrą klingę. Ostrze świsnęło od dołu po lekkim skosie, trafiając w dłoń mężczyzny. Pistolet wypadł z obciętych palców, na śnieg chlusnęła krew. Mężczyzna cofnął się krok w tył, patrząc oniemiały na ociekające juchą kikuty. Z jego ust wydobył się niezrozumiały bełkot, prawdopodobnie przekleństwo.

Hirsch nie zamierzał się przysłuchiwać. Przeskoczył nad leżącym zbirą i pognął przed siebie, mając w pamięci pozostałych dwóch oprychów za plecami.

Rozległ się huk wystrzału.

Gwałtowny ból w prawym boku wybił go z rytmu. Po paru krokach poczuł wilgotne ciepło pod ubraniem.

Bieg po śniegu, zwłaszcza ze świeżą raną, nie należy do najłatwiejszych. Już po kilkuset metrach szaleńczej gonty porucznik zaczął tracić oddech i pociemniało mu w oczach.

Sądząc po odgłosach, pościg się zbliżał. Joachim wiedział już, że nie ucieknie. Pozostawało stanąć do walki, póki nie straci wszystkich sił, albo...

Szalona myśl rozbłysła w umyśle porucznika. W jednej chwili podjął decyzję. Nabrał powietrza w płuca i zaczął wrzeszczeć na całe gardło:

- Gore! Ludzie, gore, ratujcie się!

Pędził przed siebie, nie oglądając się i krzycząc, ile sił w płucah. Tam, gdzie przebiegł, z trzaskiem rozwierały się okiennice, błyskały światła, a w drzwiach pojawiali się ludzie, rzucający wystraszone spojrzenia.

Hirsch przestał wołać dopiero wtedy, gdy ujrzał pierwszych strażników miejskich. Odbił w bok, skrył się w ciemnym zaułku i przywarł do ściany, uspokajając urywany oddech.

Strażnicy przeszli szybkim marszem, nie dostrzegając go w mroku.

Hirsz wyrzał za róg budynku. Nigdzie nie dostrzegł zbirów. Doszedł do wniosku, że zrezygnowali.

Rana postrzałowa piekła jak diabli.

Podwinął koszulę i obmacał krwawiącą ranę. Szczęśliwie kula przeszła wierzchem, rozrywając płaszcz, kaftan i skórę. Zgamał trochę śniegu i przyłożył do boku. Natychmiast poczuł ulgę.

Jeszcze raz rozejrzał się czujnie, po czym wymknął się z zaułka i ruszył w ślad za strażnikami, pilnując, żeby nie stracić ich z oczu.

•

Sierżant Koch krył się w mroku, spowijającym wylot ciasnego zaułka. Szare, blisko osadzone oczy wpatrywały się w mężczyznę po drugiej stronie ulicy. Widział, jak porucznik sięga po śnieg i przykłada go do rany. Sierżant zaklął w duchu: zabrakło ledwie paru cali, żeby wykonał zadanie.

Wyłowił spojrzeniem chudą sylwetkę Karla. Kapral czał się naprzeciwko, dwa zaułki dalej od kryjówki Polaka. Czekał na znak, żeby dokończyć robotę.

Teraz jednak na ulicę wyszło zbyt wielu mieszczan, wypatrujących z lękiem ognistego kura. Pojawił się również patrol straży miejskiej.

Sierżant zagryził wargi. Rozkazy były jasne. Ten człowiek miał zginąć bez świadków. Targała nim wściekłość. Okaleczono dwóch jego ludzi i najchętniej już teraz wydarłby serce sukinsynowi.

Szlachcic zlustrował ulicę, a następnie ruszył w ślad za patrolem.

Koch zacisnął dłoń na zimnej rękojeści rapiera, gdy Polak mijał jego kryjówkę w odległości kilku kroków. Trochę więcej szczęścia i mogliby już wrócić do Królewca po nagrodę. A teraz będą musieli poczekać na inną okazję.

Ta zaś, jak mówiło mu wieloletnie doświadczenie, zjawi się prędzej czy później.

•

Hirsz obudził się z łupaniem w głowie. Skutek uboczny nocnej próby znieczulenia się za pomocą wina.

Zwłócił się z pościeli, podszedł do zwierciadła i zdjął koszulę.

Przez chwilę przypatrywał się swej nagiej sylwetce. Patrzył na niego trzydziestoparoletni, umięśniony mężczyzna o ciele poznaczonym bliznami. Ubiegłej nocy zdobył kolejną do kolekcji. Odgiął opatrunek i obejrzał ranę. Wezwany przez Jakuba w nocy cyrulik potwierdził, iż rana jest powierzchowna. Hirsz wiedział to i bez studiów, kierując się empirycznym, wieloletnim doświadczeniem w tej materii.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Hirsz spojrział w okno. Sądząc po świetle, zbliżało się już południe.

Zapewne Horst ze strawą.

- Wejść - krzyknął i zaczął się rozglądać za spodniami.

Leżały za oparciem fotela.

Pochylił się, żeby je podnieść. W pół ruchu zatrzymał go szelest satynowej sukni i trzask zamykanych drzwi.

Hirsz zamarł na dwa oddechy, świadom, w jak niekorzystnej pozycji się znalazł. Jednak wszelkie gwałtowne ruchy tylko jeszcze bardziej by go ośmieszyły.

Zostawił spodnie na podłodze, wyprostował się i bezwstydnie spojrział Annie w oczy.

W lazurkowych źrenicach nie dostrzegł ni śladu zmieszania czy choćby udawanej nieśmiałości. Wdówka obdarzyła go pięknym uśmiechem i nie krepując się zbyttnio, zerknęła w dół.

- Pan Jakub powiedział mi, żeż został poturbowany przez opryszków. Przyszłam zapytać, czy waszmość opieki nie potrzebujesz. Nijakiego jednak szwanku u ciebie nie widzę.



Podobna śmiałość u damy zbiłaby z pantaląku większość szlachetnych kawalerów. Jednak fałszywa szlachetność wobec niewiast nie należała do przywar porucznika.

Podszedł do niej, chwycił ją w tali i pocałował w szyję.

Poddała się jego woli. Uniosła lekko brodę, przechyliła głowę i westchnęła. Hirsz wciągnął w nozdrza zapach jej skóry. Pachniała jaśminem.

Lewą dłonią błędził po wypukłościach kobiecego ciała. Palce prawej walczyły z zapinkami sukni.

Anna przesunęła paznokciami po jego muskulamej piersi. Usta kochanków złączyły się w namiętny pocałunku, głodne siebie języki spotkały się w pół drogi. Dłoń Anny podążyła w dół, sięgnęła ku nabrzmiałemu członkowi, objęła go, masując posuwistymi ruchami.

Hirsz zacisnął dłoń na materiale i szarpnął. Rozległ się trzask zrywanych zapinek.

Roześmiała się ochryple. Pozwoliła sukni opaść na podłogę.

On pochylał głowę, muskając ustami twardej sutki. Przesunął dłonią po delikatnej skórze, zacisnął palce i podniósł jej prawe udo. Pozbawiona równowagi, przyłgnęła całym ciałem do kochanka, natarczywie szukając jego ust. Objął ją wolną ręką, gładząc kark, plecy, schodząc niżej ku krągłym pośladkom. Znalazł się w gorącej przestrzeni dzielącej dwie półkule. Delikatnie pocierał to rozgrzane miejsce, sięgając najgłębszych zakamarków. Po ciele Anny przebiegł dreszcz. Ostre paznokcie wbiły się w kark Joachima.

Oparł jej udo o swe biodro, chwycił pod kolano i dźwignął do góry. Anna oplótła go długimi nogami. Jednocześnie uniosła ręce nad głowę, chwyciła wystający ze ściany hak na lampę.

Hirsz wpił palce w jędrne pośladki, uniosł ją nieco wyżej. Pomogła mu, po czym opadła powoli, przywierając do jego brzucha.

Wsunął się w wilgotne ciepło.

Poruszali się gwałtownie, gnani rozkoszą. Joachim zacisnął palce w złocistych włosach, przywarł twarzą do szyi Anny, pieszcząc językiem i wargami pachnącą skórę. Ona wygięła się w tył, odchyliła głowę i z jej rozwartych ust popłynął długi, rwany jęk.

Leżeli na łożu, wtuleni w siebie. Palce Joachima leniwie błędziły po gładkiej skórze bioder kochanki. Nie mówili nic. Niektórych doznań nie należy psuć zbędnymi słowami.

- Duszno tu - przerwała wreszcie ciszę.

Rzeczywiście powietrze przesycał zapach miłości i potu. Jednak nie było to niemiłe doznanie. Przynajmniej dla niego.

Anna wstała z łoża i podeszła do okna. Zdawała się nie krepować faktem, że on obserwuje ją w świetle dnia. Joachim z przyjemnością przypatrywał się linii pleców schodzącej ku kształtnym biodrom, sprężystym pośladkom, długim nogom.

Otworzyła okno i wróciła do niego. Przytuliła się jeszcze na moment, a potem pocałowała go namiętnie w usta.

Hirsz poczuł właśnie, że ma ochotę na więcej. Zaczął pieścić językiem jej sutki. Anna odsunęła go łagodnym, lecz stanowczym gestem.

- Muszę już iść, bo ktoś zauważy. Jestem tu zbyt długo.

- Cóż z tego?

- Kobieta musi dbać o swoją reputację. Zwłaszcza kobieta samotna. Poza tym Klara jest niezwykle purytańska w tych sprawach.

- Przyjdiesz w nocy?

Uśmiechnęła się pięknie.

- Zobaczymy.

Patrzył, jak kochanka zakłada na siebie kolejne warstwy garderoby, a potem wymyka się na korytarz. Gdy został sam, poczuł, że musi się napić.

Wino smakowało mu jak rzadko. Piękna kobieta i dobry rocznik reńskiego. W takich chwilach czuł radość z życia, które prowadził.

Spojrzał w lustro i uśmiechnął się do siebie. Spozstrzegł jednak, że dostał gęziej skórki. Wciąż był nagi, a przez uchylone okiennice wpadało lodowate powietrze.

Podszedł do okna i wyciągnął rękę. Nagle usłyszał znajomy kobiecy głos. Należał do Ireny, pokojowej Klary Peters.

- Przyjechał dwa dni temu. Mieszka na piętrze i często wychodzi. Wczoraj powrócił ranny.

Hirsz cofnął dłoń. Bez wątpienia mówiono o jego osobie.

- Możesz przeszukać komnatę? - zapytał nieznanemu mu męski głos.

- Jest ostrożny. Zawsze zamyka drzwi.

- Staw się dziś wieczorem tam, gdzie zawsze. Otrzymasz truciznę. Zawartość dolejesz do wina.

Teraz już idź, ktoś może nas zobaczyć.

Rozległy się kroki na śniegu i trzaśnięcie zamykanych drzwi.

Hirsz wychylił się zza zasłony i dojrzał niskiego mężczyznę, odzianego w czarne płaszcz. Twarz obcego kryła się w cieniu kapelusza.

Porucznik cicho zamknął okno.

Ktoś zamierzał go otruć.

Wciągając na siebie ubranie, rozważał, co ma czynić. Mógł od razu oskarżyć Irenę, lecz pani Klara go nie lubiła i zapewne by broniła swej służącej. Poza tym Hirsza dręczyła ciekawość. Chciał osobiście przekonać się, komu tak bardzo zależało na skórze.

Nalał wina do kielicha i sącząc powoli napitek, zaczął układać plan,

.

Mróz trzymał jak diabli. Wdzierał się pod płaszcz, przeciskał przez warstwy ubrań, sięgając do ciała i kości. Klnąc w duchu, Joachim Hirsz wyciągnął zza pazuchy manierkę z okowitą. Zmarniętymi palcami odkręcił zatyczkę i pociągnął solidny łyk. Piekące ciepło przyjemnie rozlało się po gardle i spłynęło ku trzewiom.

Zakręcił flaszkę, schował do bocznej kieszeni i ponownie skupił wzrok na tylnym wyjściu z posesji. Zmrok zapadł już dawno, a dziewczka wciąż nie wychodziła z domu. Porucznik zaczynał myśleć, że słowa zasłyszane rankiem to jakaś koszmarna pomyłka. Pomimo to postanowił jeszcze trochę poczekać.

Po kilkunastu pacierzach jego cierpliwość została nagrodzona. Tylna furta w kamienicy Petersów uchyliła się. Ukazała się w niej drobna sylwetka, całkiem opatulona w płaszcz. W rękę trzymała niewielką lampę. Słaba poświata przez dwa oddechy padła na twarz służącej.

Hirsz cofnął się w mrok bramy i przywarł do muru. Dziewka przeszła obok niego szybkim krokiem, kierując się w stronę Bramy Zielonej. Szła prosto, przez most na Motławie aż do kanału odpływowego przy Długich Ogrodach. Porucznik podążył za nią bez światła, zdając się jeno na blask księżycy i widoczne z dala chybliwe światło latarenki.

Służąca przeszła przez mostek przy kościele św. Barbary i zapuściła się w labirynt warsztatów, szop oraz mieszkalnych ruder.

Wędrowali wąskimi, wydeptanymi w śniegu ścieżkami przez pograżone we śnie przedmieścia. O ile Hirsz się orientował, zbliżali się do Dolnego Miasta. Dziwił się w duchu, że dziewczka nie obawia się chodzić sama po tak podłej dzielnicy.

Tymczasem służąca ruszyła wzdłuż wypalonego muru, pozostałości po jakimś magazynie. Nagle światło latarni zgasło.

Hirsz przyspieszył kroku. Po chwili znalazł się przed wyłomem w murze. Zawahał się, jednak myśl o wycofaniu się była zbyt gorzka. Wydobyl pistolet i prześlizgnął się na drugą stronę.

Znalazł się na niewielkim placu. Dziewka stała po drugiej stronie, obrócona doń twarzą. W mdłym świetle wydało mu się, że dostrzega na jej wargach triumfalny uśmiezek.

Zabrakło czasu, żeby się upewnić.

Jednocześnie spadło nań czterech mężczyzn. Wystrzelił bez celowania, zdając się jeno na wyczuwanie. Trafiony zbir krzyknął rozpaczliwie i zgiął się w pół. Porucznik wykorzystał to, skoczył ku niemu, obalił własnym impetem na ziemię. Odrzucił pistolet i przeskoczył nad leżącym, dobywszy pałasza i lewaka. Obrócił się, uderzył w najbliższego z przeciwników. Zabłokował sztych rapiera, przyparł go w dół i lewą ręką zadał pchnięcie w głowę siepacza. Ostrze lewaka wbiło się ze zgrzytem w czaszkę, na oddech grzęznąc w kości.

Dwaj pozostali zaatakowali z boków. Walczyli jak żołnierze, bez większej finezji. Hirsz zbił kilka uderzeń i cofnął się, trzymając ich na długość ostrza. Postanowił wyrównać szanse po swoim. Wypuścił z palców lewak i sięgnął do pasa po krocicę.

Wtedy wyczuł ruch za plecami, zbyt późno.

Cios w potylicę powalił go na kolana, drugie uderzenie rozciągnęło na śniegu, a kopniak w głowę pozbawił przytomności.

Hirsz ocknął się z bólem rozsadzającym czaszkę. Po chwili obraz wyostrzył się i dotarł do niego szereg przykrych faktów.

Był w jakimś magazynie, skrepowany, a do tego nieźle oberwał podczas bójki. Spod przymkniętych powiek ocenił sytuację.

W pomieszczeniu panował mrok, rozpraszano jedynie przez lampę stojącą na stercie skrzyż. Mdły blask oświetlał dwóch mężczyzn. Wysoki, chudy zbir tłumaczył coś zawzięcie drugiemu, niskiemu. Hirsz słyszał jedynie pojedyncze słowa. Rozmawiali szeptem po niemiecku. Po akcencie poznał, że to nie gdańszczanie.

Pod ścianą, na granicy mroku, siedział na słomie trzeci mężczyzna. Barczysty, o ponurej twarzy i dłoni owiniętej opatrunkiem. Hirsz zmarszczył brwi. Ten sam, któremu zeszłego wieczora okaleczył dłoni. Mężczyzna lypał na niego złowrogo. Cóż, obciętych palców nie darowuje się tak łatwo.

Nagle chudzielec zamilkł i wskazał gestem na więźnia. Niski mężczyzna obrócił się. Zimne, szare oczy wbiły się w Joachima.

Mężczyzna patrzył przez dłuższą chwilę. Zdawało się, że chce coś powiedzieć, lecz zamiast tego bez słowa ruszył do wyjścia. Po chodzie porucznik rozpoznał w nim człowieka, który rankiem rozmawiał z Ireną.

Zaklął w duchu. Cała rzecz nie wyglądała dobrze. Ci ludzie sprawiali wrażenie zimnych profesjonalistów. Żadnych przechwałek, gróźb czy zbytecznych słów, niczego, co mogło naprowadzić go na ślad.

Strażnicy siedzieli na skrzyniach, zwrócenie do niego bokiem. Lampa stała łokieć od nich, tak więc Hirsz widział swych oprawców, samemu pozostając w mroku.

Ocenił swój stan. Obtłuczona twarz, trochę krwi na ubraniu i obite zębra. Jednym słowem bywało gorzej. Przech jasna, gdy leżał bez przytomności, obszukali go dokładnie. Tu jednak zarysowała się przed nim niłka nadzieja. W ciemności przeoczyli drobny szczegół. Pas od spodni. Niepozorny, z wytartej skóry, zakończony srebrną sprzączką.

Joachim przez kilka zdrowasiek poruszał palcami, żeby odzyskać w nich czucie. Następnie cał po cał zaczął przesuwac pas. Zajął mu dobrych kilkanaście pacierzy, zanim kłamra znalazła się za

plecami.

Dopiero za trzecią próbą odczepił ukryty zatrask. Pozornie wyglądał jak część klamry, aliści wewnątrz kryło się długie na kciuk, liściaste ostrze.

Fortel ten już w przeszłości ratował go z podobnych opresji. Kalecząc palce, przyłożył sznur do ostrza. Powoli, bacząc, by nie poruszać nadto ramionami, zaczął ciąć więzy.

Odrętwiałe palce odmawiały posłuszeństwa. Praca stawała się męczarnią. Mięśnie i ścięgna ramion mdlały z wysiłku. Na czoło wystąpił pot.

Szczęśliwie barczysty i chudzielec zaczęli prowadzić szeptaną rozmowę. Barczysty przy tym parokroć spoglądał na porucznika, za każdym razem z coraz bardziej zaciętą miną.

Joachimowi w końcu udało się nadciąć więzy tak, że mógł rozerwać sznur jednym szarpnięciem. Teraz przyszła kolej na najbardziej ryzykowną część planu. Uspokoił oddech, rozluźnił obolałe mięśnie, dając sobie chwilę do namysłu. Uzbrojony w miniaturowe ostrze, nie miał najmniejszych szans w walce ze strażnikami.

Przez głowę przemknęło mu kilka szaleńczych pomysłów. Niestety żaden nie dawał nadziei na wyjście cało z opresji. W desperacji gotów już był rzucić się na tych dwóch i zdać się na miłosierdzie fortuny. Wszystko lepsze niż pozwolić się zarznąć jak prosię. Dawno pogodził się z myślą, że zginie od ostrza lub kuli.

Wtem strażnicy przerwali rozmowę. Wyglądało na to, że doszli do porozumienia. Barczysty obrzucił porucznika morderczym spojrzeniem i uśmiechnął się złowieszczo. Chudzielec wstał ze skrzyni, prostując ramiona.

- Nie żałuj sobie. Ja tam nic nie widzę. Tylko pamiętaj, ma być przytomny, taki był rozkaz. Sierżant przyprowadzi kogoś ważnego, żeby z nim pogadał.

Rzekłszy te słowa podszedł do ściany, rozwiązał kordonki pludrów i dał folę rozpierającej go potrzebie.

Barczystemu nie trzeba było dwa razy powtarzać. Poderwał się jak ukłuty spisą niedźwiedz i ruszył do więźnia. Przebiegł kilka kroków i z rozpędu, tak na przywitanie, wyprowadził kopniak pod żebra porucznika.

Hirsz był przygotowany. Założył chwyt na kolano przeciwnika i szarpnął. Barczysty jeszcze zdążył się zdziwić, zanim grzmotnął z impetem o podłogę. Joachim rzucił się na niego szczupakiem. Wyszarpnął nóż tkwiący w cholewie buta oprycha i wbił w podbrzusze mężczyzny.

Wydobył ostrze, przetoczył się po podłodze i stanął na nogi. Spojrzał na chudzielca. Ten obrócił się, rozpryskując urynek. Łypnął na pistolety i rapier, leżące obok na skrzyni.

Hirsz nie dał mu czasu na decyzję. Rzucił się ku niemu, dopadł w czterech susach i dźgnął krótkim pchnięciem. Tamten był jednak naprawdę dobry. Zbił uderzenie kantem dłoni, zablokował łokieć i założył dźwignię na nadgarstek Hirsza. Porucznik, ratując staw przed wyłamaniem, musiał wypuścić nóż. Żelazo z brzękiem potoczyło się po podłodze. Hirsz zgiął rękę, żeby skrócić dystans, a drugą uderzył łokciem w szczękę przeciwnika. Ten jednak nie zwolnił chwytu, tylko mocniej wykręcił rękę i przeszedł za plecy porucznika. O mało nie wyłamał mu barku. Jednocześnie kościstym ramieniem oplótł szyję Joachima w zapaśniczego przyduszeniu.

Porucznik znalazł się w tarapatach. Z każdym uderzeniem serca tracił oddech. Lewą ręką, choć wolną, nie mógł wiele zdziałać.

Z całej siły przygiął się w przód, ściągając ku sobie przeciwnika. Oparł się na lewej nodze, uniósł prawą i kopnął do tyłu, celując w kolano.

Chrupnięcie w stawie i okrzyk bólu za plecami zabrzmiały najśłodszą muzyką w uszach Hirsza. Chudzielec zachwiał się i zmniejszył siłę duszenia. Porucznik chwycił lewą ręką oplatając go przedramię, odgiął je, schylił się i wymknął z zapaśniczego chwytu. Obrócił się błyskawicznie twarzą do oprycha i wykorzystując skrócony dystans, uderzył serią ciosów.

Tamten odskoczył, wyraźnie oszczędzając uszkodzoną nogę. Porucznik zwietrzył szansę. Jeszcze

raz kopnął w to samo kolano. To był błąd. Chudzielec najwyraźniej spodziewał się tego, może nawet chciał go do tego sprowokować. Tak czy inaczej zdołał zablokować cios i przejść do zwarcia. Zwalili się na podłogę z ciężkim łoskotem.

Zmagali się, przetaczając z jednej strony na drugą. Chrapliwe oddechy mężczyzn walczących o życie mieszały się ze sobą w nocnej ciszy. Chudzielec był zadziwiająco silny i umiał się bić. Wywinął się z zapaśniczego chwytu porucznika i sięgnął palcami do jego oczu. Hirsz w ostatniej chwili zrobił unik głową tak, że paznokcie jedynie przeorały mu skórę na policzku. Poczł piekący ból i krew spływającą po twarzy.

Również dłoń Hirsza przebiła się przez zasłonę przeciwnika i dotarła do szyi. Palce zacisnęły się na krtani oprycha. Mężczyzna zacharczał boleśnie, lecz nie zamierzał ustępować. Uderzył pięścią, celując w nerkę Hirsza. Udało mu się trafić trzykrotnie. Hirsz jęknął z bólu, jednak nie zwolnił ucisku.

Kilka oddechów później uderzenia straciły siłę i celność, przeradzając się w rozpaczliwą łomotaninę. Twarz chudzielca nabrzmiała i poczerwieniała, wybaluszone oczy zmatowiały. Hirsz przesunął drugą rękę wyżej, ucapił go za włosy i uderzył głową o podłogę. Raz, drugi, trzeci, dziesiąty. Nie liczył w szale. Dopiero gdy wokół niego rozlała się kałuża krwi, puścił zmasakrowany czerep.

Osunął się na deski od strony nóg. Przez chwilę leżał, łapiąc oddech.

Minęło kilka pacierzy, zanim podniósł się na nogi. Obmacał palcami okolice nerek. Sądząc po bólu, nie było najgorzej. Groziło mu najwyżej kilka dni sikania juchą.

Z mroku dochodziły słabe jęki barczystego.

Hirsz zbliżył się do niego. Mężczyzna leżał w kałuży krwi. Jej ilość świadczyła, iż porucznik bezwiednie przeciął tętnicę.

Przykucnął nad śmiertelnie rannym człowiekiem. Zacisnął śliską dłoń na rękojeści noża. Tamten otworzył oczy, spojrzał bez lęku. Hirsz widywał już takie spojrzenia u twardych zabijaków lub żołnierzy na polu bitwy.

- Mam do ciebie pecha - szepnął chrapliwie ranny.

Hirsz potwierdził skinieniem głowy.

- Zabiorę cię do cyrulika, jeśli powiesz, kto was wynajął - zaproponował.

Mężczyzna roześmiał się ochryple i zakrztusił się własną śliną.

- Ja już nie żyję - odparł, gdy doszedł do siebie.

- Dla kogo więc umarłeś, żołnierzu?

- W naszym fachu dyskrekcja to podstawa, nie uważasz?

- Dla ciebie to już bez znaczenia. Barczysty skrzywił oblicze.

- Nasz sierżant cię znajdzie i zabije. Już wcześniej by to uczynił, gdyby nie rozkaz. Szkoda, że posłuch...

Nagle zamilkł, oczy poleciały mu w górę i omdlał. Hirsz chciał go ocucić, lecz zorientował się, że ma przed sobą trupa.

Podniósł się na nogi. Zastanowił się, co ma czynić dalej.

Postanowił czekać.

Złożył w duchu, że niski mężczyzna, nazwany przez barczystego sierżantem, wróci do swych ludzi. Może nawet przyprowdzi ze sobą tajemniczego zleceniodawcę.

Odciągnął trupy w głęboką ciemność i pobierał broń. Gdy pomieszczenie było uprzątnięte, postanowił rozejrzeć się po okolicy.

Na dworze panował okiełniony ziąb. Joachim pospiesznie obszedł magazyn i odkrył, że nie zawlekli go daleko od miejsca zasadzki. Wrócił do środka i postawił lampę niedaleko drzwi, żeby oświetlała wchodzących. Sam przyczał się trzy kroki dalej, w miejscu, dokąd nie sięgało słabe światło.

Teraz pozostało tylko czekać. Czekanie to żmudne zajęcie. Zwłaszcza w nocy, gdy senność zasnuwa podstępnie umysł. W takich chwilach powracają wspomnienia. Również te złe.

Tym razem jego pamięć wyłowiła obraz Rygi z lat młodości. Ostatni dzień, gdy widział matkę.

W tym dniu polska załoga poddała miasto Szwedom. Hufce Gustawa Adolfa kroczyły w strumieniach siekącego deszczu. Przemoknięci jasnowłosi mężczyźni maszerowali opustoszałymi ulicami w zwartych, naszpikowanych żelazem kolumnach.

Nie minął dzień, jak w mieście rozpoczęło się polowanie na papistów, głównie Polaków i Litwinów. Zaraz też gniew żołnierzy przeniosł się na Żydów, a potem na każdego inszego człowieka podejrzewanego o sympatie dla Rzeczypospolitej.

Matkę wywleczono z domu tuż przed zmrokiem. Hirsz obserwował wszystko z kryjówki na poddaszu.

Żołnierzy było pięciu, a dowodził młody oficer. Miał oblicze arystokraty i znudzoną minę. Choć Hirsz był wtenczas ledwie sześciolatkiem, wciąż pamiętał twarz owego człowieka. U jego boku stał chudy mężczyzna, odziany surowo, cały w czerni, wyjąwszy wąską białą kryzę. Szeptał coś na ucho do oficera, wskazując palcem matkę. Z jego oblicza oraz nerwowych gestów emanowała nienawiść i pogarda.

Joachim rozpoznał w nim pastora miejscowej wspólnoty protestanckiej. Widział go już kilka miesięcy wcześniej pod ich domem, jak podjudzał grupkę mieszczan przeciw matce. Z opresji wyratował ją wtenczas polski rotmistrz z załogi zamku. Zjawił się z kilkoma dragonami i rozpedził tłum. Wieczorem został u nich na wieszczy. Potem też pojawiał się dość często. Od tamtego dnia skończyły się kłopoty z natrętnym pastorem.

Dzień przed kapitulacją Polak przyszedł po zmroku do ich domu, pobrzękując żelazem. U boku miał szablę, a za pasem pistolety. Joachim obserwował przybywsza przez szparę. Mężczyzna chodził nerwowo po izbie, tłumacząc coś matce, gwałtownie przy tym gestykulując. Następnie wyszedł wzburzony.

Hirsz po latach dowiedział się, czego tyczyła nocna rozmowa. Oficer proponował im ucieczkę, jemu i matce. Zamierzał przeprowadzić ich przez podkop po murem, a dalej przez linie szwedzkie. Matka jednak nie chciała na to przystać.

Za to wahanie zapłaciła życiem.

Tamtego wieczoru widział ją po raz ostatni. Wleczoną po błocie w świetle pochodni, otoczoną tłumem podjudzanym przez pastora. Spłonęła na stosie trzy dni później. Wtedy Joachim był już w drodze na Litwę.

Otrząsnął się ze wspomnień, skupiając myśli na chwili obecnej.

Nie minęło wiele czasu, gdy usłyszał skrzypienie butów na śniegu. Drzwi otworzyły się i do środka wszedł sierżant. Tuż za nim kroczyła druga postać, z twarzą skrytą pod głęboko naciągniętym kapturem.

Niski mężczyzna zamarł na pół oddechu, tylko jego głowa poruszyła się niespokojnie. Błyskawicznie sięgnął po wiszącą u pasa rapier.

Hirsz stał w mroku, pięć kroków za jego plecami. Zabijanie ludzi w ten sposób już dawno nie budziło w nim sprzeciwu. Wycelował prawy pistolet i wypalił.

Szybko ominął chmurę czarnego prochu. Mniejsza postać obróciła się w kierunku wyjścia.

- Stój, bo ubiję! - krzyknął, zanim całkiem ucichł huk wystrzału. Dla podkreślenia swoich słów wycelował drugi pistolet.

Postać zastygła niczym złapane w sidła zwierzę.

- Zdejmij kaptur - rozkazał Hirsz.

Urękawiczone dłonie sięgnęły w górę i powoli zsunęły materiał. W mdłym świetle błysnęła kaskada złotych włosów.

Przez uderzenie serca nie dowierzał własnym oczom. To była Anna.

- Dlaczego? - Tyle tylko zdołał z siebie wydobyć.  
Uśmiechnęła się smutno.  
- Taki rozkaz. Kto jak kto, lecz ty powinieneś to zrozumieć.  
- Od kogo?  
- Tajna kancelaria elektorska. Zalazłeś im za skórę w Warszawie, a potem w Elblągu.  
Hirsch zagryzł wargi i zaklął w duchu. Powinien był się tego spodziewać.  
- Dawno w służbie elektorskiej? - zapytał, żeby odwlec decyzję co do dalszego losu kochanki.  
- Pięć lat.  
- Wiele zatem musisz wiedzieć.  
- Trochę wiem - przyznała.  
- Daruję ci życie, jeśli podasz mi nazwiska waszych agentów.  
Dostrzegł błysk w jej oczach.  
- Pamiętaj, część z nich znamy i obserwujemy. Jeśli spróbujesz mnie okpić, będę wiedział.  
Lazur oczu zniknął za długimi rzęsami. Po kilku uderzeniach serca Anna znów wbiła źrenice w porucznika. Przez dłuższą chwilę badali się wzrokiem.

- Zgoda - odparła.  
Anna podała czternaście nazwisk. Hirsch znał cztery z nich, a dwóch innych się domyślał. Jednak ostatnie nazwisko było dlań wstrząsem.  
- To wszyscy, których znam - zakończyła spowiedź. Spojrzała na niego badawczo. - Więc zgodnie z umową?

- Jesteś wolna. Co teraz uczynisz?  
- Nie wykonałam zadania, a twoi wkrótce rozpoczną aresztowania. Będę musiała wyjechać z Prus. Może do Wiednia. Austria jest piękną zimą.  
- Zatem żegnaj.

Kiwnęła głową. Obróciła się w kierunku wyjścia, nagle jednak zastygła. Jednym ruchem rozpięła zapinkę płaszcz. Ciężkie okrycie zsunęło się po jej ramionach na podłogę. Pod spodem nosiła aksamitną sukienkę, opinającą idealne kształty.

Podeszła do niego szybkim krokiem, stanęła na palcach i pocałowała go w usta. Jej wargi były słodkie i miękkie, a skóra pachniała jaśminem.

Objął ją ramieniem w tali i mocno przyciągnął do siebie.

Ręka Anny z wprawą rozwiązała kordonki u jego spodni. Ruchliwe palce oplotły nabrzmiewającą męskość. Lewą dłonią uniosła suknie, sięgając pod materiał.

Złapał jej nadgarstek w ostatnim momencie, zanim dosięgło go zdradzieckie ostrze.

Zacisnął palce w bezlitosnym chwycie, obrócił drobną dłoń i napał. Ostrze gładko weszło pod żebra. Anna jęknęła cicho. Spojrzała z niedowierzaniem. Lazurowe jeziora zaszklily się i po kilku uderzeniach serca zmatowiały. Na ustach pojawiła się krew. Drgawki ustały szybko.

Powoli położył kochankę na plecach. Stał nieruchomo, patrząc na powiększającą się plamę krwi i śliskie dłonie. Wytał je o suknie i zamknął zaszklone oczy.

Nie odczuwał wyrzutów sumienia. Takie rzeczy już dawno zostawił za sobą. W ich profesji prędkiej czy później każdy kończy tak samo. Anna chciała go zabić i w ten sposób wybrała swój los.

Jedyne, co czuł, to ogromną radość, że żyje i znów okpił śmierć.

W tym stanie wędrownka do kamienicy Petersów zajęła mu prawie godzinę. Wszedł tylnym wejściem, żeby nie budzić sensacji. Jakub dał mu klucz jak zwykle, gdy porucznik gościł pod jego dachem.

W domu panowała ciemność i cisza.

Ostrożnie zamknął drzwi. Korytarz spowijał gęsty mrok. Stąpając bezgłośnie, przeszedł obok izby Horsta i dotarł do schodów.

Nagle skrzyknęły drzwi, ciemności rozproszył mdły blask lampy.

Hirsz skrzywił się i odwrócił do starego lokaja. Horst był ubrany w długą koszulę nocną, a na głowie nosił szlafmycę z pomponem, przez co wyglądał jak przerośnięty krasnal albinos.

Lokaj obrzucił go uważnym spojrzeniem, które zatrzymało się dłużej na plamach krwi.

- Przyniosę gorącą wodę i opatrunek - rzekł z miną człowieka pokrzywdzonego przez los.

- Dziękuję, Horst. Przykro mi, że cię obudziłem.

- I tak nie spałem. Przed północą obudziła mnie Irena. Twierdziła, że wraca od chorej ciotki na Dolnym Mieście, ale ja wiem swoje, latawica jedna.

Hirsz uśmiechnął się paskudnie w myślach.

- Gdzie ona? Horst uniósł brew.

- A gdzie ma być? U siebie.

- Zaprowadź mnie do niej - zażądał kategorycznym tonem.

Lokaj spojrział nań podejrzliwie, lecz wykonał polecenie.

Weszli w boczny korytarz, gdzie mieściły się kwatery służby. Zatrzymali się przy drugich drzwiach po lewej.

Służba miała zakaz zamykania pokoi. Pomagało to utrzymać kontrolę oraz ułatwiało przeprowadzenie rewizji w razie podejrzeń o kradzież. Również Jakub Peters korzystał czasem z łatwego dostępu do co ładniejszych pokojówek.

Horst chciał zapukać, lecz Hirsz powstrzymał go gestem. Nacisnął klamkę i wszedł do środka. Znalazł się w niewielkiej klitce z oknem wychodzącym na podwórze. Całe wyposażenie stanowiły dwa podniszczone kufy, zydel i wąska prycza. Obecnie pusta.

Hirsz obrócił się do lokaja.

- Gdzie ona może być? - zapytał. Horst niepewnie pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, panie poruczniku. Może w pokoju kóregoś ze służących, bo jaśnie pan jest tej nocy w alkwie pani Klary. Rankiem dam niecnie kilkanaście kijów - zapewnił solennie.

Hirsz musiał przyznać, że pomysł z kijami był przedni. Tak na początek. Aliści nie zamierzał czekać z jego realizacją do rana.

- Znajdź ją, choćbyś miał obudzić wszystkich! Dopiero teraz Horst stracił flegmatyczny spokój.

- Co?! - wybuchnął fałsetem.

- I nie może opuścić domu - syknął Hirsz przez zęby.

Nagle naszała go pewna ciekawa myśl. Wyrwał zaskoczonemu lokajowi lampę. Podbiegł do schodów, wspiął się na piętro i stanął przed swoją komnatą. Przyłożył ucho do drzwi.

Dosłyszał jakiś trzask. Po chwili dźwięk się powtórzył.

Hirsz wyciągnął pistolet i wtargnął do mrocznego wnętrza.

W komnacie panował ziąb z powodu otwartego okna. Hirsz wyczuł czyjaś obecność. Ostrzegł go zmysł, który posiadają wszyscy weterani. O ile oczywiście przeżyją dostatecznie długo, żeby ów zmysł zdążył się wykształcić.

W powietrzu pachniało czymś mdłym i słodkim zarazem. Znał tę woń. Niedawno przelano tu krew. Dużo krwi.

Tuż na granicy światła dostrzegł jakiś kształt na podłodze. Uniósł lampę i poświecił. Powoli zrobił dwa kroki. Zmrużył oczy.

Na podłodze leżało kobiece ciało. To była Irena, a raczej to, co z niej zostało.

Zamarł i dopiero po chwili przewycięził paraliż. Podszedł bliżej, przykucając i tłumiąc mdłości, dokładnie obejrzał denatkę. Wyglądało to na robotę dzikiej bestii. Spod rozerwanej sukni wizerowały szerokie rany. Krtąń została przegryziona, zamiast lewej piersi widniała krwawa dziura. Hirsz przypatrzył się uważniej i zobaczył, że w środku nie było serca.



Na korytarzu rozległy się pospieszne kroki. Do komnaty wpadł Jakub Peters. W prawym ręku niósł lampę, lewą dłonią podtrzymywał opadające pludry.

- Horst mówił, żeś poturbowany. Ponoć kazałeś też budzić służbę. Co się stało?

Porucznik odwrócił się do przyjaciela i tym ruchem odsłonił ciało służącej.

Jakub pobałdł, jednak dzielnie podszedł bliżej. Przez chwilę wpatrywał się w zwłoki, jakby nie dowierzał własnym oczom. Następnie przeniósł wzrok na Hirsza.

- Co tu się stało? - bezwiednie powtórzył pytanie.

Joachim wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Tak ją znalazłem. Jakub nachylił się ku niemu.

- Sypiałeś z nią? - zapytał konfidencjonalnym szeptem.

- Nie - zaprzeczył Hirsch.

- Więc co tu robiła po nocy?

Hirsch nie odpowiedział od razu. Wpierw obszedł komnatę. Jego rzeczy leżały na miejscu. Jednak od razu wychwylił drobne różnice. Przypuszczalnie dziewczka przetrząsała pokój na zlecenie Anny. Wówczas dopadł ją morderca.

Hirsch poczuł ucisk w trzewiach. ' Jeśli te domysły były słuszne, to dziewczka zginęła przypadkiem, a prawdziwym celem był on.

- Irena szpiegowała dla elektorskich - wyjaśnił. - Zakradła się, żeby zdobyć tajne pisma. Jej zleceniodawcy myśleli, że trzymam je tutaj.

Peters przesunął zdumione spojrzenie z porucznika na martwą kobietę.

- Jesteś pewien?

Hirsch przypomniał sobie zaskoczenie w oczach umierającej Anny. Wykrzywił usta w ponurym grymasie.

- Całkowicie.

Milczenie przerwał trzask poruszonej wiatrem okiennicy. Joachim drgnął nerwowo.

- Gdy wychodziłem, okno było zamknięte. Jeśli nie otworzyła go sama, zrobił to morderca.

Podszedł do okna i wyrzwał na zewnątrz.

Księżyc wyszedł zza chmur, oświetlając opustoszałe podwórze i ośnieżone dachy szop. Porucznik dostrzegł na framudze okna długie zagłębienia. Zdecydowanie cała sprawa cuchnęła czarną magią.

Do komnaty wpadł Horst, ciężko łapiąc powietrze. Zapewne biegł po schodach.

- W alkowie nie ma pani Anny - wyrzucił z siebie na bezdechu.

- Przeszukać cały dom! - krzyknął wściekle Jakub Peters.

Horst nie zdołał zareagować, bowiem dostrzegł Irenę. Stary lokaj pobałdł jak śmierć na chorągwi. Przez kilkanaście oddechów patrzył otepiałym wzrokiem, a następnie powoli wyszedł na korytarz.

Jakub spojrział na Hirsza oczami człowieka, na którego spadło zbyt wiele na raz.

- Mam nadzieję, że Anny nie spotkało to samo. Porucznik westchnął w duchu. Czekwała ich trudna rozmowa. Położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

- Zapewniam cię, że nie umarła w ten sposób. Peters drgnął, jakby usiadł na gwoździu, zmrużył podejrzliwie oczy i zacisnął pięści.

W komnacie zapadła grobowa cisza. Przerwało ją rżenie wymiotującego pod drzwiami Horsta.

Świt właśnie wstawał, gdy Hirsch skończył zdawać Jakubowi Petersowi relację ze swych nocnych przygód. Przez cały czas bacznie obserwował oblicze przyjaciela, by wychwycić w jego rysach choćby najlżejsze drgnienie fałszu. Aliści ku swej wielkiej uldze nic takiego nie wypatrzył.

- Nie wierzę, jak Bóg na niebie, nie wierzę, Joachimie. To nie może być prawda - po raz wtóry powtórzył kupiec, jakby samymi słowami pragnął zaprzeczyć faktom. Te zaś były aż nadto ponure.

Jakub przestał wpatrywać się w leżącą przed nim listę, podniósł wzrok. Hirsz dostrzegł w jego oczach niedowierzanie. Chciał pomóc przyjacielowi, ale nie mógł. Z doświadczenia wiedział, że zdrada najbliższych zawsze najbardziej boli.

Kupiec chwycił trzęsącą się dłonią puchar z winem i wychylił trunek jednym haustem. Westchnął, jakby zrzucił z piersi łąz, i zdecydowanym gestem odstawił naczynie.

- Na pewno da się to jakoś wyjaśnić - rzekł z nową nadzieją w głosie.

- Zatem chodźmy - zaproponował Hirsz.

Jakub obrzucił porucznika lęklwym spojrzeniem, niemniej podniósł się z krzesła. Chwycił kartkę i zgniótł palcami.

- Chodźmy - zgodził się drżącym głosem. Mężczyźni opuścili gabinet i skierowali się do alkowy.

Pod drzwiami Jakub przez kilka chwil zbierał się na odwagę. Ponaglony spojrzeniem Hirsza, zdecydowanym ruchem nacisnął klamkę.

Alkowę rozświetlał blask lampy. Klara Peters siedziała na brzegu wielkiego łóża, w nocnej sukni. Na widok męża poderwała się z miejsca i ruszyła ku niemu.

- Jakubie, co się dzieje? Czemu kazałeś, żeby Horst zamknął mnie tutaj jak więźnia?

Peters podał żonie listę.

- Poznajesz te nazwiska? - zapytał drżącym głosem.

Klara powolnym ruchem wzięła od męża kartkę. Rozprostowała ją, zaczęła czytać, mrużąc oczy w mdłym świetle. Na obliczu kobiety malowało się całkowite niezrozumienie.

Hirsz nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

- Nie znam tych ludzi. Czemu wśród nich jest moje imię i nazwisko? - zwróciła się do męża.

- Tego właśnie chcę się od ciebie dowiedzieć. Wyciągnęła dłoń, żeby go dotknąć, lecz Jakub Peters cofnął się pół kroku. W zielonych oczach Klary błysnęły łzy.

- Ależ, kochany, powiedz, co się dzieje? Ja nic nie wiem. Czemu mnie tak traktujesz? Jestem twoją żoną.

Usta Jakuba zadrżały. Zaczął się łamać. Hirsz poczuł, że musi się wtrącić.

- To lista szpiegów elektorskich na terenie Gdańska i Prus Królewskich - rzekł twardym tonem.

Klara posłała mężowi rozpaczliwe spojrzenie.

- Jakubie kochany, chyba mu nie wierzysz. To jakiś podstęp tego strasznego człowieka. Jestem twoją żoną, a on - spojrziała na Joachima z bezbrzeżną pogardą - jakimś nędznym przybłądą.

- Jestem szlachcicem w służbie Jego Królewskiej Mości - sprostował zimno Hirsz - a nazwiska, w tym również twoje, pani, podała pod przysięgą twoja przyjaciółka Anna.

- Anna? Gdzie ona jest? Muszę z nią porozmawiać.

Głos Klary Peters zadrżał. Wprawne ucho porucznika wychwyciło czający się pod powierzchnią strach. Człowiek nie szkolony w łganiu często zdradza się takowymi drobiazgami. Oczywiście zdarżają się samoistne talenty. Aliści Klara Peters do nich nie należała.

Postanowił kuć żelazo, póki gorące.

- To niemożliwe - odparł zimno, ignorując spojrzenie Jakuba Petersa.

- Czemu?

- Bo nie żyje. Zginęła z mojej ręki tej nocy. Twarz Klary Peters ściągnęła się w nieładnym grymasie. Początkową uległość zastąpiła nagła agresja.

- Żądam, żebyś mnie wypuścił, Jakubie! - krzyknęła groźnie. - Złożę skargę w magistracie na twoje postępowanie. Poślę też posłańca do Jorga. Mój brat nie podaruje ci tego. Radzę ci pamiętać również, iż połowa majątku należy do mnie.

Hirsz spojrział z niepokojem na Jakuba. Tego nie wiedział.

Jeśli Klara Peters chciała wymóc w ten sposób uległość na swym małżonku, to wybrała zły sposób. Jakub pociemniał na obliczu i zniecka uderzył żonę. Cios był na tyle mocny, żeby rzucić kobietę na podłogę.

- Nie wyjdiesz stąd, póki nie dowiem się prawdy - wyszczał gniewnie Jakub.

Klara przyłożyła dłoń do piekącego policzka i spojrzała na męża z mieszaniną niedowierzania i lęku. Po jej twarzy popłynęły strumyczki łez.

- Chcesz prawdy? - załkała. - Więc dobrze, przekazywałam pewne informacje Annie. O nim wskazała głową Hirsza - a także o innych. Czasami również przeszukiwałam twój gabinet.

Porucznik podziękował Bogu, a także swej przezorności, że nigdy nie wtajemniczał Petersa w swoje sprawy.

Jakub parokroć poruszył ustami, zanim zdołał dobyć z siebie głos. A i to wyszło mu nad wyraz mizernie.

- Czemu? - W głosie kupca nie było gniewu, tylko bezbrzeżne zdumienie.

- Zdradzałeś mnie, draniu. - Jej słowa z trudem przebijaly się przez łkanie. - Myślałeś, że nic nie wiem. Szeptales słodkie słówka, a potem szedłeś do burdelu.

Wycelowała oskarżycielsko palec w Hirsza.

- To przez takich jak on się zmieniłeś. Stałeś się zimny, obcy, grzeszny. Zaniedbujesz mnie! - ostatnie słowa niemal wykrzyczała.

Potem zapadła ciężka cisza.

Hirsz dostrzegł moment, w którym powinien zniknąć. Znał już prawdę. Szczegółowe pytania mogły zaczekać. Wycofał się dyskretnie na korytarz, zostawiając małżonków sam na sam z ciężkim milczeniem.

W takich chwilach dziękował Najwyższemu, że nigdy się nie ożenił.

•

Następnego dnia Hirsz stał u wylotu zaułka, bacznie lustrując odkryte śniegiem rudery. Wyczuwał badające go zza okien czujne spojrzenia. W tym miejscu nie przepadano za takimi jak on. Niestety musiał tu z kimś porozmawiać.

Po raz kolejny w ciągu ostatnich dwóch dni pożałował, że nie ma przy nim Mrocza i Kozaków. Wprawdzie posłał już po nich do Elbląga, lecz towarzystwo wciąż nie stawiło się w Gdańsku. Hirsz miał tylko nadzieję, że dotrą przed zmrokiem.

Oparł dłoń na rękojeści pałasa i ruszył przed siebie, wyciągając nogi. Po stu siedmiu krokach stanął u celu. Patrzył na szopę o wąskich drzwiach i spadzistym dachu.

Co dziwiło każdego, kto zawitał tu pierwszy raz, szopa nie miała żadnych okien.

Nad pochyłym dachem górował stary, zapuszczony mur. Odkąd aglomerację gdańską opasały nowoczesne fortyfikacje ziemne, dawne ceglane umocnienia szybko popadły w ruinę.

Hirsz uderzył trzykroć pięścią w drzwi i wkroczył do wnętrza. Uderzyła go woń ziół.

W izbie panował zaduch i wysoka temperatura. Rzecz o tyle zaskakująca, że nigdzie nie dostrzegł pieca czy ogniska. Przy niskiej ladzie siedziała starowinka, sucha, drobna, o skórze cienkiej jak pergamin. Błyszczące w mroku oczy wpiły się w porucznika.

- Dawnośmy się nie widzieli, panie Hirsz - odezwała się głębokim głosem, nie pasującym do starczej powierzchowności. - Czego chcesz?

W palcach Hirsza pojawił się dukat. Moneta spoczęła na ladzie.

Przenikliwe spojrzenie na kilka uderzeń serca przeniosło się z jego twarzy na złoto.

- Odpowiedź, po którą przyszedłeś, kosztuje znacznie więcej.

Hirsz był przygotowany. Toczyli podobną grę nie pierwszy raz. W jego palcach ukazała się druga moneta. Rzucona lekko, potoczyła się po blacie. Staruszka zgałępiła pieniądze zadziwiająco

sprawnym ruchem.

- W mieście jest obcy. - Hirsz przeszedł do rzeczy bez ceregieli.

Starucha kiwnęła głową. Obrzuciła go chytrym spojrzeniem.

- Również go wyczuwamy. Ale co tobie do tego?

- W nocy chciał mnie zabić. Lubi świeże serca.

- Kto nie lubi?

Hirsz zignorował zaczepkę.

- Czym on jest?

Wzruszyła kościstymi ramionami.

- Nie znamy takiego rodzaju, przybył z bardzo daleka. Jest zagubiony. Buzuje w nim gniew i strach. Pragnie wrócić do domu, lecz nie potrafi.

Kobieta przerwała i odsłoniła bezzębne dziąsła w czymś na kształt uśmiechu.

- Będzie zabijał - dodała po kilku uderzeniach serca.

- Czemu wybrał mnie? Jeśli jest zagubiony, ofiary powinny być przypadkowe.

- To przez twój dar. Porucznik pokręcił głową.

- Nic ostatnio nie dostrzegłem.

- On myśli inaczej. Wie, że widzisz takich jak on, więc czuje się zagrożony.

Joachimem wstrząsnął dreszcz.

- Czyli musiałem go już wcześniej spotkać. Starucha przytaknęła oszczędnym ruchem głowy.

Nagle Hirsz wyczuł jeszcze czyjąś obecność. Zerknął z ukosa na wejście do sąsiedniej izby.

Ciemność gęstniała tam w nienaturalny sposób.

Porucznik ostentacyjnie oparł dłoń na kolbie pistoletu, zatkniętego za pasem.

- Witaj, Klaus.

Początkowo odpowiedziała mu tylko cisza.

- Czego tu chcesz? - W mroku rozległ się nosowy, mrukliwy głos.

Hirsz nie wdawał się w powtórne tłumaczenia. Przypuszczał, że Klaus wszystko słyszał.

- Waszej pomocy. Jeśli dalej będzie zabijał, ludzie zaczną się bać i szukać winnych. Doprowadzi to do polowań na czarownice.

Hirsz spojrzał wymownie na Anne Kruger.

- Źle wam tutaj?

- Rzecz jasna, nie liczył na odpowiedź.

- On ma rację, kochany - zwróciła się wiedźma w ciemność. Wypowiedziała te słowa tak czule, że Joachim na uderzenie serca dojrzał jej prawdziwą naturę.

Ponownie wbił wzrok w miejsce, gdzie stał Klaus.

- Potrafisz go odnaleźć? - zapytał. Znow zapadła długa cisza.

- Jeśli zechcę.

O ile porucznik znał Klause, taka odpowiedź oznaczała zgodę na jego propozycję. Hirsz rozluźnił się nieco. Jednak nie zdjął dłoni z kolby pistoletu.

- Dzisiaj zaćmienie. Zatem musimy omówić wszelkie sprawy, gdyż czeka nas zaprawdę pracowita noc.

.

Drzwi zatrzasnęły się za wychodzącym mężczyzną.

Kobieta i czart wsłuchiwali się w cichnące skrzypienie śniegu. Klaus z zaszępiłą miną wpatrywał się w drzwi.

- Powinniśmy go zabić wtedy, za pierwszym razem - mruknął bardziej do siebie niżli do

siedzącej za ladą kobiety.

- Było, minęło - odpowiedziała zmysłowym głosem. - W jednym młody Hirsz ma rację: musimy działać dla naszego własnego dobra. Zadomowiłam się tu i nie chcę się przenieść. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Klaus wbił wzrok w kochankę. Wraz z wyjściem człowieka czar ochronny przysł jak bańka mydlana. Kobieta również obrzuciła go przeciągłym spojrzeniem szarych oczu. Stary czart zadrżał jak zwykle, gdy tak na niego patrzyła.

Była piękna. Wydatna pierś, pełne usta, rumiane policzki okolone brązowymi włosami. Wyglądała równie słicznie jak tamtego dnia, gdy ujrzała ją pod kościołem w Pucku. Zakutą w dyby i maltretowaną przez bogobojny tłum.

Zmarszczył krzaczaste brwi, szukając w pamięci odległej daty. Było to w trzecim roku tego stulecia - przypomniał sobie, zadowolony.

Tamtego roku fala polowań na czarownice rozlała się na całe Prusy i dwa Pomorza. Jak na ironię, Anna wówczas jeszcze nie parała się magią. Oskarżenie wniósł miejscowy bogacz, któremu nie chciała się oddać. Klaus wciąż pamiętał chwilę, gdy spojrzała na niego pięknymi, szarymi oczami.

Poczuł wówczas w piersi dziwne szarpnięcie. Postanowił, że ją ocali.

Rzecz jasna, wtedy jeszcze nie wiedział, co czuje. Istoty jego gatunku nie zwykły doznawać takich objawień. Teraz, po czterdziestu latach, potrafił nazwać to uczucie. Miłość.

- Oczywiście, duszko - rzekł potulnie. - Jednak nie ufam mu. On nas kiedyś zdradzi.

Anna Krüger uśmiechnęła się smutno.

- Pewnie masz rację. Mężczyznom takim jak on nigdy nie można do końca ufać. Ale nie potrafiłabym go skrzywdzić. Jest taki podobny do swojej matki.

Zimno, ciągle zimno, które nigdy go nie opuszczało, wyjąwszy chwile, gdy przelewał krew.

Chwile takie jak ta.

Ishu, pan zmiennych kształtów, patrzył na nieruchome ciała leżące u jego stóp. Oddali życie bez lęku i bez żadnego oporu. Taka gotowość na śmierć osłabiała moc czaru. Trzeba było istnień ich wstyklich, żeby otworzyć ścieżkę, nawet w taką noc.

Choć dach wielkiego budynku przysyłał niebo, Ishu wyczuwał, że ojciec Księżyc skryje się w brzuchu boskiej matki, żeby jak zawsze narodzić się na nowo. Wówczas otworzą się przejścia. Ucieknij z tego niegościnnego miejsca. Nawet pozbawiona ciepłych ciał i dusz Czeluść była lepsza od tego zimna.

Prychnął gniewnie na wspomnienie szamana, przez którego znalazł się w tym ciele. Krwawy obrzęd odbył jeszcze w Fort Jakobs. Noc przed załadunkiem na statek. Zapewne czarownik myślał, że w ten sposób się uratuje. Gdyby odprawił rytuał kilka dni wcześniej, nadzieje owe nie byłyby płonne. Jednak głupiec spóźnił się, przynosząc zgubę im obu. Świtem bładzi ludzie zagnali więźniów do wielkich skrzydlatych łodzi i wypłynęli na bezkresną wodę. W miejsce, gdzie On okazał się bezsilny jak kocię lamparta.

Czarownik zginął w noc po wypłynięciu. Zadusili go współwięźniowie, gdy tylko się domyślili, kogo sprowadził pośród nich.

ON był zbyt słaby, żeby walczyć. Chciał jednak przetrwać, więc znalazł sobie nosiciela. Młodego chłopca wykorzystywanego przez nadzorcę. Gniew i cierpienie nosiciela kamały go i podtrzymywały w nim resztki sił. W ten sposób przetrzymał straszną, trwającą wiele księżyców podróż.

A potem przywieźli ich tutaj, w to obce, zimne miejsce, z którego nie było ucieczki. Zostało mu

tylko tych siedmiu wyznawców. Siedem nędznych istot, którym błądzi ludzie odebrali wszystko. Tacy nie mogli napelnić go nowymi siłami. Mogli jednak swoją śmiercią otworzyć mu przejście do nieświata.

Nagle wyczuł drgnienie. Gdzieś w okolicy pojawił się obcy. Był już blisko. Ishu rozpoznał towarzyszącą mu moc. Wątpił, aby przybysz żywił przyjazne zamiary. Noce, gdy Matka Ziemia połyka Księężyc, żeby go wypuścić ze swego łona, nie nastrajały do przyjaznych gestów. To był czas łowców.

Wyszczерzył kły i zamruczał. Zanim powróci w jałowe pustkowania nieświata, posmakuje jeszcze świeżej krwi. Zabije tę istotę i przejmie drzemiącą w niej siłę. Siłę, której będzie potrzebował, gdy powróci do miejsca swego poczęcia.

Zmrużył kocie oczy, jego uszy wydłużyły się, przybierając szpiczasty kształt. Z ludzkich palców wyrosły długie, ostre jak obsydian pazury. Ciemna, lśniąca sierść pokryła skórę.

Demon gorącej sawanny wyprężył grzbiet i ruszył na łowy.

Noc była zimna i przejrzysta.

Ogromny srebrzysty dysk sięgnął zenitu, oświetlając spadziste dachy spichrzów. Jednak na obrzeżu tarczy pojawiła się już ciemna obwódka. Rozpoczęło się całkowite zaćmienie.

Joachim Hirsz przez dłuższą chwilę wpatrywał się w niebo.

Wedle legendy podczas takich nocy lepiej się opuszczać domu. Wprawdzie Jan Heweliusz niegdyś objaśnił mu naukową naturę owego zjawiska, atoli porucznik wiedział swoje. Właśnie taką porą zdarzało mu się widzieć stwory, które miały prawo zamieszkiwać jedynie piekielne czeluści.

Ponownie rozejrzał się po placu przeładunkowym w nadziei, że ujrzy Klausa. Czar pomimo zawartej umowy nie zjawił się o wyznaczonej porze. Hirsz poczuł pokusę, żeby zrezygnować, lecz ciekawość, desperacja i wrodzony upór nie pozwoliły mu na to. Poprzysiągł tylko w duchu, że wkrótce Klaus i Anna Kruger gorzko pożałują tej zdrady.

Sprawdził raz jeszcze podsypkę na słońce rusznicy oraz pistolety, czy gładko wychodzą z olster. Prócz tego miał dwa szylety, w tym jeden tak czarami nasączony, żeby nim duchy nieczyste chwycić.

Odczekał jeszcze pięć zdrowasiek, żeby dać Klausowi ostatnią szansę. Po upływie tego terminu przeciężony plac przeładunkowy i zatrzymał się przed tylnym wejściem do spichrza Petersów.

Sięgnął do kieszeni po klucz, przekazany mu przez Knopfego. Przez chwilę mocował się z zamkniętym zamkiem, zanim rygle odskoczyły z suchym trzaskiem.

Joachim wśliznął się w głęboką ciemność. Zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie plecami. Ściągnął rękawiczki i schował je do kieszeni płaszcza.

Z drugiej kieszeni wyciągnął tkwiącego tam szczura. Spętane stworzonko w ostatniej próbie obrony ukąsiło go boleśnie w palec.

Hirsz jednym ruchem złamał zwierzęciu kark, jednocześnie szepcząc zaklęcie.

Zamknął oczy, czekając, aż przeminie pieczenie pod powiekami. Po kilku oddechach znów spojrział. Tym razem wnętrze magazynu spowijała ledwie szarówka. Czar zaczął działać i miał trwać nieco ponad godzinę.

Zaklęcie widzenia można było rzucić dwójako. Duchowni, głównie inkwizytorzy, osiągnęli to drogą modlitwy. W szczególnych wypadkach istniał sposób polegający na zadawaniu sobie bólu. Im większe cierpienie lub utrata witalności życiowej zaklinającego, tym czar silniejszy i o dłuższym działaniu.

Inna metoda, granicząca z czarną magią, wymagała uśmiercenia żywego stworzenia.

Tradycyjnie przyjęto, że im większe zwierzę, tym moc czaru silniejsza. Jednak Hirs przez lata prób doszedł do przekonania, iż nie wielkość, lecz rodzaj zwierzęcia odgrywa kluczową rolę. Z tej przyczyny właśnie wybrał szczura. To inteligentne stworzenie potrafiło swym ostatnim tchnieniem nadać zaklęciu zaskakująco silną energię.

Hirs odrzucił szczurze truchło i sięgnął po przewieszoną przez plecy rusznicę. Oszroniony metal i drewno parzyły w palce. Kciukiem odbezpieczył sprężynę zamka kołowego.

Od razu skierował się korytarzem do pomieszczenia, gdzie trzymano Negrów. Stał przed wejściem, wsłuchując się w odgłosy po drugiej stronie kotary.

Panowała tam zupełna cisza.

Zmarszczył brwi. śpiący człowiek wydaje różne dźwięki, porusza się we śnie. A przecież w tamtym pomieszczeniu przebywało kilku ludzi skutych łańcuchami. Odsunął powoli zasłonę i cicho przekroczył próg.

W nozdrza uderzył go smród krwi.

Hirs zdrtwiał, owładnięty zgrozą. Niewolnicy byli martwi. Leżeli jeden przy drugim z poprzegryzanymi gardłami. Kilku miało otwarte oczy. Porucznik nie dostrzegł w nich strachu, lecz jedynie ulgę.

Nagle dotarło do niego, że ostatnie pęta po lewej były puste. Brakło młodego chłopaka, tego, który przypatrywał mu się uprzednio.

Podszedł do leżących na deskach obroży. Przykucnął i dotknął palcami metalu. Był śliski, oblepionym śluzem.

Wizja uderzyła go z siłą katowskiego miecza. Ból rozsadził czaszkę, pod powiekami błysnęło, jakby nocne niebo przeszła błyskawica.

Ujrzał straszliwe, nazbyt zwierzęce oblicze. Z głębokich oczodołów patrzyły na niego głodne, nienawistne ślepia. Z pełnych, zbyt szerokich ust wystawały długie na kciuk kły. W powietrzu unosił się ostry zwierzęcy odór, zmieszany z wonią świeżej krwi.

Wizja nie trwała dłużej, niżli jedno uderzenie serca.

Hirs podparł się dłonią o podłogę, żeby nie stracił równowagi. Wciągnął do płuc zatechłe powietrze, uwalniając przepoń z uciskającego strachu. To wyglądało na opętanie.

Nagle doznał uczucia, że jest obserwowany. Odwrócił się gwałtownie z wycelowaną rusznicą.

Jeden z niewolników patrzył na niego, błyskając białkami martwych oczu. Serce o mało nie wyskoczyło Hirsowi z piersi.

Wycofał się z cuchnącego pomieszczenia na korytarz. Skierował kroki do głównego magazynu. Rozstawione tam skrzynie, beczki oraz pakunki tworzyły labirynt. Pomiedzy stertami towarów prowadziły wąskie przejścia. Było to idealne miejsce, żeby się ukryć lub urządzić zasadzkę.

Spojrzął w kierunku antresoli, na okno kantoru rachmistrzów. Z tamtego punktu miałyby doskonały widok. Lecz żeby tam dotrzeć, musiał przebyć większą część magazynu.

Jeszcze raz w myślach sklął Klauza i jego cholemną wiedzmę. Zaciśnął mocniej palce na rusznicy, zrobił pierwszy krok.

Skradał się bezszelestnie, trzymając się blisko ściany. Oddychał miarowo, puls mu zwolnił, zmysły wyostrzyły się jak u polującego drapieżnika.

Od schodów dzieliło go jedynie dwadzieścia kroków, gdy wyczuł czyjąś obecność. Serce podskoczyło mu w piersi i na to jedno uderzenie uczynił fałszywy krok.

Deska skrzywnęła mu pod butem.

Klnąc w duchu szpetnie, trzema tanecznymi krokami dopadł najbliższego słupa podporowego. Oparł się plecami o szorstkie drewno i wycelował przed siebie rusznicę. Zastygł w bezruchu z palcem na spuście.

Zmrużył oczy. Spod przymkniętych powiek zlustrował teren.

Oddech później wywołał z szarówki cień sylwetki, aliści nie człowieka, lecz czegoś, co ledwie

ten kształt naśladowało. Przy następnym oddechu nawet to wrażenie zniknęło. Pomieszczenie przesyłał jakby podmuch gorąca o mocnym, nieznanym Hirszowi zapachu.

W całkowitej ciszy rozległo się natarczywe węszenie.

Porucznik miał jedną szansę, żeby zabić czy choćby zranić demona. Kula tkwiąca w lufie rusznicy została odlana ze srebra i pobłogosławiona na Jasnej Górze. Dwie zimy wcześniej za pomocą podobnego pocisku ustrzelili strzygę, grasującą w żmudzkich dobrach Radziwiłłów.

Tym razem ryzykował nieporównywalnie więcej. Ta istota była całkiem obca i nie miała nic wspólnego z chrześcijańską wiarą czy miejscową pogańską magią.

Unióś rusznicę do strzału i wycelował w zwierzęcy kształt. Przymknął lewe oko, wstrzymał oddech i delikatnie nacisnął spust.

Rusznica boleśnie wierzgnęła przy odrzucie.

Chmura czarnego dymu całkiem przysłoniła mu widok. Zanim ucił na dobre huk wystrzału, Hirsz odrzucił broń i sięgnął do pasa po pistolety. Jednocześnie wyskoczył śmiało zza kolumny, żeby zyskać lepsze rozeznanie.

Ciemny kształt przesadził dzieląc ich odległość w mgnienu oka.

Hirsz wypalił z dwóch pistoletów naraz, niemal nie celując, i uskoczył w bok. Usłyszał bolesne miauknięcie. Jednak nie miał czasu tryumfować.

Ciężka, uzbrojona w pazury łapa zahaczyła jego nogę, rozdzierając nogawicę i ciało.

Porucznik, zamiast przetoczyć się przez bark, stracił równowagę i grzmotną potylicą o deski. Na uderzenie serca zalała go ciemność. Usłyszał zgrzyt pazurów rysujących podłogę, owiał go śmierzdzący oddech. Ciężkie, wilgotne krople skapnęły mu na pierś.

Bardziej z odruchu, niżli świadomie zasłonił ręką krtań. Uczynił to w samą porę, gdyż potworny ciężar przygniótł go do podłogi. Pazury przedały się przez płaszcz i kaftan, zatrzymując na koleczku. Jednocześnie kły bestii zazgrzytały na karwaszu osłaniającym przedramię.

Hirsz unióś powieki. Ślepią demona lśniły jeno trzy cale od jego twarzy.

Podciągnął kolano i wolną ręką chwycił sztylet, schowany za cholewą buta. Wbił nasączone czarami ostrze aż po krzyżową rękojęść.

Oczy demona rozszerzyły się osobliwie. Z cuchnącej gardzieli wydobył się okrutny kwik, co raczej zarzytanemu wieprzowi przystaje niżli olbrzymiemu kocurowi. Zanim Joachim zdążył powtórzyć cios, demon ustąpił pola i czmychnął tchórzliwie między pobliskie skrzynie.

Porucznik, nie zważając na ból, podniósł się na kolana. Pod palcami wyczuwał lepką substancję, pokrywającą obficie deski.

Krew, i to nie moja...

Przyłożył rękę do nosa, wciągnął cierpki zapach.

Musiał podjąć decyzję. Wedle jego obliczeń wkrótce miało dojść do całkowitego zaćmienia. Na ten krótki czas bariery między światami osłabną. Sądząc po zagryzionych Negrach, demon chciał opuścić ciało i czmychnąć na drugą stronę, do otchłani.

Nagle porucznik zadrzał, tknięty straszliwą myślą.

A jeśli zamierza sprowadzić tu kogoś z tamtej strony?

Sapnął wściekle, sięgnął po drugi sztylet, tkwiący za pasem. Musiał się spieszyć. Od chwili, gdy zabił szczura, minęło już trochę czasu. Niedługo zakłęcie rozpraszające mrok zacznie słabnąć, zaś dwakroć pod rząd powtórzyć go nie sposób.

Wstał i ruszył krwawym tropem.

Ta noc należała do łowców.

Kilka kroków przed nim lśniła obsydianowa tafla. Czerń tak głęboka, że nawet w ciemności



odcisnęła swe piętno.

Ishu przesunął łapę w przód i wbił pazury w deski. Podciągnął się, żłobiąc głębokie rowki, które napełniały się jego krwią.

Tkwiące w ciele kule paliły żywym ogniem, a rana zadana magicznym ostrzem była śmiertelna. Czuł, jak opuszczają go siły, wycieka życie. Mimo to nie ustawał w wysiłkach. Tacy jak on nie mają duszy i gdy umierają, to na dobre.

Jeszcze trochę i dotrze do przejścia. Zostawi dogorywające ciało i dołączy do wiecznie głodnych duchów Czeluści. Może kiedyś znów mu się uda powrócić do tego żywego świata.

Pochłonięty rozmyślaniami, nie dostrzegł, jak na jego drodze wyrosła zwalista postać. Gdy spostrzegł intruza, prychnął krwawą śliną. To z nim zamierzał stoczyć walkę. Tamten człowiek całkowicie go zaskoczył.

- Jest silniejszy, niżli myślałem - rozległ się mrukiwy bas. - Przyznaję, to niepokojące.

Ishu domyślił się, że mowa o człowieku, który go śmiertelnie zranił.

Stworzenie przekrzywiło kudłaty łeb, przyglądając mu się zachłannie. Ich rodzaj nie znał litości czy lojalności wynikłej z pokrewieństwa gatunku.

Ishu wiedział, że nigdy nie dotrze do celu.

Napiął mięśnie i rzucił się do ostatniej, przegranej z góry walki.

.

Joachim Hirsch czekał na końcu wąskiej alejki. Po obu stronach piętrzyły się wielkie, pozbawione oznaczeń skrzynie. Z zajmowanego miejsca miał doskonały widok na krótkie starcie dwóch demonów.

Wynik był z góry przesądzony. Bezlitosna pięść Klausa zmiażdżyła czaszkę czamej pantery, wbijając kość do wnętrza mózgu. Czart chwycił padlinę za ogon i zaczął ciągnąć za sobą.

Dopiero gdy dotarł do wyjścia z alejki, dostrzegł Joachima. Łypnął groźnie na tarasującego mu drogę człowieka. Puścił truchło i skrzyżował ręce na piersiach.

Hirsch wbił wzrok w niewyraźne oblicze przeciwnika i oblizal wyschnięte usta. Czar nocnego widzenia gasł z zatrzęsającą szybkością. Gdyby teraz bies zdecydował się zaatakować, miałyby spore szanse. Szczęśliwie nie mógł o tym wiedzieć.

Klaus przyjrzał się porucznikowi, szczególną uwagę zwracając na dwa sztylety w jego dłoniach.

- Nie spieszyło ci się zbytnio. - Hirsch nie potrafił ukryć irytacji.

W odpowiedzi potężne barki uniosły się i opadły. Kudłaty łeb wskazał na padlinę.

- Rościsz sobie do niego prawo? Hirsch pokręcił przecząco głową.

- Jest twój, zasłużyłeś - odparł z przekąsem.

- Przyznaję, nie myślałem, że ci się uda - burknął bies. - Teraz jednak nie szukam zwady. Chcę tylko pogrzebać tego tu i wrócić do Anny.

Zapadła głucha cisza.

Hirsch przez kilka uderzeń serca rozważał, co by uczynił, gdyby wciąż widział w ciemnościach. Znalazł tylko jedną odpowiedź.

Na zewnątrz wyszedłby stąd tylko jeden z nas.

Pilnując, żeby nie ujawnić swojej słabości, odsunął się na bok. Bies pochylił się, znów chwycił wielkiego kota za ogon i ruszył przed siebie.

Zdrowską później wokół porucznika zapadły całkowite ciemności. Stał jeszcze przez chwilę, wsłuchany w odgłosy kroków i wleczonego ciała.

Gdy ucichły, ruszył w przeciwnym kierunku, po omacku, kierując się samą pamięcią.

.

Obsydianowe wrota iskrzyły w magnetycznie przyciągający sposób.

Mamnik, niewielki demon z siódmego kręgu, przyczaił się w odległości dwóch skoków od rozdarcia materii. Czarne guziczki oczu wypatrywały istoty, mającej nadejść z drugiej strony.

Czas jednak mijał, szczelina zasklepiła się, a intruz wciąż nie nadchodził. Co więcej, stworzenie wyczuwało, że po drugiej stronie przelano krew.

Mamnik nerwowo rozejrzał się po jałowym pustkowiu, będącym jego domem. Gdzieś za łańcuchem pobliskich pagórków rozległo się straszliwe wycie. Znak, że nie on jedyny wyczuł rozdarcie i postanowił skorzystać z okazji. Zbliżał się ktoś potężny, zapewne bardzo głodny, a wkrótce i wściekły, gdy zrozumie, że nie zdążył na czas.

Dwa serca mamnika zadrżały z lęku. Rozdarcie zanikało, na decyzję nie zostało wiele czasu.

Stworzenie zatrzepotało nerwowo skrzydłami i skoczyło wprost w zamykające się przejście.

# Epilog

Klara Peters zakończyła pisać ostatnie słowo. Odłożyła gęsie pióro i przez chwilę wpatrywała się w równe rzędy liter.

Raport do Królewca jak zwykle należało przesłać bez opóźnień. Z pewnością tajna kancelaria elektora wyczekiwała tych informacji. Po ostatnich wydarzeniach Klara została praktycznie jedynym czynnym agentem na terenie Gdańska. Każde z napisanych przez nią słów było na wagę złota.

Klara wzdychnęła ciężko. Czuła się jak zdrajczyni i oszustka. Jednak nic nie mogła na to poradzić.

Złożyła kartkę i zalakowała kopertę, używając do tego wyznaczonej pieczęci. Następnie podała list mężczyźnie, który przez ostatnie tygodnie dyktował każde słowo z pisanych przez nią raportów. Razem stworzyli zręczną mieszankę fałszu i półprawd. Bardzo wiarygodną, musiała przyznać w duchu.

Joachim Hirs z wziął przesyłkę i spojrzał jej w oczy. Klara wzdrygnęła się bezwiednie. Choć nigdy nie wracali do tamtej nocy, bała się tego człowieka. Podejrzewała, że Jakub również. Była jednak zbyt dumna, żeby okazać słabość. Wypięła pierś, uniosła podbródek i odpowiedziała hardym wzrokiem.

Usta porucznika wykrzywił ironiczny grymas.

- Wyjeżdżam z Gdańska - rzekł cichym, wymuszającym uwagę głosem. - Teraz twój mąż będzie układał ci raporty. Oczywiście wedle otrzymanych od nas instrukcji.

- Zastraszyłeś go, a on miał cię za przyjaciela - wyrzuciła z siebie gniewnie.

Hirs wzruszył ramionami.

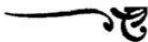
- A ciebie za wiemą żonę. Zapadło głucho milczenie.

- Wiedz, że to Jakub sam zaproponował mi współpracę. Myślę, że od dawna miał takowy zamiar. Nosi w sobie zbyt niespokojnego ducha, żeby być tylko zwykłym kupcem. Oczywiście jego kontrakty handlowe wiele na tym skorzystają. My nigdy nie zapominamy ani o przyjaciółach, ani o wrogach. Zawsze o tym pamiętaj, Klaro.

To rzekłszy, porucznik skinął głową, obrócił się na pięcie i opuścił komnatę.

Klara Peters wpatrywała się w zamknięte drzwi, dopóki pierwsze łzy nie zaszkliły jej wzroku. Dotarło do niej, że wszystko się zmieniło. Nieodwracalnie.

Z ust kobiety wyrwał się szloch.



*Spis ksiąg*

Księga pierwsza

***Prawo Krwi***

5

Księga druga

***Cherem***

121

Księga trzecia

***Noc łowców***

283

